

Pearl Buck

Ukryty kwiat

Przełożyła Magdalena Jędrzejewska

Josui, młoda, dwudziestoletnia Japonka i Allen, oficer armii amerykańskiej, stacjonujący w Tokio podczas powojennej okupacji, zakochują się w sobie od pierwszego wejrzenia. Ojciec dziewczyny jest wziętym lekarzem zaprzyjaźnionym z arystokratyczną rodziną Matsui i liczy na to, że któregoś dnia córka poślubi syna pana Matsui, szlachetnego i światłego Kobori. Jednak Josui przyjmuje oświadczenia Allena.

Młodzi, świadomi oporu najbliższych, decydują się na małżeństwo i zamieszkują w Nowym Jorku. Z czasem, mimo wciąż silnego, wzajemnego uczucia, coraz bardziej dają o sobie znać różnice, wynikające z odmiennego pochodzenia...

Część pierwsza

W ogrodzie unosiła się cisza. Delikatny szum wodospadu zagłuszał wszelkie dochodzące zza murów odgłosy. Ta cisza była zaplanowana jak każdy element ogrodu, choć wszystko wydawało się tu takie naturalne. Jego granicząca z ulicą część skrywała za skałą najnowocześniejszą instalację wodną, dzięki której, niby z górskiego szczytu, płynął strumyk. Przy wysokim kamiennym murze usypany był płaski pagórek do połowy osłonięty przez bambusy, który zaprojektowano tak, by wyglądał dostojnie niczym widoczna za miastem górska grań. Po skalistej powierzchni, ku głębokiej przejrzystej sadzawce z chlupotem mknął wielopoziomowy wodospad. Trzy ogromne sosny, przygarbione od upływu czasu, pochylały się nad wodą, jakby chciały się w niej przejrzeć, i choć było ich tak niewiele, przywoływały atmosferę odległego lasu.

W północnej części ogrodu stał dom w stylu japońskim. Był duży i miał stosunkowo niski dach. Jego spadzistość łagodziły bambusy, które niby rozsunięte zasłony ukazywały ściany z płatów papieru. Ten niepomalowany drewniany dom nabierał z wiekiem srebrnoszarego odcienia. Była wiosna, toteż na tle delikatnego drewna kwitły azalie, które mieniły się w słońcu jaskrawymi barwami szkarłatu, oranżu i miodowej żółci.

Doktor Sotan Sakai pracował w swoim gabinecie. Kiedy nastąpiło południe, uniósł głowę nad rękopisu i wyjrzał przez otwarte drzwi. Ogród był wyjątkowo piękny. Doktor odłożył wieczne pióro i podniósłszy się z maty, stwierdził z dumą, że jego długie nogi jeszcze nie zdrętwiały. Po młodości spędzonej w Stanach Zjednoczonych ponowne przyjęcie zwyczajów rodaków zajęło mu kilka lat. Z początku nie był w stanie krzyżować nóg i pisać całymi godzinami przy niskim stole, lecz postanowił tak czynić, kiedy zdecydował o powrocie do ziemi, na której przyszedł na świat. Dokonał tego wyboru, gdyż jako dumny mężczyzna nie potrafił zaakceptować istnienia obozu koncentracyjnego w Arizonie. Musiał wybierać: albo obóz, albo repatriacja do Japonii. Wybrał Japonię.

Do wyjazdu do kraju przodków skłoniło go niezachwiane poczucie godności. Nabył pod Kioto wiekową rezydencję barona Kazuko, którego zubożała po wojnie rodzina ustąpiła ostatecznie, kiedy jej synowie zginęli w Chinach. Baron udał się na wyspę Kiusiu i wstąpił do klasztoru buddyjskiego na szczycie górskim opodal wulkanu Unzen, jego żona zaś powróciła do swoich krewnych i tak rodzina Kazuko przestała istnieć. Na jej włościach żył teraz Sotan Sakai z żoną i córką Josui. Niegdyś miał również syna, Kensana, starszego od swej siostry o pięć lat, który nie zgodził się na wyjazd z Ameryki do Japonii i wybrał obóz koncentracyjny. Tam zgłosił się na ochotnika do służby wojennej, a potem zginął we Włoszech.

Śmierć syna utwierdziła doktora Sakaiego w postanowieniu, by znów stać się prawdziwym Japończykiem. Wojna oszczędziła Kioto i od ponad tysiąca lat ta starożytna stolica trwała niezmienną, z wyjątkiem kilku nowoczesnych budynków. Te jednak nie mogły się równać z tak wiekowymi i majestatycznymi budowlami jak świątynia Higashi-Honganji czy pałace o grubych, krytych strzechą dachach, z których dumnie były całe pokolenia cesarskich rzemieślników. Dla

doktora Sakaiego bezpośrednim źródłem wiedzy na temat kraju przodków stały się ogrody pałaców, które przypomniały mu, co to skały, woda, mech i karłowate drzewa. Ogród Pawilonu Shokintei w Cesarskiej Willi Katsura wydał mu się szczególnie piękny – podziwiał płynącą leniwie wodę, kładkę, skały oraz oszczędnie posadzone drzewa i krzewy, dzięki którym miało się poczucie intymności i jednocześnie bezkresu.

Kiedy nastał koniec wojny, doktor Sakai zachował dystans wobec wojsk okupacyjnych i ich dowódców. Odkąd zyskał w mieście reputację wybitnego lekarza medycyny zachodniej, jego pozycja społeczna była bezpieczna. Ludzie nie mogli się bez niego obyć i wszystkim, którzy się do niego zgłaszali, udzielał pomocy z jednakową albo prawie jednakową troską. Za swój obowiązek przezornie uznał wskrzeszanie pradawnej kurtuazji w stosunku do arystokratów, tych wspaniałych, ustępujących rodów, i nie dopatrywał się w ich zaufaniu niczego niestosownego.

Pracował w wielkim nowoczesnym szpitalu. Co dzień wracał do domu, przebierał się i przystępował do pisania książki pod tytułem *Niedobór i wywołane nim choroby*. Po powrocie do Japonii przez wiele lat gromadził na ten temat materiały.

Teraz przed wyjściem do ogrodu starannie osuszył wieczne pióro, które było jego jedynym ustępstwem na rzecz amerykańskich zwyczajów, zbyt wolno bowiem pisało się tradycyjnym pędzlem. A może jednak nie było to żadne ustępstwo... ? Wszak większość Japończyków zamiast pędzli używała piór i zbyt twardych jak dla niego ołówków, produkowanych w Japonii, tak jak pióra, według niego lepsze od amerykańskich.

Stał w szerokich drzwiach, które były zaledwie suwaną niczym parawan ścianką z płatów papieru, i rozkoszował się widokiem ogrodu, a właściwie prawie się nim rozkoszował. Znał każdy jego szczegół, toteż nie mógł nie wypatrzeć opadłego liścia bądź prawdopodobnie tętniącego nocami mrowiska, które mogłyby zrujnować jego doskonałość. Nie chciał jednak zawracać sobie głowy szukaniem ogrodnika i wypytywaniem go, dlaczego nie doprowadził tego do porządku. Zamknął oczy i przez chwilę medytował, szepcząc fragment sutry, a kiedy je otworzył, wystarczyło mu jedno świeże spojrzenie, by zobaczyć, że ogród promienieje w słońcu, tak jak to sobie wymarzył.

Medytowanie sprawiało mu wiele trudności. Młodość spędził na ruchliwych ulicach Los Angeles, gdzie sprzedawał po domach warzywa i kwiaty, które pomagał rodzicom hodować na położonych za miastem pięciu akrach ziemi. Pracował tak w czasach szkoły średniej, potem zdobył stypendium i rozpoczął studia medyczne. W Ameryce nie miał czasu na medytację. Musiał nauczyć się jej po powrocie do Japonii niby gry na instrumencie muzycznym, takim jak na przykład pięcioletni flet, ale bardzo lubił spędzać wieczory w ten sposób. Teraz, kiedy wojna się skończyła, pozostało mu już tylko jedno zmartwienie – jego córka Josui. W chwili powrotu do Japonii miała zaledwie piętnaście lat. W zasadzie nie była uległa, lecz do wyjazdu z Ameryki skłoniły ją lęk i oszołomienie. Przerażali ją koledzy z amerykańskiej szkoły, którzy, zawsze niebywale mili i życzliwi, pewnego dnia przeistoczyli się we wrogów. Ich urocze twarze zbrzydły, uśmiechy zaś przerodziły się w nachmurzone miny. Nie potrafiła tego pojąć, toteż

poskarżyła się najlepszej przyjaciółce, Polly Andrews, córce sklepikarza, który kupował od jej dziadka warzywa:

– Polly, nadal jestem tą samą dziewczynką, jaką zawsze znałaś.

– Nieprawda – zripostowała Polly. – Jesteś Japonką. Nienawidzę cię. Josui nic więcej nie powiedziała i już nigdy nie wróciła do szkoły, a kilka dni później, kiedy jej rodzice wchodzili na pokład statku, podążała za nimi w rozdzierającym serce milczeniu. Kraj, który uznawała za swoją ojczyznę, w którym przysłała na świat, którego język był jedynym, jakim władała, odepchnął ją ze wzgardą. Mimo to nie zaakceptowała Japonii, gdyż zbyt wiele dowiedziała się od babki o losie tamtejszych kobiet. Była pełna wątpliwości – czuła się bezpiecznie w ojcowskim domu, lecz niepewnie na myśl o przyszłości.

Doktor Sakai odgadnął, w jakim stanie psychicznym jest jego córka, i bardzo go to martwiło. Miała już dwadzieścia lat – cóż mogli z nią począć? Wizja zamążpójścia nie wydawała się zbyt odległa, zwłaszcza dla tak urodziwego dziewczęcia, lecz właściwie za kogo miałby ją wydać? Otrzymał dla niej kilka propozycji, jednak kierowany rozważą nie przedstawił ich córce, domyślał się bowiem, że natychmiast je odrzuci. Nigdy nawet nie rozmawiał z nią na temat małżeństwa, zabronił tego również swojej żonie Hariko. Kwestia była delikatna i chciał podjąć ją sam. Gdyby padło choć jedno niewłaściwe słowo, Josui mogłaby w ogóle odmówić zamążpójścia.

Doktor Sakai zmienił przy drzwiach słomkowe pantofle na drewniaki i ruszył alejką ku sadzawce. Przystanął i zaczął przyglądać się chlupoczącej wodzie. Wiosenne powietrze przesiąknięte było rzeškością życia. Trzymał wyobrażnię na wodzy i nie pozwolił sobie na rozkoszowanie się porą roku, po prostu coraz bardziej martwił się o Josui. W zeszłym roku popadła w niepokój, a cóż przyniesie jej tegoroczna wiosna? Doskonale ją rozumiał, gdyż w ramach obowiązkowych studiów uzupełniających medycynę uczęszczał na psychologię. Nie tylko ciało mogło czuć się dobrze lub źle, umysł także. Doktor Sakai dał córce środki uspokajające o łagodnym działaniu i co dzień, kiedy tylko wracała ze szkoły, zlecał jej przepisywanie na maszynie pierwszych stu stron swojego rękopisu. Fala upałów nadeszła dość wcześnie i niepokój Josui przeistoczył się w apatię, jednak doktor Sakai był przekonany, że za jej subtelnymi manierami kryje się namiętna natura, rychłe zamążpójście wydawało się więc nieuchronną koniecznością.

Doktor Sakai zerknął na złoty zegarek ukryty pod zwiewnym rękawem. W szpitalu wkładał zachodnie ubranie, ale nauczył się doceniać przewiązywaną w pasie szatę z ciemnego jedwabiu, noszone po domu pantofle na płaskiej podeszwie, a także drewniaki, w których wychodził na zewnątrz. W takim odzieniu czuł się wolny. Dochodziła trzynasta. Josui się spóźniała. Gdzie też się ona wałęsa? Zapewne przygotowano już posiłek, chociaż zarządzana przez panią domu służba nie wezwwała go jeszcze. Czekano na Josui.

Zmarszczył czoło, zapominając o ogrodzie. Jeśli nie zjawi się w ciągu piętnastu minut, nie będzie dłużej czekał. Miłował swą prostą, małomówną żonę, lecz posiłki radowały go bardziej,

jeśli uczestniczyła w nich Josui. Nie miał jednak zamiaru rozpieszczać swego dziecka. Za piętnaście minut zaczną bez niej, a jeżeli nie zdąży wrócić przed końcem posiłku, doktor Sakai poleci sprzątnąć ze stołu. Nic nie zakłóci porządku w jego domu; o czternastej zamierza udać się do szpitala i leczyć pacjentów.

Nie musiał realizować swego postanowienia, Josui zjawiała się bowiem dokładnie po dziesięciu minutach. Usłyszał, jak mosiężny dzwon zawieszony po drugiej stronie bramy dygocze, wydając dźwięk, po którym otwarto i zamknięto bramę. Służąca powitała Josui, energicznie postukując zachodnimi pantofelkami na kamiennej alejce.

Doktor Sakai stał tyłem do domu i nadal przyglądał się sadzawce. Odszukanie ojca należało do obowiązków córki, więc po chwili usłyszał jej cichy głos:

– Ojcie, już jestem.

Odwrócił się, lecz na jego twarzy zabrakło uśmiechu.

– Bardzo się spóźniłaś.

– Ojcie, to nie moja wina – odrzekła, a on zląkł się jej urody, którą podkreślały promienie słoneczne. Wracala ze szkoły ulicą... Jakże ona wygląda!? Miała czarne lśniące włosy, wielkie ciemne roziskrzzone oczy, zaróżowione od upału policzki i czerwone usta. Choć była w domu od kilku zaledwie minut, zdążyła się przebrać w miękkie zielone kimono. Całe szczęście, że po ulicach chodziła w brzydkim szkolnym ubraniu.

– Jak to nie twoja? – zapytał surowo.

– Ulicą maszerowali amerykańscy żołnierze – wytłumaczyła. – Tyłu ich było i każdy musiał poczekać, aż przejdą.

– Gdzieś czekała? – nie dawał za wygraną.

– Stałam w drzwiach szpitala, by nie przeszkadzać. Postanowił nic więcej nie mówić.

– Chodźmy na posiłek. Nie mam zbyt wiele czasu, a nie lubię spóźniać się do szpitala, bo daję tym młodszym lekarzom zły przykład.

Wiedziała, co dokładnie ojciec rozumie pod pojęciem obowiązku, toteż natychmiast wykazała skruchę:

– Ojcie, bardzo przepraszam – rzekła po japońsku, gdyż zdawała sobie sprawę, że tego właśnie sobie życzy, choć nigdy nie mówiła w tym języku tak ochoczo jak po angielsku.

– Wyjaśniłaś już, że to nie twoja wina – odpowiedział. Szedł przed nią z założonymi z tyłu rękoma i zerkał to na prawo, to na lewo. – Przyjrzyj się azaliom. Nigdy nie były równie piękne.

– Są śliczne – zgodziła się.

Wsluchiwał się w jej głos, obserwował wyraz twarzy i szybkość każdego ruchu, by – o ile to w ogóle możliwe – zmierzyć temperaturę jej serca. Nie zazna spokoju, dopóki Josui nie wyjdzie za mąż, nie wytrzyma kolejnej wiosny z takim zmartwieniem. Córka była ciężarem – wprawdzie cenniejszym niż wszystkie inne, ale za to największym.

Josui zdawała sobie sprawę z tego, że ojciec przygląda się jej dyskretnie podczas posiłku. Znała go doskonale i zawsze miała świadomość, że się o nią martwi. Potrafiła przyznać sama

przed sobą, co było tego przyczyną – jej skrytość. Nie wiedział, o czym myśli i jaka jest naprawdę. Choć zachowywała się w jego obecności nienagannie, podejrzewał, że owa nienaganność nie ma nic wspólnego z prawdziwą naturą córki, i nie miał jej tego za złe. Nie mylił się, rzeczywiście bowiem wiodła podwójne życie, jednak wcale nie z braku zadowolenia, lecz z nadmiaru energii. Często myślała, że ma jej aż tyle, bo do piętnastego roku życia mieszkała w Kalifornii, piła mleko od krów wypasanych na koniczynie i zbożu, jadała owoce, warzywa i mięso. Miała w sobie wielkie pokłady siły i emocji oraz jasny i ciekawy świata umysł, toteż bardzo różniła się od bladych spokojnych Japoniek, które spozierały na nią z zachwytem i niechęcią. Nazywano ją Amerykanką, a ona wcale się przed tym nie broniła.

– Chodzisz jak Amerykanka – mawiała Haru Mishima.

W mieście widywało się Amerykanki, ale nie tyle co w Tokio czy Osace. Josui przyglądała się im i stwierdziła, że istotnie chodzi tak jak one, nie stawiała bowiem palców do wewnątrz i jej nogi pozostawały proste. Miłowała drobną Haru o stopach zwróconych do środka, lecz nie wiedziała, skąd wzięło się owo uczucie. Po prostu łatwo przychodziło jej miłowanie bliźniego... Kto wie, być może właśnie z nadmiaru energii... ? W jej japońskim jadłospisie zabrakło mleka, chleba z masłem, jaj i mięsa, ale z apetytem jadała ryż, ryby i warzywa. Dzisiaj śmiała się z niej matka:

– Któż by pomyślał, że jesteś córką wykształconego człowieka? Jesz jak chłopka.

Siedzieli na podłodze przy niskim stole, na którym stały potrawy, a służąca każdemu podała lśniącą czarkę z klarowną zupą, w której pływał wycięty w półokrągłe ząbki plasterek rzodkwi z kawałkiem zielonej sałaty morskiej. Na środku stały trzy misy z rybami i warzywami, a w czystych drewnianych czarno-złoty misach służąca Yumi maczała biały suchy ryż, po który sięgała do drewnianego pojemnika. Za każdym razem kiedy stawiała misę, dyskretnie się kłaniała. Od czasów okupacji i demokracji głęboki ukłon nie był już stosowny, jednak doktor Sakai wymagał lekkiego skinienia. Służąca cieszyła się z tego, oznaczało to bowiem, że w domu mieszka pan, choć nie powinien jadać z żoną i córką. Na rynku usłyszała od innych sług, że Amerykanie również tak postępują, toteż jej pan to ktoś pomiędzy prawdziwym Japończykiem a Amerykaninem – tak go zaklasyfikowała i była z tego powodu kontenta.

Doktor Sakai, dyskretnie zerkając na córkę, uznał, że kolor jej twarzy jest zbyt intensywny, gdyż jej zawsze różowe policzki były tym razem czerwone.

– Stałaś na słońcu, kiedy maszerowali Amerykanie?

– Tak – przyznała. – Dziś rano zapomniałam zabrać z domu parasolkę. Nie sądziłam, że słońce będzie grzało tak mocno. Ponad górami zbierały się chmury, kiedy jedliśmy śniadanie.

– Takie chmury zawsze zapowiadają bezchmurne niebo w południe – oświadczył doktor Sakai. – Deszczu możemy się spodziewać, jeśli chmurzy się od morza.

Pani Sakai spojrzała na córkę.

– Jesteś zdecydowanie zbyt czerwona. Lepiej będzie, jeśli po posiłku nałożysz na twarz nieco białego pudru. Z takimi policzkami dziewczęcę wygląda ordynarnie.

– Żałuję, że jestem jedynaczką – rzekła Josui i wydeła w uśmiechu wargi. – Nie robicie nic innego prócz kontrolowania swej córki.

Rodzice odwrócili wzrok.

– Jutro trzeba urządzić tokonomę – powiedziała pani Sakai. Alkowa wychodziła na ogród. W końcu pokoju, w którym siedzieli przy stole, nad niewielką urną do kadzideł pochylały się pączkująca wierzba i ukwiecona śliwa. Wczoraj Josui położyła pod wędnącą śliwą złotawobrazową żabę. W tokonomie umieszczano się co najwyżej trzy przedmioty. Ojciec zatrudnił jedną z najlepszych nauczycielek w mieście, by wpoila córce tego typu zagadnienia. Drobną kobietą była wdową, mieszkała z synem i jego rodziną w małym ponurym domku nad rzeką Katsura.

– Jutro nazrywam kwiecica brzoskwini – obiecała Josui.

– Wypełniona nim misa z różowego kwarcu będzie tu bardzo pasowała – odrzekł ojciec.

Tak oto atmosfera, która zagęszczała się coraz bardziej, znów stała się spokojna. Josui nic więcej nie mówiła i usłudnie podawała rodzicom naczynia z potrawami. Milczała, dzięki czemu uniknęła ich niezadowolona. Gdyby żył jej brat, mogłaby dzielić z nim ciężar ich wielkiej miłości, mogłaby z nim również dzielić wspomnienia o Ameryce. Być może nawet zaprosiłby ją do siebie, dziś bowiem byłby mężem swej oblubienicy, z którą zapewne miałyby dzieci. Po należytej żałobie dziewczyna poślubiła innego mężczyznę i już nigdy więcej nie otrzymali od niej żadnych wieści, niemniej jednak Josui dość dobrze ją pamiętała. Była drobnym, pełnym życia dziewczęciem z burzą czarnych loków wokół okrągłej bladej twarzy i nosiła jaskrawe amerykańskie ubrania oraz małe pantofelki na wysokim obcasie. Raz nawet wybrano ją na Królową Święta Pracy w liceum w Los Angeles i Josui już zawsze myślała o niej wyłącznie jako o Królowej w połyskującej srebrnej sukni, z wypolerowaną cynową koroną na świeżo podkręconych włosach. Jej ojciec był pastorem kościoła chrześcijańskiego, Sakaiowie zaś buddystami, co martwiło jej rodzinę. Czyż buddyści nie byli poganami? Ta kwestia poróżniła obie rodziny i doktor Sakai nie życzył sobie ujrzeć syna żeniącego się w kościele. Teraz jednak nie miało to już znaczenia, gdyż do ślubu nigdy nie doszło. Kiedy nadszedł jego dzień, brat nie żył, chrześcijańska rodzina przebywała w Arizonie za drutem kolczastym, a Sakaiowie byli w Kioto. Nikt w tym domu nigdy nie wspominał o dniu ślubu, lecz Josui wiedziała, że rodzice pamiętają, sama zaś chadzała do ogrodu i za wysoką skałą łkała z tęsknoty za bratem.

– Takashi Matsui zaprosił mnie na herbatę na dzisiejsze popołudnie – odezwał się nagle ojciec. – Zaproszenie przyszło już pięć dni temu. – Skończył jeść i jak zwykle ze smakiem począł sączyć słabą zieloną herbatę.

Takashi Matsui był jego najzamożniejszym pacjentem. Nie godził się na wycięcie doskwierającego mu pęcherzyka żółciowego. Nie był jeszcze stary i miał trzech synów: jeden przebywał w rosyjskim więzieniu, drugi zginął w ataku na Nankin, trzeci zaś stał się właśnie młodym mężczyzną. Wierzył w to, że Japonia już nigdy nie weźmie udziału w wojnie, czym uszczęśliwiał ojca, który mógł zachować u swego boku przynajmniej jednego syna. Czyż w

nowej konstytucji nie zapisano, że Japonii nie wolno się ponownie zbroić? Tego żądali amerykańscy zdobywcy. Takashi Matsui nie szczędził więc miłości i pieniędzy swemu trzeciemu synowi, Koboriemu, który studiował teraz na uniwersytecie w Tokio. Kształcenie pozostałych synów wydawało mu się zbyteczne, gdyż wiedział, że nieuchronnie zostaną siłą wcieleni do wojska i przysposobieni do walki przez ludzi u władzy, by najprawdopodobniej zginąć na bezkresnej wojnie...

Rodzina Matsuich była bardzo stara i choć mieszkająca w Kioto gałąź nie odgrywała najistotniejszej roli, jej członkowie pozostali najbardziej konserwatywni. Takashi Matsui był z pewnością pierwszym i bodaj jedynym człowiekiem, który po wojnie wskrzeszał tradycję ceremonii picia herbaty. Doktor Sakai miał zamiar po zakończeniu okupacji i przywróceniu niepodległości zbudować pod swym czujnym okiem własną herbaciarnię w odległym, najspokojniejszym zakątku ogrodu. W nowej Japonii wielu wyśmiewało tę pradawną ceremonię, lecz doktor Sakai nie tolerował takiej postawy. Wierzył, że jak najszybsze przywrócenie starych obrzędów i tradycji pomoże wskrzesić japońskiego ducha. W trakcie ceremonii picia herbaty refleksje na temat sztuki i natury przenikały się z przyjemnymi kontaktami towarzyskimi oraz wybornymi potrawami. Doktor Sakai zjadł niewiele podczas południowego posiłku, wiedział bowiem, że późnym popołudniem będzie się rozkoszował kremem z fasoli, daniami z ryb, dziczyzny i warzyw oraz lekką zupą i słodyczami. Podana zostanie również gęsta zielona herbata sporządzona z najdelikatniejszych sproszkowanych liści o łagodnym smaku, zerwanych z rosnących w cieniu starych drzew.

Kto wie, może po czterogodzinnej ceremonii starczy jeszcze czasu na rozmowę z gospodarzem na osobności? Gdyby nadarzyła się taka okazja, pomówiłby ze starszym panem o jego synach. Rozmowa zesłaby z pewnością na trzeciego, najdroższego syna, co z kolei mogłoby poprowadzić do tematu Josui, najukochańszej jedynaczki. O mało co nie doszło do takiej sytuacji podczas dwóch ostatnich spotkań.

Ojciec i córka nie rozmawiali ze sobą – kiedy skończyli posiłek, oboje milczeli pogrążeni w myślach. Kobori, trzeci syn pana Matsuiego, dwa lata starszy od Josui, był w odpowiednim wieku, by się ożenić. Niegdyś ojcowie zajęliby się tą sprawą, lecz teraz wiedzieli, że to na nic. Zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki bomby atomowe zniszczyły coś więcej niż tylko cegły i zaprawę murarską czy nawet ludzi. Doktor Sakai jeszcze nie powiedział córce o młodym mężczyźnie, rzekł za to swojej żonie, że Kobori pragnie tego małżeństwa i Josui powinna to rozważyć. Matka powtórzyła wszystko córce, a ta owszem, rozważyła kwestię, lecz nie potrafiła nic postanowić. Była niespokojna i nie miała ochoty nawet myśleć o Koborim. Nie można powiedzieć, że go nienawdziła, któraż wszak kobieta mogłaby nienawdzić młodego, przystojnego, kulturalnego, poważnego i dumnego mężczyzny? Często go widywała – naturalnie przypadkiem, a nie dlatego, że się ze sobą umówili. Studiował na uniwersytecie w Tokio, ale na święta wracał do domu, spotkała zatem tego postawnego mężczyznę o piwnych oczach na Festiwalu Kwiatu Wiśni zaledwie kilka tygodni temu. Czowała się przy nim dość swobodnie, a

odwagi dodawało jej również to, że rumienił się na jej widok. Miał wyjątkowo jasną skórę i wysokie czoło, toteż każdy mógł zobaczyć jego rumieńce. Zachwyciła się jego przejrzystą czerwoną krwią i bladą cerą, i we właściwy sobie szczyry i amerykański sposób pochwaliła jego bladoszary zagraniczny garnitur. Lecz pomimo podziwu nie zakochała się w nim, co bardzo ją zdumiało, gdyż tak pragnęła się zakochać. Jej serce drżało w gotowości. Chciała miłować mężczyznę i zostać jego żoną, tęskniła za miłosnym obezwładnieniem i pragnęła mu ulec. Niemniej jednak kiedy zerknęła na Koboriego, jej nieugięte serce oddalało się od niego i skutecznie studziło pragnienie.

Tłumiła w sobie osobliwą chęć, by w odpowiedzi na jego łagodny głos zachowywać się nieprzyjemnie i unikać spojrzenia jego dużych, wilgotnych z miłości oczu. Nie dała mu żadnego znaku na zachętę, więc jakim prawem miłował ją tak mocno i otwarcie?

Takie oto buntownicze myśli szalały w jej sercu, kiedy w milczeniu skończyła posiłek, wstała od stołu i ukloniła się rodzicom. Musiała natychmiast wracać do szkoły, gdyż była już nieco spóźniona. Rodzice przyjęli ukłony i poczęli delektować się podaną w czarkach herbatą. Opuściła ich towarzystwo, poszła do swego pokoju i przebrała się z kimona w szkolne ubranie. Nie założyła kapelusza, tylko mając na uwadze komentarze na temat czerwonych policzków, tym razem zabrała zieloną jedwabną parasolkę, by osłonić twarz przed słońcem. Na zielonobiały pasiasty strój składały się spódniczka i bluzka w amerykańskim stylu, a mimo to była pewna, że nie tak ubierają się dwudziestoletnie Amerykanki. Spódniczka sięgała tuż za łydkę, a bluzka miała długie rękawy zapięte przy mankietach na guzik. Josui rozpięła wysoki kołnierzyk, kiedy tylko wyszła za bramę, by powietrze chłodziło jej szyję.

Na ulicy unosiła się cisza. Pomyślała, że Amerykanie zapewne się rozproszyli, by zwiedzić miasto. W wolne dni dość często i hałaśliwie przybywali z Tokio bądź Osaki do Kioto, gdzie zapewne według ich przewodników nadal kwitła starożytna kultura japońska. Słyszała, że podczas wojny amerykańskim bombowcom zakazano niszczyć Kioto, Japończycy również nie zburzyli Pekinu. Jej ojciec nie spodziewał się, że oszczędzą Kioto, nie wierzył bowiem, że Amerykanie pojmują, czym jest kultura. – Musimy wybierać – narzekał czasami – pomiędzy brutalnością komunizmu a wulgarnością Ameryki.

Częstokroć powtarzała sobie (i zawsze z satysfakcją), że jej ojciec to ekstremista, i był to jedyny zarzut, jaki miała śmiałość otwarcie postawić. On jednak odpierał go najdobitniej, jak tylko potrafił – dążył do spokoju, walczył o ciszę i karał Amerykę – jak sądziła – za odesłanie go, a karą stała się miłość do Japonii i wszystkich jej starych obyczajów i wierzeń. Jaka niedorzecznością była ceremonia picia herbaty i jakże absurdalny wydawał jej się widok dorosłych, poważnych mężczyzn, którzy siedzieli w małym domku w ogrodzie i wpatrywali się w przestrzeń w oczekiwaniu na zieloną papkę przygotowaną ze sproszkowanych liści! Ojciec mawiał, że herbata zawiera dużo witamin i działa wzmacniająco na organizm, nie wspominając już o samym pięknie i duchowym znaczeniu ceremonii, Josui jednak za nią nie przepadała. Zeszłej jesieni udała się z rodzicami na ceremonię picia herbaty do pana Matsuiego. Ojciec

nalegał, by zwać ją ChanoYu, choć była to zwykła ceremonia, jakkolwiek ją nazywali. Przeprowadzona z najwyższą starannością, duchowa, intelektualna i pełna powagi rozmowa była po prostu nudna. Pan Matsui recytował krótkie czterowersowe wiersze, jak gdyby układał je na poczekaniu, Josui jednak wiedziała, że przesiedział nad nimi wiele godzin. Jeśli kiedyś pozna Koboriego lepiej, powie mu o tym. Lecc po cóż czekać? Powie mu, jak tylko się z nim spotka.

Szła teraz ulicą pogrążona w myślach. Rozkoszowała się nimi i zagłębiała w nich, wiedząc, że nigdy nie ośmieli się wypowiedzieć ich na głos. Nawet jej matka nie chciałaby się o nich dowiedzieć, a gdyby mimo to Josui nalegała, pokręciłaby głową, zatkała uszy i cierpliwie czekała, aż córka umilknie. Często miała ochotę krzyknąć na matkę, by w końcu przestała tak się zachowywać, lecz nie potrafiła. Całe jej miękkie namiętne amerykańskie wnętrze otaczała skorupa twardej Japonki – była niby wulkan zacopowany coraz twardszą zastygającą lawą, która wewnątrz kipiała i wzbierała.

Spacerowała w słońcu i rozglądała się po ulicy, a jej parasolka rzucała okrągły, ruchliwy cień. Wczoraj padał deszcz, a już dziś pojawienie się wiosny uwypuklała zieleń starych drzew i sękatych krzewów oraz wszechobecna jaskrawość azalii kwitnących w parkach i ogrodach. Josui szła bezgłośnie z wysoko uniesioną głową i wdychała słodkie powietrze dnia. W jej krwi coraz silniej wzburzała się energia, ponaglała ją... Chciała biec, rozpostrzeć ramiona... Biegała tak w Ameryce, a wraz z nią mnóstwo dziewcząt... Biegły z rozpostartymi niby skrzydła ramionami po zacienionej drzewami ulicy ich przedmieścia, niczym lecące ptaki, i śmiały się ze wszystkiego. W Japonii nigdy tego nie robiła i ani razu nie widziała biegnących dziewcząt czy choćby małych dziewczynek. Tutaj młode panny powłóczyły nogami w drewniakach lub w ciężkim skórzanym obuwiu, albo sunęły w materiałowych butach na gumowych podszewkach, które zdawały się stworzone wprost do biegania.

Dotarła do bramy szpitala, za którym znajdowała się szkoła. To tutaj stała, kiedy rankiem maszerowali młodzi Amerykanie. Nie patrzyła w ich stronę, raz tylko zerknęła, powodowana ciekawością. Wyglądali jednakowo, wszyscy się śmiali, rozmawiali, popychali. Mówiło się, że przypominają uczniów, którzy zawsze roześmiani i zwariowani udają, że się biją. Ludzie zadawali sobie pytanie – czy Amerykanie to po prostu dzieci?

Na szpitalnej bramie kwitła wisteria. Purpurowe kiście, ciężkie jak winogrona, zwieszały się bujnie pośród bladozielonych liści. To była pora wisterii, irysów i peonii, które Josui wprost ubóstwiała. Jej ojciec zaś nie przepadał za kwiatami, a piękno ich ogrodu tkwiło w prostocie – były tu jedynie skały, sosny i woda oraz dodające im delikatności bambusy. W ogrodzie warzywnym jej matka hodowała niemal wszystkie kwiaty, które miały zdobić dom, z wyjątkiem rosnącej przy północnej ścianie kępki błękitnych irysów.

Josui rozmyślała o ojcu i jak zwykle naszło ją osobliwe, ambiwalentne uczucie miłości pełnej uwielbienia i urazy. Bezustannie żałowała, że wyjechali z Ameryki. Ojciec nie pojmował i nawet nie usiłował pojąć, że kobiecie w Japonii żyje się znacznie trudniej niż w Ameryce. Kiedy myślała o dziewczętach z Kalifornii, odnosiła wrażenie, że były to młode królowe – tak właśnie

je zapamiętała. Tutaj kobiety nigdy nie były królowymi, a za ledwie przedmiotami, które trwały cierpliwie i wykonywały swe obowiązki. Wątpliwe, że kiedykolwiek się nimi staną, gdyż – jak często mawiał ojciec – Amerykanie odejdą i powróci stara Japonia, nawet jeśli nie cała, to przynajmniej jej część. Twierdził, że wówczas młodzi nie będą mogli zachowywać się tak jak teraz, ponieważ Amerykanie to jak goście w domu. Trzeba przyzwolić dzieciom na pozorną swobodę przy gościach, po których wyjściu i tak dosięgnie je kara.

Josui westchnęła i poczuła przenikliwy, delikatnie słodki zapach wisterii. Kiedy dotarła do szpitalnej bramy, opuściła parasolkę. Opodal stał wysoki, szczupły mężczyzna – Amerykanin w mundurze – i z rękoma w kieszeniach, ze skrzyżowanymi nogami opierał się o mur. Zerknęła na niego zdumiona, a on uśmiechnął się do niej i rzekł:

– Czekałem na ciebie.

Zbyt zaskoczona, by przemówić, wpatrywała się w niego z rozdziawionymi ustami. Był młodym, całkiem przystojnym blondynem. O tak, zdecydowanie przystojnym. Miał oczy błękitne niczym irysy, gładką jasną skórę, duże białe zęby i ładne usta. Wyglądał na silnego i zdrowego, był szeroki w ramionach i szczupły w talii, skórzany pasek leżał na nim idealnie.

Patrzy! na nią roześmiany i powiedział:

– Mogę jeszcze poczekać.

Zarumieniła się i wpatrywała w niego, jak gdyby był jakimś osobliwym stworzeniem. Wskrzesał te wszystkie wspomnienia, które zdążyły się już zatrzeć – o chłopcach z kalifornijskiej szkoły, których zaczynała dostrzegać, gdy wtęm ojciec postanowił wyjechać z Ameryki na zawsze. Miał taki sam głos jak jej brat, oczywiście na ile mogła przypomnieć sobie wypowiedane przez niego słowa.

– Znasz angielski?

– Oczywiście – odparła swobodnie.

Młody mężczyzna z szacunkiem zdjął czapkę.

– Nigdy wcześniej moja modlitwa nie została wysłuchana. To zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

– Co?

– To, że jedyne dziewczę w Japonii, jakie chciałem poznać, zna mój język.

Uśmiechnęła się.

– Jak chciałeś tego dokonać? Nigdy wcześniej cię nie widziałam.

– Zerknęłaś dziś rano, lecz mnie nie zauważyłaś. Ale za to ja dostrzegłem ciebie, kiedy stałaś w tej altanie. To altana, nieprawdaż? Mam taką w ogródku, całą w wisterii. I dziś rano spojrziałem na nią, bo przypomniła mi o matce, a ty stałaś tam i tak ślicznie wyglądałaś.

– Czekałam, aż przemaszerują Amerykanie.

– Premaszerowaliśmy, aleja wróciłem. Reszta jest już w drodze do Nary. Wiesz, taka miła wycieczka. Przyjechaliśmy na przepustkę. Do Nary mogę udać się w każdej chwili, ale doszedłem do wniosku, że jeśli wrócę i poczekam tyle, ile będzie to konieczne, znów się tu

pojawi się.

– Idę do szkoły.

– Jeszcze się uczysz?

– Chodzę do szkoły średniej. Przepraszam, muszę już iść, bo inaczej się spóźnię.

Nadal stał z czapką w dłoni, a słońce rozświetlało jego żółtawe kręcone włosy, które na tle błękitnych oczu nabierały jeszcze jaśniejszego odcienia. Miał szczupłą twarz, wyraźnie zarysowaną szczękę i nieco za wysoko położone kości policzkowe. Wyglądał bardzo schludnie.

– Chcę się z tobą zaprzyjaźnić – rzekł łagodnie niskim, poważnym głosem.

– Nie mogę. Proszę... muszę już iść.

– Dlaczego? – Podszedł do niej, nie dając za wygraną, a ona, wzburzona, ponownie rozłożyła parasolkę. Cóż powinna począć? Gdyby ktoś znajomy ujrzał ją z tym Amerykaninem i opowiedział o tym jej ojcu, z pewnością naraziłaby się na jego największy gniew.

– Proszę, odejdz – rzuciła i pospieszyła przed siebie, nie patrząc na wysokiego mężczyznę.

– Wszak musi być jakiś sposób, by poznać w Japonii mile dziewczę – nalegał. – Na przykład mogę przyjść do ciebie do domu, przysłać liścik albo poznać twych rodziców.

– Och, nie – zawołała. – Jakże rozgniewałbyś tym mego ojca!

– Dlaczego?

– Och, bo tak – odrzekła zdenerwowana.

– Nie lubi Ameryki? – zapytał surowo.

– Doskonale ją zna.

– Doprawdy?

– Niegdyś tam mieszkaliśmy, lecz kiedy wybuchła wojna, wyjechaliśmy, by zamieszkać tutaj.

Dotarła do szkolnych bram, przy których naprawdę musiała się go pozbyć. Na szczęście nikt ich razem nie zobaczył o tej wczesnej popołudniowej godzinie, kiedy większość ludzi uciniała sobie drzemkę.

– Proszę, nie wolno ci ze mną wejść – powiedziała zrozpaczona.

– Jeśli wejdiesz, będę miała kłopoty.

– Zatem nie zrobię tego. Ale jutro znów tu przyjdę. To moje imię i nazwisko.

Dobry z kieszeni niewielkie skórzane etui, z którego wyciągnął wąską karteczkę, a Josui przeczytała: podporucznik Allen Kennedy.

– Powiesz, jak się nazywasz?

Chciała odmówić, lecz zerknęła na niego i pomyślała sobie, że jest tak miły i uprzejmy, a jego usta w półśmieszku tak delikatne... W głębi duszy pragnęła poznać jakichś Amerykanów. Czuli się taka samotna. Trudno było znaleźć przyjaciół wśród Japończyków. Tutaj nikt nie wiedział na temat wielu długich lat jej życia spędzonego w Kalifornii. Nawet za nią nie przepadali i zazdrościli jej, lecz udawali, że ją lubią.

– Nazywam się Josui Sakai.

– Josui Sakai – powtórzył. – Zapewne nie powiesz mi, gdzie mieszkasz...

Pokręciła głową w popłochu, lecz nie potrafiła oprzeć się błagalnemu spojrzeniu. Zrobiło jej się ciepło i miała ochotę się roześmiać. Nie wiedząc co począć, złożyła parasolkę, wbiegła do bramy i wśliznęła się za kępę bambusów. Podążył za nią i począł rozglądać się to tu, to tam, zawahał się przez chwilę i podszedł do obrośniętej wisterią altany. Wtem poczuł przenikliwą, słodką woń kwiatów, na którą wcześniej nie zwrócił uwagi. Jakże udało jej się umknąć? Wdychał odurzającą słodycz głęboko do płuc, by już zawsze kojarzyła mu się z tym uroczym skrytym dziewczęciem. Zwlekał z odejściem, wszak zdarzył się cud, którego nie pojmował. Cóż go tak zaintrygowało? Jakiej woni požądania pozwolił się unieść?

Ujrzała z ukrycia, jak zdumiony spojrzał ku górze i nagle odszedł.

Wyszła zza bambusów z niejaką nadzieją, że Amerykanin nadal czeka opodal bramy, lecz jego już nie było. Odczuła ulgę, ale jednocześnie zrobiło jej się przykro. Nie wierzyła, że kiedykolwiek go jeszcze ujrzy, toteż na popołudniowych lekcjach przypominała sobie jego młodą, piękną twarz, która każdym rysem różniła się od jej własnej, a mimo to wydawała się taka naturalna, jak gdyby była nigdy niezapomnianą częścią jej dzieciństwa.

Doktor Sakai, jak zwykle orzeźwiony po ceremonii picia herbaty, siedział z pozostałymi gośćmi w kontemplacyjnym milczeniu. W niewielu domach przeprowadzano ceremonie o pełnym duchowym znaczeniu. Doktor uznawał się za amatora, gdyż w Kalifornii, w domu jego dzieciństwa, nie urządzono herbaciarni. Jego rodzice byli zbyt zajęci i zmęczeni borykaniem się z życiem w nowym kraju, by wpoić dzieciom choćby to, co sami jeszcze pamiętali, dlatego z pokorą stał się przyjacielem i lekarzem rodziny Matsuich. Wyznał starzejącemu się jegomościowi, że powrócił do tego kraju jako cudzoziemiec, który ponownie musi nauczyć się być Japończykiem.

– To nie tak, że zapomniałem – wyjaśnił. – Przez całe życie czytałem i uczyłem się o Japonii, kiedy zaś dano mi wybór, wiedziałem, że muszę wrócić do domu. Niestety, powinienem się jeszcze wiele nauczyć.

– Masz duszę, a całą resztę można opanować – odrzekł pan Matsui.

On sam nigdy nie opuścił wybrzeży Japonii, toteż z ciekawością powitał wysokiego lekarza o nieco srogim wyglądzie, który wiele wysiłku wkładał w stanie się stuprocentowym Japończykiem, przy czym naturalnie nie był świadom, że nadal zachowuje się jak Amerykanin. Dziś po południu w herbaciarni zaobserwował na przykład jego nadgorliwą duszę, a przecież duch refleksji nie pojawia się na zawołanie. Zamiast jednak o tym mówić, pan Matsui usiłował prowadzić rozmowę w spokojnym tonie i dobył z wyściełanego jedwabiem etui swój najcenniejszy skarb, czarnekę do herbaty.

– Należała do mojego nieżyjącego już przyjaciela, który był mistrzem ChanoYu i zawsze pił z niej herbatę. Tuż przed śmiercią podarował mi ją, gdyż jego jedyny syn nie chciał nauczyć się prowadzenia ceremonii.

Doktor Sakai ujął czarnekę z przesadną ostrożnością i prawidłowo oparł na matach łokcie, tak

wartościowego przedmiotu nie należy wszak trzymać w niepodpartej ręce. Kiedy pan Matsui z niej pił, dzierżył ją w lewej dłoni i podtrzymywał prawą. Doktor Sakai podziwiał bladozielone naczynie, na którym niczego nie wygrawerowano ani nie namalowano. Tworzyła je falista linia i okrągły spód, co sprawiało, że było subtelne jak woda. Oddał je panu Matsuiemu, westchnął i rozejrzał się po pomieszczeniu. Zawieszona woluta, puszką na herbatę, waza, piecyk z rusztem na czajnik, taca i wszystkie potrzebne do ceremonii przybory były piękne w swej prostocie. Pięciu mężczyzn siedziało swobodnie z wyprostowanymi plecami i skrzyżowanymi nogami, a ich dusze koła otaczająca doskonałość. Wierzyli w piękno, byli koneserami, którzy rozumieli, że forma bez ducha jest próżna, i ta świadomość kierowała każdym ich krokiem w pogoni za pięknem dla duszy... Oto jak człowiek tworzy jedność z naturą. Ufali, że pierwiastki piękna muszą przenikać każdy szczegół i cząsteczkę życia, architektury, ceramiki, ozdoby... W herbaciarni stały ułożone w dwie kępy irysy: jedna w pączkach upiętych długim liściem, druga zaś w kwieciu upiętym krótkim liściem. Zebrane z nabożną dbałością liście i kwiaty wydawały się pozbawione sztuczności, lecz każdy wiedział, że ta prostota jedynie sprawia wrażenie naturalnej, w rzeczywistości bowiem wykracza poza granice natury. Osiągnięcie prostoty oznacza zdobycie najwyższego stopnia finezji i w pełni dojrzałemu umysłowi udaje się to na ostatnim etapie swego rozwoju.

W trakcie długiej ceremonii i uczy nie doszło do żadnej kłopotliwej rozmowy. Kiedy było już po wszystkim i słońce miało się ku zachodowi, przyjaciele wstali i przeszli do holu, w podzięce składając gospodarzowi ukłony. Mogli tam pomówić, o czym tylko chcieli, a po kilku minutach dołączył do nich pan Matsui.

Rozmowa ta dała doktorowi Sakaiemu dużo satysfakcji. Tych mężczyzn, którzy nigdy nie opuścili ojczystego kraju, przez wiele lat obcej okupacji pochłaniało ocalenie kultury swego narodu. Sakai wyrzucił z siebie Amerykę i miał teraz puste serce i duszę, ale długie spokojne rozmowy na temat starej Japonii, pradawnych obyczajów oraz zła i dobra sprawiły, że narodził się na nowo.

Pojął, jak to się stało, że Japończycy pozwolili się tak oszukać i narzucić sobie obcy styl życia.

– Każdy naród ma swoje złe duchy – wyjaśnił dziś pan Tanaka, kiedy siedzieli w holu. – W każdym kraju rodzą się prymitywne dusze, których nie sposób niczego nauczyć. Są dzikie od urodzenia, bez wątplenia skazane za jakąś popełnioną w poprzednim wcieleniu zbrodnię. Nie da się ich okiełznać. Dręczą rodziców i rodzinę, stanowią zagrożenie dla swych społeczności i ściągają na nie słabość i niepokój. Ponad sto lat temu istniejące pośród nas duchy wykorzystwały złowieszczą słabość czasów i oznajmiły naszemu narodowi, że zachodnie mocarstwa, które rozdzieliły pomiędzy siebie Azję, zajmą również Japonię. Być może miały rację, kto wie? Toteż nasz naród zląkł się, a ów lęk sprowokował dzikusów. Stworzyli armię i flotę, zajęli Mandżurię i naprawdę żywili nadzieję, że zbudują dla siebie bezpieczne imperium. To był początek wielkiej przemiany. Gdybyśmy ośmielili się zignorować lęk, być może nadal byłibyśmy narodem nie do

zdobycia. Lęk to początek wszelkiej słabości.

Pan Tanaka był starym, niskim, słabowitym mężczyzną, który przeżył siedemdziesiąt lat wielkiej przemiany. Nigdy nie założył cudzoziemskiego ubioru, a w jego domu zabrakło miejsca na krzesło i zachodnie łóżko. Przetwał dzięki odziedziczonemu umiarkowanemu majątkowi, choć było mu coraz trudniej. Ostatnia wojna odebrała mu wszystkich synów, a jego ojciec zginął kilkadziesiąt lat wcześniej podczas pierwszej wojny z Chinami. On sam brzydził się wojną i z powodu owej odrazy stał się wyznawcą buddyzmu i przeciwnikiem religii szinto popierającej patriotyzm, na który się nie godził. Oświadczył, że jako humanista miłuje wszystkich ludzi, i był uczciwy nawet w stosunku do Amerykanów.

– Czasy, w jakich przyszło mi żyć, były przepełnione okrucieństwem – rzekł zamyślony pan Tanaka. Nikt mu nie przerywał. Siedział skulony, zwrócony twarzą do drzwi otwartych na ogród, który tonał w złotych promieniach zachodzącego słońca. – Kiedy zrzucono na Nagasaki bombę atomową, udałem się tam, by zobaczyć zniszczenia. W tym mieście żyje moja rodzina, lecz po ich starym domu nie ma już ani śladu. Stał się grobowcem moich sześciu najstarszych krewnych, którzy mieszkali w nim przez całe życie. Od wizyty tej nie jestem w stanie tolerować choćby najmniejszego przejawu okrucieństwa, na przykład nie potrafię pchać się do tramwaju, jakkolwiek byłoby tłoczno. Jestem taki stary, ale jeśli chodzi o nawet drobny przejaw okrucieństwa, jak choćby delikatne popchnięcie, można rzec, że nie potrafię tak nikogo skrzywdzić, nie potrafię i już. Według mnie dopełniłoby to ostatni wielki przejaw okrucieństwa i stwierdziłbym, że mam dosyć takiego świata. Nie potrafię rozdeptać mrówki, zabić muchy ani pozwolić dziecku na płacz. Jakiegokolwiek okrucieństwo ponad to, którego się kiedykolwiek dopuszczono nie tylko tu, ale i na całym świecie, sprawiłoby, że miałbym dość. Buddo, oszczędź nam okrucieństw!

Uniósł szczerą starą twarz i przymknął powieki, a doktor Sakai pochylił głowę i poczuł głęboko w sercu rozdzierający, lecz poniekąd wzmacniający smutek.

Wstali, by się ostatecznie pożegnać. Nie nadarzyła się sposobność, by pomówić z panem Matsumim o dzieciach, ale i tak nie miał teraz na to ochoty. Popołudnie upłynęło mu bardzo przyjemnie – zrosił duszę kroplami przeszłości i douczył się, jak być Japończykiem. Nie chciał myśleć o córce ani o jutrze. Wszystko w swoim czasie...

Ukojony, powoli skierował się do domu.

Pani Sakai czekała na męża w głównym pokoju. Jakże powie mu o tym, co wydarzyło się dziś po południu podczas jego nieobecności? Lękała się go, nikogo bowiem nie podziwiała tak bardzo. Gdyby tylko miała dość śmiałości, miłowałaby go całym sercem, nie potrafiła jednak kochać kogoś, kto budził w niej tyle podziwu. Jego bystry umysł dostrzegał każdą niedoskonałość, toteż miała w sobie dużo pokory.

Co więcej, nieme czeluście jej serca skrywały sekretny grzech, którego nigdy nie mogłaby wyznać – nie przepadała za Japonią i nie chciała wyjeżdżać z Ameryki. Już wolałaby obóz koncentracyjny, gdzie żyli wszyscy jej przyjaciele. Naturalnie, tamtejsze życie nie było

komfortowe i wiedziała od męża o wszystkich jego trudach, niemniej jednak byłaby z przyjaciółkami, z którymi gotowałyby, prała i w nieskończoność rozmawiała. Miałyby też więcej czasu niż kiedykolwiek i nie musieliby zarabiać na życie, zapewniano tam bowiem łącznie wyżywienie. Suchy ciepły klimat pustynny również by jej bardziej odpowiadał, podczas gdy w Kioto było mokro i nawet teraz w domu panowały chłód i wilgoć z powodu bliskości gór, nadmorskich mgieł i płynącej przez ogród wody.

W oczekiwaniu na męża siadła stosownie na podłodze. Odziana była w swe drugie najpiękniejsze purpurowe kimono z czystą białą jedwabną plisą na dekolcie i własnoręcznie wykonane, podwójnie obszyte śnieżnobiałe bawełniane skarpety. Potrafiła zrobić wszystko, gdyż wychowała się w Japonii. Jej uboga rodzina żyła na małej górskiej farmie położonej na wysokich wzgórzach ponad Nagasaki opodal wulkanu Unzen. Mieli dość blisko do źródeł termalnych, więc czasami, wiosną bądź jesienią, robili sobie dzień wolny, by zobaczyć kwiaty i kolorowe drzewa, po drodze przyrządzali sobie rybę na dobową spomiędzy skał parze.

Jej bardzo ubogi ojciec miał wiele córek, toteż kiedy pewnego dnia przeczytał w gazecie, że mieszkający w Ameryce młodzi Japończycy poszukują żon, zgłosił Hariko i wysłał jej fotografię oraz dane. I tak oto znalazła się za oceanem. Wybrała ją matka doktora Sakaiego, który spojrzał na jej subtelną twarz łaskawym okiem. Kiedy była dziewczęciem, miała niezbyt ładną, ale za to bardzo miłą twarz. Nie przypuszczała, że przydzielają mężczyźni, który jest lekarzem. Nie spodziewała się również, że z tego powodu nie spodoba jej jej krzywe nogi, krótkie pulchne stopy i dłonie oraz że zapyta o jej sposób odżywiania się, bo i o cóż tu pytać – zawsze jadła jedynie ryż, ryby i niektóre warzywa. Kiedy przyszedł na świat ich dzieci, Sotan Sakai łatwo wpadał w gniew, gdyż nie zawsze zważała na to, by karmić je tak jak kazał. W przypadku nieżyjącego chłopca jednak to wszystko nie było już ważne. Żałowała, że zmuszała go do picia obrzydliwego krowiego mleka, że zmuszała do czegokolwiek, czego nie lubił, lecz i tak nie miało to teraz żadnego znaczenia... Jakże przy tym łkała! Nigdy nie będzie mogła odwiedzić jego grobu. Jak zwykle kiedy myślała o Kensanie, do oczu napływały jej łzy. Starannie osuszyła je spodnią stroną podszewki szerokich rękawów i wydmuchała nos w chusteczkę, którą trzymała pod jednym z nich, po czym zmiotła ją i wyrzuciła do stojącego opodal kosza na śmieci. Przyjęła wiele amerykańskich zwyczajów, ale nigdy nie używała niehigienicznych materiałowych chustek do nosa.

W tej chwili dobiegł ją odgłos kroków męża i usłyszała służącą, która spieszyła go powitać i zdjąć mu obuwie. Wstała, podeszła do drzwi i ukloniła się, on zaś skinął ku niej głową i powiedział coś na powitanie, choć nie było to jej imię. Poszła za nim do pokoju, w którym na niego czekała, a kiedy siadł, uklękła i położyła dłoń na wyściełanej pokrywie gorącego imbryczka. Zamierzała nalać mu do czarki herbaty, lecz uniósł dłoń i powiedział:

– Dziękuję, właśnie piłem wyborną herbatę.

Jedyne, za co była wdzięczna Japonii, to kimona, które zakrywały jej krzywe nogi. W Ameryce musiała nauczyć się żyć z tym mankamentem urody, gdyż nosiła wówczas bawełniane

podomki jak wszystkie tamtejsze kobiety. Mąż nigdy nie zaakceptował jej nóg, choć o tym nie mówił, a jedynie odwracał od nich wzrok, co było jeszcze okrutniejsze od słów.

Jakże powie mu o tym, co wydarzyło się dziś po południu? Zastłoniła usta dłonią i zakasłała, a on natychmiast uniósł wzrok.

– Hariko, co się dzieje?

– Doprawdy nie wiem, jak ci to powiedzieć – odrzekła, a kiedy na niego spojrzała, dostrzegł w jej oczach zmartwienie. Nadal ładnie wyglądała. Miała subtelne lico i okrągłe dziecięce oczy. Wprawdzie to nie one najpiękniej zdobiły twarz Japonki, ale podobały mu się.

– Potłukła się waza z epoki dynastii Sung? – zapytał zatrwożony.

– Och nie, nic takiego strasznego się nie stało – zaprzeczyła błyskawicznie.

– Zdechł duży karp?

– Och nie, nic nie zdechło.

– Podejdz, proszę, nie zabiję cię ani nawet nie uderzę. Jego dobry nastrój dodał jej odwagi.

– Dziś po południu przyszedł tu młody mężczyzna i pytał o ciebie – zaczęła ostrożnie. –

Pacjent?

– Niestety nie – zawahała się i po chwili wyrzuciła: – Amerykańska żołnierz.

Jego szczupła przystojna twarz całkowicie straciła wyraz.

– Nie znam żadnego Amerykanina.

– Nie twierdził, że cię zna, a jedynie, że pragnie cię poznać.

– Skąd zna moje nazwisko?

– Ponoć od przyjaciela.

– Cóż mu rzekłaś?

– Że cię nie ma. Chciał poczekać, lecz mu nie pozwoliłam. Lękałam się, że w każdej chwili pojawi się Josui, a to nie byłoby dobre.

– Z pewnością.

– Powiedziałam, że wszystko ci przekażę, na co oświadczył, że znów tu przyjdzie. Pytał, o której godzinie zastanie cię w domu, ale mówiłam, że najlepiej będzie, jeśli przyjdzie do twojego gabinetu w szpitalu o dziesiątej rano, gdyż nie przyjmujesz w domu obcych ludzi.

– Bardzo słusznie. – Zawahał się i zacisnął usta. – Amerykanin! Prawdopodobnie ktoś stamtąd dał mu na mnie namiar.

– Tak – zgodziła się i zrobiło jej się lżej na sercu. Dobrze sobie poradziła. Powiedziała mu, a on się na nią nie rozgniewał. To podłe, że lękała się jego złości, nigdy bowiem nie usłyszała od niego ani jednego przykrego słowa, lecz była tak wrażliwa na jego dezaprobatę, że wyczuwała choćby najmniejszy cień mroku w jego duszy. Był niebywale opanowany, a i tak nie potrafił niczego przed nią ukryć. Wstała z gracją, pomimo że miała krótkie nogi. – A teraz przepraszam cię na chwilę, ale muszę zająć się kilkoma sprawami.

Bez słowa skinął głową. Nie chciał stracić dobrego nastroju po spędzonym z przyjaciółmi popołudniu. Kiedy żona wyszła z pokoju, siadł w bezruchu zwrócony twarzą do ogrodu i

niespiesznie pomyślał o narzucającym się Amerykaninie. Ogrodnik podlewał krzewy i rosił wodą kamienie i skały.

Pani Sakai przyjrzała się mężowi i delikatnie zasunęła za sobą parawan z płatów papieru. Nie zapytał jej, jakiego typu mężczyzną był Amerykanin, a ona nic mu na ten temat nie powiedziała, co mogło uchodzić za swego rodzaju kłamstwo, przynajmniej takie teraz miała poczucie. Żołnierz podobał się jej. Widywała w Kalifornii zamożnych młodych mężczyzn. Zapytała go, czy stamtąd pochodzi, ale zaprzeczył.

– Zna pani angielski? – zawołał.

– Trochę – rzekła, ale starała się nie uśmiechać z powodu zepsutych zębów, Amerykanom bowiem podobały się ładne i białe. Prawdopodobnie bieda, która wykrzywiła jej nogi, zepsuła również jej zęby, lecz kiedy była młoda, dla nikogo nie miało to znaczenia, gdyż jej krajanki i tak je sobie czerniły, gdy wychodziły za mąż. Jej matka także miała czarne zęby, czarne niczym laka.

– Czy pan również jest z Kalifornii? – zapytała ponownie.

– Dlaczego również? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Czy pani stamtąd pochodzi?

– Mieszkaliśmy tam.

– Jestem z Wirginii, to bardzo ładne miejsce.

– Niestety, nie znam jej.

Postanowiła zakończyć tę swobodną rozmowę. Zawsze była zbyt przyjaźnie nastawiona do Amerykanów. Zrobiło jej się chłodno. Naprawdę jej się podobał – był taki młody i wyglądał tak świeżo... Nazywał się Allen Kennedy. Wręczył jej karteczkę, na której widniało jego imię i nazwisko. Wymówił je, a ona powtórzyła za nim obydwa słowa. Nigdy nie nauczyła się czytać po angielsku.

Podreptała bezgłośnie wąskim korytarzem do sypialni, która nie sprawiałaby wrażenia oddzielnego pokoju, gdyby odsunięto pełniące funkcję ścian parawany, niemniej jednak zazwyczaj je zasuwiała, by wygospodarować sobie miejsce na odpoczynek. Tak naprawdę nie miała nic do zrobienia, Sotan bowiem powiedział jej, by nie przygotowywała kolacji, toteż przed snem Josui zjadła chleb z zagranicznym dżemem, który popiła herbatą z mlekiem z puszki, Hariko zaś spożyła czarkę kleiku ryżowego. Dobyła małą komódkę i postawiła ją na niskim stoliku, po czym uklękła i powoli poukładała jej zawartość: biżuterię, wstążki, kilka fotografii Kensana i zdjęcie ich domu w Los Angeles, który nie należał już do nich, lecz do mieszkających w nim Murzynów.

Parawan przesunął się o kilka cali i ujrzała uśmiechniętą Josui.

– Tu jesteś, mamusiu.

– Widziałaś się z ojcem?

– Nie.

Kiedy weszła do pokoju, matka natychmiast dostrzegła, że coś jej się przytrafiło, coś przyjemnego... Bezustannie szeroko otwarte oczy, zbyt duże jak na Japonkę, promieniały tajemniczą radością. Nie nauczyła się jeszcze, że ukryłaby emocje, gdyby na jej twarzy malował

się spokój.

– Wyglądasz na szczęśliwą – rzekła pani Sakai. – Stało się coś miłego...

Josui pokręciła głową.

– To przez wiosnę, matko.

Lecz czy sama wiosna mogła wyrzeźbić taką czułość w każdym calu tego ślicznego subtelnego lica? Pani Sakai wątpiła w to. Nadal wpatrywała się w córkę w zadumie i usiłowała sobie przypomnieć, jak odczuwała wiosnę, kiedy miała dwadzieścia lat. W tym wieku harowała na farmie ojca i nadejście wiosny oznaczało oranie, ciągnięcie wielkiej brony i rozsiewanie nasion. Kiedy nastawało wczesne lato, zalewano pola pod uprawę ryżu, a ona brodziła w błotnistej wodzie po kolana i pomagała sadzić młode rośliny. Nie, nie potrafiła sobie przypomnieć niczego przyjemnego, co byłoby związane z wiosną.

Nie naciskała na córkę, ta bowiem należała do ojca, do niej zaś niegdyś należał syn. Gdyby żył, miałyby już wnuki, najukochańsze maluchy, które z pewnością wyrosłyby na Amerykanów, czym by się zupełnie nie przejęła. W Ameryce kobiety miały pralki i kuchenki elektryczne...

Josui stanęła przy niej i uniosła kilka fotografii Kensana. Na niektórych był małym chłopcem, a na jednej stał z Setsu, jego oblubienicą ze świeżo podciętymi i podkreconymi włosami.

– Chciałabym, żeby ojciec pozwolił mi ściąć włosy – odezwała się nagle niezadowolona. Miała proste, długie włosy, które zaczesywała do tyłu i upinała na karku w okrągły ciężki kok. Nigdy nie potrafiła ich podkreścić.

– Nie pozwoli – powiedziała matka, która również spoglądała na Setsu. – Zapewne ma już dzieci.

– Narodzone w obozie koncentracyjnym – przypomniała Josui.

– Tak – potwierdziła matka. Ale gdyby Kensan żył i wszyscy zostali razem, miło byłoby mieć dzieci, choćby w obozie. Amerykanie nikogo nie zabijali, nie postępowali jak Niemcy i zapewniali wystarczającą ilość pożywienia. – Uważam, że obóz nie był taki zły.

– Och, sama nie wiem. – Josui westchnęła niespokojnie i zmarszczyła czoło, po czym z jej twarzy znikł blask, pomimo że przecież była wiosna.

To westchnięcie zastanowiło matkę. Czy powinna powiedzieć jej o Amerykaninie? Choćby jako ciekawostkę? Nie, lepiej nie. Odłożyła błyskotki i fotografie i starannie owinęła je w bibułkę.

– Pójdę się przebrać – oznajmiła Josui.

Wyszła i zasunęła parawan, a pani Sakai cieszyła się, że jednak nic nie powiedziała – doprawdy lepiej o niczym nie wspominać.

Josui poszła do swego prywatnego zakątka w tym rozległym domu i poczęła przeglądać się w lusterku. Ukłękła zwrócona twarzą do ogrodu i po chwili w pełni oświetliły ją purpurowe promienie słoneczne. Lusterko stało na niskiej chińskiej komódce z wypolerowanego ciemnego drewna, która mierzyła co najwyżej stopę wysokości. Dziewczyna przebrała się ze szkolnego

ubrania w bladuróżowe kimono, na którym ciemniejszym różem wyhaftowano gałąź brzoskwiniowego kwiecia.

Cóż uważali za piękno Amerykanie? Na szczęście była urodziwym dziewczęciem o skórze białej niby wewnątrz migdała. Miała trochę zbyt pełną dolną wargę i wyglądała zbyt zdrowo... Jej policzki były różane niczym owo brzoskwiniowe kwiecie, intensywniejsze w kolorze niż jedwab jej kimona. Miała skośne orientalne oczy, które on może uznałby za brzydkie pomimo podwójnych powiek, jakie miało niewiele jej krajanek. Z pewnością Amerykanin rzekłby, że jej nos jest zbyt nisko. Czy miałaby przyjaciół, gdyby żyła teraz w Ameryce? W końcu każdy kiedyś wyszedł z obozu. Ponoć Amerykanie znów byli dla nich mili i nie stwarzali żadnych problemów, a nawet jeśli, to bardzo błahe. Wiele gazet rozpisywało się o stacjonującym we Włoszech odważnym batalionie Kensana, a niektóre artykuły dotyczyły wprost jego samego. Jako jeden z pierwszych żołnierzy zaatakował wzgórze, które mieli rozkaz zająć, i zginął, prowadząc pozostałych. – Lepiej nie być zbyt odważnym – mówiła matka, łkając, gdy patrzyła na jego fotografię w amerykańskich gazetach.

Cóż ma uczynić, jeśli jutro znów spotka Amerykanina? Nie powinna była mu mówić, jak się nazywa, jednak takie zachowanie wydawało jej się niegrzeczne. Dobyła z zanadru otrzymaną od niego małą wąską karteczkę i łagodnie wypowiedziała jego imię i nazwisko: Allenn Kennedy. W domu mówiono na niego Allenn, lecz nie wiedziała, co oznacza to imię. Nazwisko Kennedy również musiało coś znaczyć, a Wirginia? Wiedziała zaledwie, że to położony daleko od Kalifornii stan we wschodniej Ameryce, lecz nic więcej nie potrafiła sobie przypomnieć z podręczników. Sprawdzi to jutro w szkolnym atlasie.

Włożyła karteczkę w zanadru i ponownie zerknęła w lusterko, w którym dostrzegła krągłość ust i fałdy powiek, po czym uniosła ku policzkom małe dłonie, rozpalone, pomimo że zawsze były chłodne. Gdyby zechciał ich dotknąć na powitanie zgodnie z amerykańskim zwyczajem, nie pozwoliłaby mu na to, wszak dłoń dziewczęcia to intymna strefa i nie powinien beztróska dotykać jej ktoś obcy – jedynie mężowi wolno byłoby ją muskać.

Kiedy tak nad tym dumiała, parawan odsunął się i w wejściu stanęła powściągliwa Yumi. Odziana w błękitne bawełniane kimono służąca wpatrywała się w stojącą przed lusterkiem Josui i rzekła donośnie:

– Twój ojciec prosi, byś przyszła, czeka w sosnowym lasku. Josui złożyła lusterko, które jednocześnie było wierzchem malej komódki.

– Przekaż mu, że już idę.

Kiedy Yumi nadeszła z wiadomością, doktor Sakai spacerował po ogrodzie pomiędzy sosnami. Pod jego stopami rósł wysoki miękki zielony mech, a w powietrzu unosiła się czysta woń ogrzanej słonecznym dniem świeżej żywicy.

– Czcigodna córka już idzie – oznajmiła służąca i ukloniła się dyskretnie.

– A cóż porabiała?

– Przeglądała się w lusterku.

Znieruchomiał. Przeglądała się w lusterku! Czyż nie był to znamieny fakt? Czy jest prawdopodobne, że i ona poznała Amerykanina? Mogli się spotkać dzisiejszego poranka i zamienić ze sobą choćby jedno słowo. Amerykańscy żołnierze nie zwykli zaczepiać pierwszego lepszego dziewczęcia, ale Josui była bardzo urodziwa, zbyt urodziwa. Musi poznać prawdę, nie życzy sobie żadnych tajemnic. Amerykanom nie można ufać, jeśli chodzi o kobiety. Nie wolno im brać jego córki za gejszę bądź dziewczę lekkich obyczajów.

Josui szła ku ojcu bardzo powoli. Wtem napotkała jego ciemne przenikliwe spojrzenie. Na zmarszczonym czole widniała narośl, od której rozchodziły się dwie czarne linie uniesione ku górze niby ptasie bądź motyle skrzydła, lecz któż mógłby wyobrazić sobie motyla, który siedzi ponad czarnymi oczami jej ojca?

Nie potrafił nad sobą zapanować, dlatego rzekł ostro:

– Czuję, że coś przede mną ukrywasz!

Była tak nieprzyzwyczajona do jego ataków, że aż się zdumiała. W Ameryce bywał porywczy i częstokroć się gniewał, by już po chwili okazać skruchę, a mimo to nie potrafił pohamować wybuchów złości. Dopiero ostatnimi czasy, od powrotu do Japonii, stał się małomówny i powściągliwy i dążył ku opanowaniu poprzez medytację.

Uniosła głowę i spytała zdziwiona: ;

– Cóż przed tobą skrywam?

– Nie traktuj mnie jak głupca – oświadczył szorstko. – Jestem nie tylko lekarzem, lecz również psychologiem. Zmienił się twój nastrój. Nie jesteś już tym samym dziewczęciem co wczoraj. Coś ci się przytrafiło.

Prowadził tę rozmowę tak, jak podpowiadała mu intuicja. Jego przenikliwość zaskoczyła ją – czyżby zdradziła się przed nim aż tak szybko?

– Naprawdę nic mi się nie przytrafiło. Chociaż może masz rację... Kiedy ujrzałam dziś Amerykanów, przypominałam sobie o wielu rzeczach, o których, jak mi się dotąd wydawało, zapomniałam. Ojciec, spędziłam tam piętnaście lat życia, tutaj zaś zaledwie pięć.

Gwałtownym ruchem głowy dał jej znak, by szła u jego boku. Był poirytowany, wyczerpany i zbyt zdenerwowany, by sięgnąć. Natychmiast go zrozumiała i poczęli przechadzać się po sosnowym lasku. Nastął późny zmierzch, a luna po zachodzącym słońcu zazieleniła się barwą mchu i zrobiła niemal fosforyzująca.

– Możesz mi zaufać – rzekł ojciec – nawet musisz mi zaufać. Pamiętaj, mam tylko ciebie, zawsze miałem tylko ciebie. Twoja wspaniała matka jest dobrą żoną, czegoż więcej mógłbyś chcieć mężczyzna? Ale to ty jesteś moim dopełnieniem, mamy takie same umysły. Twój brat był taki jak matka, ty zaś jesteś taka jak ja.

– Jestem zupełnie inna – zbuntowała się natychmiast.

– Teraz jesteś nieco inna – zgodził się – ale kiedyś będziesz taka jak ja. Teraz uwidacznia się między nami największa różnica pokoleń, lecz potem, kiedy ułożysz sobie życie i nie będziesz miała potrzeby buntować się przeciwko mnie, by zaznaczyć swą niezależność, dojdiesz do

wniosku, jak bardzo jesteś do mnie podobna.

Poczuła, że gęsta sieć jego miłości oplata ją zbyt mocno, toteż cofnęła się raptownie, lecz ojciec chwycił ją w sposób wykluczający jakikolwiek sprzeciw. Miała przy sobie niewielką broń, mały nóż, który mógłby przeciąć owo babie lato, choć nie wydawał się ostrzejszy od obłoku. Wsunęła dłoń w zanadrze, wyjęła wąską karteczkę i bez słowa podała ją ojcu, on zaś pochylił się, zerknął na imię i nazwisko i wnet pojął, o co chodzi, po czym wyciągnął identyczną karteczkę.

– Skąd to masz? – zawołała zaskoczona. Była zgubiona.

– Mógłbym zadać ci to samo pytanie – odparł poważnie.

– Dostałam od kogoś.

– Ktoś tu dzisiaj przyszedł podczas mojej nieobecności i dał to matce – rzekł jeszcze poważniej.

Patrzyli na siebie – on srogo uniósł brwi, ona wpatrywała się w niego i postanowiła się go nie lękać.

– Ach, Josui – powiedział niebywale niskim głosem.

Opadła z sił i bez słowa wręczyła mu wąską karteczkę, a on wziął ją i włożył obie w zanadrze.

– Widzisz? Miałem rację – stwierdził czule smutnym głosem. – A teraz, moje dziecko, powiedz, co ci się przytrafiło?

Lecz nie potrafiła mu nic powiedzieć. Jej oczy wypełniły łzy, które spływały po policzkach. Nie zatrzymując się, uniosła rękawy kimona i osuszyła nimi powieki.

– Proszę, nie ukrywaj nic przed swymi rodzicami – dodał po długim milczeniu. – Nie zabronię ci niczego, co jest dla ciebie dobre. Jeśli nas opuścisz, zapewne złamię mi to serce, choć złamano je już dawno temu...

Uniosła głowę i powiedziała:

– Ponieważ Kensan nie żyje?

– Nie, to miało miejsce na długo zanim oboje przyszlście na świat, gdy byłem młody... zresztą nieistotne, to już bez znaczenia.

W rzeczy samej, nie miało to teraz znaczenia. Pomyślała, że ojciec ma już prawie pięćdziesiąt lat i to, co wydarzyło się w jego młodości, nie jest teraz ważne. Wzdrygnęła się na samą myśl – czuła, że może być dla niej jedynie takim ojcem, jakiego od zawsze znała: apodyktycznym, absolutnie czułym, upartym i kontrolującym wszystkich dokoła. Pomyślała o sobie.

– Powiedz, dlaczego zachowałam tę karteczkę? – Ojciec począł łagodnie namawiać ją do zwierzeń.

Jego życzliwość wzruszyła ją, toteż zaczęła mówić i łkać, a łzy ocierała rękawami.

– Nie wiem! Nie ma o czym mówić. Zaczepił mnie pod wisterią i zapytał, jak się nazywam, a ja... powiedziałam mu. To wszystko.

– Ile razy się z nim widziałas?

– Przysięgam, że tylko raz, dzisiaj. Zobaczył mnie o poranku i postanowił mnie odszukać. Było ich tak wielu, że za pierwszym razem nie dostrzegłam go, kiedy maszerowali.

Poznawszy prawdę, ojciec okazał jej życzliwość.

– Nie obwiniam cię o to, co uczynił, niemniej jednak trzeba było mu nic nie mówić, no ale mieszkałaś w Ameryce zbyt wiele lat, jak sama stwierdziłaś.

– Nie powiedziałam tak!

– Zatem wiele lat – dał za wygraną – lecz nigdy tam nie wrócimy i. już na zawsze zostaniemy tutaj. Moje dziecko, twoje życie toczy się tutaj i tutaj wyjdiesz za męża. Obiecuję, że nie zmuszę cię do zamążpójścia, i nie musisz się spieszyć, ale proszę, przynajmniej bądź ze nią szczerą. – Usiłował się rozchmurzyć. – Najlepiej jest wziąć ślub za młodu, kiedy pojawia się pierwsze pożądanie. Nie warto czekać zbyt długo, zwłaszcza jeśli jest się kobietą, gdyż naturalne pożądanie słabnie, a jego miejsce zajmują inne zainteresowania. Znałem w Ameryce wiele kobiet, z których uszło ono całkowicie, bo były pochłonięte robieniem kariery, co pod pewnymi względami jest dobre, lecz może również niebezpiecznie wpłynąć na kobiecość. Zatem zobaczymy, co też możemy zrobić... Jeśli nie chcesz Koboriego Matsuiego, znajdziemy ci kogoś innego. I pamiętaj, nie jestem potworem, sama będziesz mogła dokonać wyboru.

Pragnął ją uspokoić, a ona uświadomiła sobie ogrom jego miłości. Tak bardzo mu współczuła, że nie miała serca psuć mu nastroju.

– Daj mi choć rok, dopóki nie ukończę szkoły, tak bardzo bym tego chciała...

– Naturalnie, zgoda. To co? Koniec rozmowy? Wszystko jasne?

– Tak – wymamrotała niechętnie.

– A więc... – zawiesił głos i ujrzała, jak wyjmując z zanzadza wizytówki i drze je na strzępy, a kiedy skończył, schylił się, uniósł kępkę wysokiego mchu i położył pod nią, niby do niewielkiego grobu, podarte karteczki, po czym przykrył je i wstał. – Chodźmy do domu, już zmierzcha.

W rzeczy samej, zapadał już zmrok i w sosnowym lasku pojawiały się pobłyskujące robaczki świętojańskie.

Allen Kennedy przewracał się niespokojnie z boku na bok w puszystej pościeli. Japońskie łóżka zmyliłyby niejednego. Kiedy się na nich kładło, wydawały się miękkie, gdyż składały się z wypełnionej puchem i powleczonej jedwabiem pościeli oraz niezwykle szerokiego sprężystego materaca. Kiedy jednak leżał tak przez chwilę, twarda wypastowana drewniana podłoga dawała mu się we znaki i za nic miała jego kości. Problem tkwił w tym, że nie był dość zmęczony. Wróg i upojenie. W jego krwi płonęło pożądanie. Śliczne dziewczę zachwiało wszystkim, co dotychczas skrupulatnie kontrolował: jego planami, zwyczajami... Na wojnie nie mógł znieść ordynarnych, prostackich nawyków zwykłych mężczyzn, a jednak czuł w sobie te same żądze. Nie chciał wierzyć, że jest w stanie łączyćwie osiągnąć kobiece ciało, jakkolwiek byłoby ono wykwintne, a przecież to oczywiste, że był. Dziś w nocy zbuntowała się przeciwko niemu potrzeba, która zawsze mu towarzyszyła, a której nie usiłował znów zaspokoić w domu publicznym, choć nie dawała mu spokoju. Pragnął myśleć o dziewczynie jak o pięknej fotografii,

lecz myślał o niej jedynie jak o samicy, jak o istocie stworzonej do pokrycia.

Siadł raptownie, oplótł nogi długimi rękoma i oparł głowę o kolana. Żałował, że nie potrafi rozgraniczyć miłości od pożądania. Niemniej jednak jakaś subtelność, którą – jak sądził – wpoila mu matka, ta drobna, delikatna istota o olbrzymiej woli, spajała miłość z pożądaniem. Cierpiał na swego rodzaju impotencję. Kilkukrotnie sprawdzał to z nierządnicą. Taka była prawda. Musiał pokochać przed zaspokojeniem pożądania. Oto powód do wstydu. Z całego serca zazdrościł tym nieokrzesanym prostakom, którzy wchodzili spragnieni i chełpiąc się, wychodzili. Zazdrościł im przede wszystkim dlatego, że nie mieli świadomości swego prostactwa. W armii było ich pełno i wiedli tam wspaniałe życie, lecz on był, jaki był. Ariel nie przemienił się w Kalibana.

Opanował go zbyt duży niepokój, by mógł nadal udawać, że chce mu się spać, toteż wstał z łóżka i założył szlafrok. Każdy japoński hotel zapewniał gościom szlafroki. To niedrogie bawełniane odzienie w barwach błękitu i bieli było pięknie uszyte. Japończycy mieli dobry gust i zapewne to właśnie dlatego umiłował ich kraj, choć kiedy tylko usiłowali stać się cudzoziemcami, ów gust wnet się ulatniał. Być może jego matka doceniłaby zdobiące wszystkie wnętrza wykwintną ceramikę, wspaniałe ryciny i delikatne jedwabie, kto wie? Dziś po południu pani Sakai nie wpuściła go do środka, ale za jej pochyloną głową dostrzegł panoramę pokoiów oświetlonych perłowymi promieniami słonecznymi, które wpadały przez płyty papieru. Panorama kończyła się u wyjścia do ogrodu, za którym ujrzał srebrną smugę wodospadu. Nie miał sposobności poznać wykształconych mieszkańców tego kraju, wszak prawo surowo zabraniało przyprowadzania Japończyków do zajmowanych przez Amerykanów kwater, a nawet w pociągach nie wolno było się z nimi mieszać. Nie interesowały go znajomości z Japończykami na niskim poziomie, gdyż byli dla niego gorsi niż Amerykanie ich pokroju.

Lecz urocze dziewczę spod wisterii chowało się w porządnym domu. Nie wiedziałby, jak wymówić jej imię, gdyby się nie przedstawiła. Nie potrafił zapomnieć jej lica, tak czystego i ślicznego... Miała takie duże oczy i zmysłowe usta... Nauczył się lubić orientalne oczy. I mówiła po angielsku jak Amerykanka, choć niezbyt swobodnie. Miała dobry akcent i łagodny głos. Była dobrze wychowana, co również wydawało się niezwykle. Dobrze wychowane dziewczęta bowiem nie dawały Amerykanom żadnej szansy na jakikolwiek kontakt. Lecz Josui mieszkała niegdyś w Ameryce, dzięki czemu nieco się od nich różniła, a jednocześnie nadal pozostała nieśmiała, co go przeogromnie radowało.

Stał w drzwiach otwartych na maleńki ogród w zakątku przyległym do otaczającego hotel muru. Był tu basen wielkości miednicy i karłowate drzewo, może dwa. Powinien zadać sobie pytanie, czegoż chce od tego dziewczęcia. Gdyby pozwolił rosnąć pożądaniu... albo nie, gdyby nie stłumił go natychmiast... do czego by to doprowadziło? Byłby to żenujący, rozdzierający serce romans, nic więcej. Pomyślał, że Josui to nie madame Butterfly, którą można pokochać i porzucić.

Była ciemna, spokojna noc. Ponad niskim murem widniały niewyraźne kontury gór, ciemniejsze nawet od nieba. Przybył do Kioto, by zwiedzić historyczne piękno, lecz niczego nie

zobaczył. Dlaczegoż nie pozwolić, by stało się tak, jak to sobie zaplanował? Nie było potrzeby, by decydował teraz o czymkolwiek. Późna noc to nie jest odpowiednia pora na postanowienia. Nastąpiła melancholijna godzina, najbardziej przygnębiająca z całej doby, kiedy budziło się w nim coś strasznego, co kazało mu wątpić we własną duszę. Wzruszył ramionami. Nazajutrz wstanie, przejrzy przewodnik i zrobi plan. Zostanie w Kioto tyle, ile to konieczne, by je zwiedzić, po czym wróci do Tokio. Jeśli się czymś zajmie, być może uda mu się zapomnieć o Josui, a może ona sama, na wzór innych dziewcząt, stanie się niedostępna... ?

Podjął decyzję i wnet poczuł się lepiej, po czym położył się w pościeli i zamknął oczy. Jego mięśnie rozluźniły się, kości przestały buntować się przeciwko twardej podłodze, a puchowa pościel była lekka i ciepła. Całkiem zmarzł, kiedy tak stał w otwartych drzwiach.

Gdyby nazajutrz padało, łatwiej byłoby Josui zostać w domu. Miała zaledwie jedną lekcję, matematykę, za którą nie przepadała. Nawet się trochę przeziębła, a może tylko jej się wydawało? Zbudziła się przed świtem i zorientowała się, że musiała zrzucić okrycie podczas niespokojnego snu. Sypiała na miękkim jaśku, gdyby używała twardej japońskiej poduszki, miałaby usztywnioną szyję, co zapobiegłoby przewracaniu się z boku na bok. Inne dziewczęta nauczyły się tak sypiać, ale nie ona. Nie do końca zaakceptowała tutejsze życie. Jej rodzice byli od niej odważniejsi, co tak naprawdę polegało na tym, że ojciec dominował, a matka była mu posłuszna. Josui pozwalała sobie czasami na niewielki bunt, jak na przykład w kwestii poduszki, i robiła to również przez wzgląd na matkę.

Lecz dzień był piękny i jedynie ponad górami unosiły się sploty babiego lata, by już po chwili rozplątać się na tle słońca, które weszło na bezchmurnym niebie. Trzeba było wstać z łóżka, a skoro zapowiadał się dzień tak słoneczny, Josui musiała wdziać zwiewną sukienkę w kolorze bladej żółci. Nie wiedząc czemu, miała dziś kaprys włożyć kimono, lecz zdumiałaby tym szkolnych kolegów. No tak... Wiodła dwa wyraźnie różne od siebie życia.

Żółta sukienka była miękka w dotyku i nie miała twardych białych guzików, ozdobiony zaś białym haftem wąski kołnierzyk bardzo ładnie podkreślał czerń jej włosów. Nie nałożyła na nie olejku, co również wyróżniało ją spośród innych dziewcząt. Na skroniach miała krótkie miękkie włosy, które nie były kręcone, ale i niezupełnie proste.

Kiedy przyszła na śniadanie, ojciec spojrzał na nią surowo.

– Nie idę dziś do szkoły według planu lekcji. Wychodzę wcześniej, by pouczyć się przez godzinę geometrii.

Pojął, że dzięki temu uniknie spotkania z Amerykaninem, jeśli bowiem będzie jej szukał, uczyni to w tych samych godzinach, w których widział ją wczoraj.

– Pamiętaj, że poranki bywają chłodniejsze, lecz potem zrobi się cieplej niż wczoraj.

W milczeniu spożyli posiłek, podczas którego nawet matka nie wypowiedziała ani jednego słowa. W ciszy też wstali od stołu i Josui natychmiast poszła do położonego na tyłach domu ogrodu, by nazbierać do tokonomy kwiatów, gałązek i liści, słowem wszystkiego, w co obfitowała obecna pora roku. Odczuwała przy tym tyle radości! Ojciec poddawał jej zachowanie

ocenie, lecz był oszczędny w pochwałach, a kiedy już jakaś padała z jego ust, była godnym zapamiętania skarbem. Josui spacerowała po wielkim ogrodzie w poszukiwaniu odpowiednich roślin. Była wiosna, toteż nie musiała wykorzystać dużej liczby kwiatów, gdyż jedynie latem rosły w wielkiej obfitości, a kompozycja zawsze powinna odzwierciedlać porę roku. Zdecydowała się na swobodny styl zwany moribaną i zrezygnowała z roślin wodnych, których nigdy nie należało łączyć z kwiatami rosnącymi w suchej ziemi. Podczas przechadzki znalazła wszystko, czego szukała, czyli kwitnący na lśniącym pnączu błękitny mirt, który do połowy osłaniał przygarbiony szkarłatny klon. Ostrożnie odcięła jego gałązkę, by jej nie zmarnować, i dwa różnej długości kawałki pnącza, a kiedy miała już wystarczającą ilość materiału, stanęła obok stołu na przykuchennej werandzie i przez pół godziny układała kompozycję. Tak jak ją nauczono, stała tuż przy niskiej podłużnej misie z zielonej ceramiki. Zamierzała ułożyć w niej gałązki, pnącze i kwiaty, jak gdyby miały spojrzeć na słońce, ku któremu w sposób naturalny zwracają się wszystkie żyjące rośliny. Na kompozycję składały się trzy elementy, pnącze, przecząca się za nim wysoka gałązka klonu, po drugiej stronie zaś krótkie błękitne kwiaty. Pochłonięta tym, nie zdawała sobie sprawy, że z kuchni obserwuje ją matka, a z pokoju do medytacji ojciec, szykujący się do wyjścia do gabinetu w szpitalu. Uradowało ją to, że krótsze pnącze jak gdyby z własnej woli nagle zwróciło się ku słońcu. Ostrożnie wniosła do alkowy misę i postawiła ją przy ścianie. Nie chciała przestawiać woluty wykonanej jakby z zamglonej wierzby, lecz zmieniła dekoracje. Wybrała kawałek niejednolitego jadeitu, by przyozdobić stoliczek z palisandru, i odsunęła się, by ocenić efekt.

– Doskonale – dobiegł ją głos ojca.

Odwróciła się i uśmiechnęła. Stał w cudzoziemskim stroju gotowy, by wyjść do pracy. Dobrze prezentował się w szorstkim odzieniu, starannie odprasowanym garniturze, rękawiczkach oraz z filcowym kapeluszem i laską w dłoni – wszystko było jak należy. Nie do końca był Japończykiem, żaden bowiem Japończyk nie czułby się w podobnym ubiorze tak swobodnie. To właśnie dzięki niemu Josui nosiła w sobie żywe wspomnienie Ameryki, lecz doskonale wiedziała, że nie należy o tym mówić.

– Bardzo ładnie – ciągnął ojciec – lecz nie do końca jestem pewien, czy błękit mirtu i czerwień klonu... ale z pewnością tak... Przynajmniej jest oryginalnie, a dzięki jadeitowi komponują się z zamgloną wierzwą.

Pokiwał głową, uśmiechnął się nieznacznie i wyszedł z pokoju.

Tak oto rozpoczął się dzień i mijał sobie dalej. Josui nie rozglądała się po ulicach, którymi szła, lecz bynajmniej nie zoczyła ze swojej regularnej trasy. Wcześniej dotarła do szkoły, poszła do świetlicy dla dziewcząt i poczęła pilnie się uczyć przy biurku. Geometria idealnie nadawała się do zajęcia myśli. Josui starannie narysowała okrąg, opisała na nim trójkąty i wyliczyła kąty. Geometria była elegancka, zimna i na swój sposób piękna, lecz bezduszna jak połączone ze sobą kryształki, skamielina, symetryczne kształty, z których uszedł duch. Studziła rozbudzoną wyobraźnię i podekscytowane serce. Josui uczyła się wytrwale i unosiła głowę jedynie po to, by

przywitać się z koleżankami.

I tak oto upływał jej dzień. Uczestniczyła w lekcjach, lecz czuła się nieobecna, obojętna i niewrażliwa. Wróciła do domu pod koniec dnia, ale nieco wcześniej niż zwykle. Ulice opustoszały. Stwierdziła, że Amerykanin z pewnością udał się dziś do Nary, by dołączyć do swych towarzyszy, wszak nie było powodu, dla którego miałoby się stać inaczej. Bez wątpienia już nigdy go nie ujrzy.

Nazajutrz nie czuła się dobrze. Poranek był jeszcze piękniejszy od poprzedniego, lecz zbudziła się zmarznięta i posepna. Postanowiła zostać w pokoju, a kiedy długo się nie pokazywała, matka posłała Yumi, by sprawdziła, co się dzieje.

– Smutno mi – rzekła Josui. – Chyba jestem chora.

Kiedy Yumi przekazała tę niepokojącą wieść, rodzice wymienili się spojrzeniami.

– Byłeś dla niej zbyt ostry – oświadczyła mężowi pani Sakai, na tyle łagodna, że nawet taki wyrzut czyniła delikatnie.

– Nieprawda – obruszył się. – Niemal nic jej wczoraj nie powiedziałem, pochwaliłem jedynie kwiatową kompozycję, wszak wiesz, że wróciłem do domu późno.

– To było przedwczoraj – nie ustawała.

– Nie pokłóciliśmy się – odparł stanowczo. – Przypomnij sobie, jak wyglądała wczoraj o poranku i jak dobrze urządziła tokonomę. Była zupełnie spokojna.

– Dziś rano kwiaty zwiędły, a to oznacza, że jej dłonie były wczoraj rozpalone. Zwróć na to uwagę.

Skończyła przemawiać i podreptała do Josui, a dzięki matom odgłos jej kroków był niemal niesłyszalny. Weszła do pokoju i spojrzała na córkę. Ręce dziewczyny z zaciśniętymi piąstkami nieruchomo spoczywały na jedwabnej pościeli. Pani Sakai uklękła i wsunęła do jej prawej dłoni trzy palce.

– Masz gorączkę i suchą skórę. Muszę powiedzieć o tym ojcu.

– Da mi tylko gorzkie lekarstwo – poskarżyła się Josui.

– To dla twojego dobra – rzekła matka.

Wstała, lecz nadał przyglądała się z niepokojem ślicznemu licu na tle białej poduszki.

– Powiedz, co cię trapi – nalegała.

– Nic – Josui westchnęła – i w tym właśnie tkwi problem. Nic nie czuję, zupełnie nic. Nie ma we mnie żadnych uczuć.

– To niedobrze. W tym wieku powinnaś coś czuć, choćby miało to być tylko niezadowolenie. Josui milczała, a poruszona pani Sakai poszła do męża.

– Musisz do niej pójść i sam ocenić. Biedactwo leży i nic nie czuje. Ma rozpalone dłonie i nie wie, co się dzieje.

– Zatem to nic takiego – doktor Sakai rzekł energicznie, po czym wstał i wyszedł z pomieszczenia. Schwycił po drodze termometr i torbę lekarską, której cała zawartość była sterylnie czysta. Stała gotowa tam gdzie zawsze. Poszedł do pokoju córki, delikatnie zapukał w

drewnianą kratkę i wszedł do środka. – A więc nic nie czujesz? – zapytał życzliwie.

– Nic – odparła, lecz nawet na niego nie spojrzała.

– Niczego przede mną nie ukrywasz? – zapytał srogo.

– Niczego – powtórzyła.

Ukląkł przy niej i włożył jej do ust termometr. Martwił się, co uwidaczniało się na jego surowej twarzy.

– Widziałaś się wczoraj z Amerykaninem? – zapytał bez ogródek. Nie potrafiła wykrztusić ani słowa, toteż pokręciła głową, a on zaczekał chwilę i wziął termometr.

– Nie. Poszłam do szkoły, nauczyłam się i wróciłam.

– Nie masz gorączki. Kiedy poczułaś tę osobliwą nicość?

– Obudziłam się dziś o poranku i nie miałam ochoty wstać. Nie powiedział, co o tym sądzi, gdyż był człowiekiem rozważnym.

Czy nicość ta wynikała z tego, że nie widziała się wczoraj z Amerykaninem?

– Zatem mądrze uczynisz, jeśli przy tak złym samopoczuciu poleżysz w łóżku. Jedz lekkie posiłki, śpij, ile tylko możesz, i nie zadreęczaj się. Jeśli mnie wezwiesz, natychmiast wrócę do domu.

– Dziękuję, ojczu.

Wstał i nadal spoglądał na jej obojętną twarz, lecz ona nie patrzyła na niego. Jej powieki powoli opadły, aż w końcu się zamknęły. Zwrócił uwagę na jej bladłość. Tak... odpoczynek dobrze jej zrobi. Wziął torbę i wyszedł, a kiedy napotkał czekającą za parawanem żonę, powiedział od niechcenia:

– Nie jest chora. Być może to przemęczenie z powodu przesilenia wiosennego. Wiesz, jak późno przysłała zima i jak nagle zmieniło się powietrze. To zawsze wyczerpuje młode dziewczęta, a Josui na dodatek jest zbyt wrażliwa. Zaleciłem, by leżała w łóżku.

– Dziękuję – pani Sakai rzekła z wdzięcznością. – Teraz przynajmniej wiem, co robić.

Wyszedł, a w domu zapanował spokój. Pani Sakai wymieniła błękitny mirt i zbuntowała się przeciwko całej kompozycji. Opróżniła podłużną misę, umyła ją i schowała, a na jej miejscu postawiła wysoki wąski wazon i włożyła do niego skromną gałązkę bambusa, świeże zielonutkie liście i dwa białe kwiaty w kształcie gwiazdy, które rosły w cieniu kępy bambusów. Nigdy nie nauczyła się układać kwiatów, toteż bardzo rzadko próbowała tworzyć kompozycje, ale ta jej się spodobała, zwłaszcza dlatego, że w pobliżu nie było męża, który dostrzegłby jej niedoskonałości.

Skończyła i stanęła nieco dalej, by pozachwycać się nią przez chwilę. Do pokoju weszła Yumi i rzekła beznamiętnie:

– Nie ma już ryb.

– Cóż też opowiadasz? – zapytała wzburzona pani Sakai. – Jeszcze wczoraj była jedna. Wrzuciłam ją do sadzawki. Powinna wystarczyć.

– Zdechła.

– Niemożliwe! – zawołała Hariko.

Ale taka była prawda – z jakiegoś niejasnego powodu ryba zdechła. Yumi wyłowiła ją z pełniącej rolę sadzawki miednicy, która wkopana była w ziemię opodal kuchni i służyła do przechowywania zakupionych na rynku świeżych i żywych ryb. W dłoni trzymała nieruchomą, napuchniętą rybę ze zmatowiałymi łuskami i oczami niczym szklane kule.

– Zakop ją – powiedziała smutno pani Sakai. – Pójdę na rynek i poskarżę się rybakowi. Zapewne czymś ją tuczył.

Rynek był niedaleko, a Yumi miała zostać w domu, niemniej jednak pani Sakai poszła do Josui, by poinformować ją, że wychodzi. Kiedy przesunęła parawan, okazało się, że dziewczę śpi – leżała na plecach z zamkniętymi oczami i spokojnie oddychała. Matka nie chciała jej budzić, toteż wymknęła się po cichu uradowana, że problemy nie spędzają córce snu z powiek.

– Śpi – zakomunikowała służącej. – Niebawem wrócę.

– Do widzenia – powiedziała Yumi i postanowiła wyprać kilka ubrań w ogródku za domem, kiedy zaś wróci pani, oczyści ryby i warzywa.

Był piękny dzień, w ogródku ociepliło się od spływających nań promieni słonecznych. Yumi jak zwykle wstała o poranku, toteż kiedy skończyła małe pranie, ogarnęła ją senność. W domu panowała cisza. Mogłaby się zdrzemnąć przez moment za kuchenką, o czym nikt by się nie dowiedział, a nawet gdyby dostrzegła ją pani, wyjaśniłaby, że właśnie zamierzała rozpalić ogień. Zatem ułożyła się na podłodze, oparła głowę o kawałek drewna i wnet zasnęła. Była zdrową wiejską dziewczyną, która w każdej chwili mogła coś zjeść lub się zdrzemnąć, a sen miała tak głęboki, że trudno było ją dobudzić, nie powinien więc dziwić fakt, że nie usłyszała pukania do drzwi. Nigdy nie zamykano bram ogrodu, ba, pani Sakai zostawiała je nawet lekko uchylone.

Za to Josui się zbudziła; miała lekki sen, a jej pokój znajdował się jedynie kilka kroków od wejścia. Usłyszała donośny łomot w drewniane drzwi: z początku walenie pięścią, następnie otwartą dłonią, po którym rozległ się dźwięk dzwonka. Nasłuchiwała przez chwilę i zawołała matkę, a potem służącą, lecz odpowiedziała jej cisza. Pukanie stawało się coraz donośniejsze, więc wstała z łóżka, założyła różowe kimono i przyglądała włosy. Wyszła, okrążyła dom i dotarła do wąskiej werandy – chciała zobaczyć, kto przyszedł, nie będąc przy tym dostrzeżona.

To on! Był tu i pukał do drzwi, których nikt mu nie otwierał. Cofnęła się i przyłgnęła do drewnianej ściany domu, gdzie nie mógł jej dojrzeć. Gdyby stała nieruchomo, nie dowiedziałby się, że ona również tu jest, i poszedłby sobie. Czekwała, dopóki nie ustało pukanie, gdy wtem poczuła nieodpartą chęć sprawdzenia, czy już go nie ma. Wychyliła się bardzo ostrożnie, jedynie odrobinę, by móc choćby zerknąć; jeszcze nie odszedł – siedział na schodach i rozglądał się to tu, to tam. Błyskawicznie się cofnęła, lecz najwidoczniej nie dość szybko, dobiegł ją bowiem jego tubalny śmiech i usłyszała, jak próbuje się z nią przekomarzać, powoli mówiąc:

– Josui Sakai, widzę cię!

Zastygła, nie mogąc złapać oddechu. Czy ruszyłby za nią, gdyby uciekła? To byłoby bardzo niestosowne. Nie wolno mu było wejść do jej pokoju. A gdzie matka? Gdzie Yumi? Wszak nie zostawiłyby jej samej, kiedy spała.

Ponownie dobiegł ją niski spokojny głos – w którym wciąż słychać było śmiech.

– Podejdiesz do mnie, czy może ja mam przyjść do ciebie?

Na te słowa zebrała się w sobie. Ciasno zawiązała w pasie kimono i zapięła je pod szyją, długa sukienka zasłaniała jej nagie stopy obute w różowe pantofle. Podeszła do niego z dostojnością.

– Matka wyszła na moment, lecz lada chwila wróci. Zaraz przyślę do ciebie służącą – rzekła i wnet poszła do domu jej poszukać. – Yumi! – zawołała łagodnie, ale nie doczekała się odpowiedzi. Nie było jej w kuchni, nigdzie nie mogła jej znaleźć, cóż zatem mogła uczynić, jeśli nie podejść z powrotem do drzwi? – Matka wróci za chwilę – wydukała, a jej twarz cała płonęła od rumieńców.

– Nie przyszedłem zobaczyć się z twoją matką – powiedział, po czym wstał, zdjął czapkę i zaczął obracać ją w dłoniach.

Stała bezradnie. Cóż powinna z nim począć? Nie mogła zaprosić go do środka. Matka by nie zrozumiała. Nikt by nie zrozumiał.

– Josui Sakai, byłaś w szkole? – zapytał.

– Nie, ja... czułam się nieco znużona – tłumaczyła łamiącym się głosem.

– Wyglądasz niczym kwitnąca róża – zauważył. Splotła dłonie i nieświadomie załamała rękę.

– Jak sądzę, nie chcesz, bym tu przychodził – zorientował się, kiedy zobaczył jej reakcję.

– To nie tak – zaprotestowała. – Po prostu chwilowo jestem sama w domu, więc...

– Nie wiesz, co ze mną począć, jednocześnie będąc przy tym miłym dziewczęciem.

Zdecydowanie nie powinna była mu powiedzieć, że jest sama w domu – zupełnie tego nie przemyślała.

– Proszę, odejdz – wyszeptała.

Naturalnie nie była świadoma, że w jej oczach pojawił się blask, że jej usta były miękkie i czerwone, że cała jej mała twarzyczka przypominała otwierający się ku słońcu kwiat, kiedy na niego spoglądała. Zrobił w jej kierunku krok, gdy wtem w jego ciele zawrzało zbyt długo dręczące go tłumione pożądanie – nie potrafił go zignorować, otumanilo go. Nie widział jej twarzy i nie mógł zapanować nad nogami, więc pochylił się nad nią, usiłując nie ulec nienasyconej potrzebie i jednocześnie wiedząc, że ulec musi. Wystarczyłby mu pocałunek subtelnych, czystych ust dziewczęcia tu, w tym uroczym ogrodzie, gdzie powietrze pachniało tak pięknie, a jedynym dźwiękiem był szum wody. Była sama – powiedziała mu, że jest sama. Jęknął i objął ją niezwykle czule, powoli do siebie przytulając, a jej twarz, jej usta były poniżej jego ust... Pochylił się i pocałował ją, spijając krople jej dyszącego oddechu. Przytrzymał jej głowę, kiedy na wszelkie sposoby usiłowała ją odwrócić, aż w końcu przestała się opierać i poddała się uściskowi.

To była długa chwila, o której śnił przez całą noc, długa chwila, o której wiedziała na tyle mało, że nie byłaby w stanie wcześniej jej sobie wyobrazić. Osłabła w jego ramionach, a on delikatnie odchylił się, nie przestając jej obejmować.

Nie patrzyła na niego ani nie próbowała przed nim uciec, lecz odwróciła głowę i oparła policzek o jego ramię, by nie mógł spojrzeć w jej twarz, a on dotknął brodą jej niebywale czarnych i miękkich włosów.

– Musiałem – wymamrotał.

Nie mogła nic powiedzieć, toteż chwycił jej mały krągły podbródek i zwrócił ku sobie jej twarz.

– Wiesz, że musiałem – powtórzył.

– Nie wiem – wyszeptała. – Nigdy wcześniej tego nie doświadczyłam.

Kiedy zwierzyła mu się ze swej niewinności, jego serce wypełniła radość.

– Och, kochana – wyszeptał i pochylił się.

– Proszę, nie – rzekła błagalnie. – Wystarczy jak na pierwszy raz. Cóż ja teraz pocznę? Muszę się zastanowić, co to miało znaczyć.

– To miało znaczyć, że cię miłuję.

– Nawet mnie nie znasz!

– Mężczyzna nie musi znać kobiety, by ją kochać. To dzięki miłości ją poznaje.

– Ach, ale my jesteśmy w Japonii!

– Tylko ty i ja... kobieta i mężczyzna.

Zerkała na bramę – zaraz wróci matka. Z pewnością znów poszła na rynek i być może towarzyszy jej Yumi.

– Nie mogę tu dłużej zostać, ponieważ za chwilę przyjdzie matka.

– Pozwól mi się z nią spotkać – poprosił.

– Nie – rzekła błyskawicznie. – To nie jest takie proste. Ojciec nienawidzi Amerykanów, a mnie miłuje zbyt mocno.

Kiedy o nim wspomniała, odwróciła się, a on pozwolił jej odejść, czując, że coś się w niej zmieniło.

– Josui, zawsze jesteś mu posłuszna?

– Chciałabym.

– A dasz mi szansę?

– Szansę?

– Byśmy się poznali. Westchnęła.

– Ale jak? •̀.

– Kochanie, znajdę jakiś sposób.

Zapomniała o istnieniu słowa „kochanie”, lecz teraz je sobie przypomniała. Niegdyś używał go Kensan w odniesieniu do swej oblubienicy, z którą miał się ożenić. To było słowo miłości. Kiedy je usłyszała, zadrżała, a wymawiane tak niskim tonem nappełniało ją pragnieniem. Gdzie znajdzie taką miłość? To byłoby możliwe jedynie w Ameryce, gdzie nikt nie lękał się uczuć.

Spojrzała mu prosto w twarz.

– Allenn, zaufam ci. Czy dobrze wymawiam twe imię?

- Właśnie tak, jak chcę je słyszeć. >• Zorientowała się, że ponownie się nad nią pochyla.
- Ach, idź już...
- Gdzie się spotkamy? Mam przyjść tutaj?
- Nie... muszę to jeszcze przemyśleć.
- Jutro pod wisterią.
- Dobrze!

Pochylił się i raz jeszcze poczuła jego delikatne, lecz jakże spragnione usta. Byli zgubieni – właśnie to sobie uświadomiła. Ona go miłowała! Wtem dobiegł ich szelest liści. Złękli się, a ich usta się od siebie oddaliły. Spojrzeli na bambusy, których gałęzie rosły tuż ponad drzwiami. Świeże zielone liście migotały i tańczyły w objęciach lekkiego wirującego wiatru, maleńkiej trąby powietrznej.

- Jakże to dziwne – zawołała łagodnie.
- Jest tam kto? – zapytał zdumiony.

Na chwilę zapomnieli o sobie i spoglądali na roztańczone liście, a kiedy zorientowała się, że Allen nadal ją tuli, wyrwała się z uścisku i pobiegła do domu.

Jej nikczemność była niewyobrażalna – jak to się stało, że na to pozwoliła? Ozdrowiała w cudowny sposób i następnego poranka wyruszyła do szkoły w żółtej sukience, dzierżąc w dłoni niewielką białą parasolkę w żółte haftowane kwiaty. Rodzice nic nie powiedzieli i ona również milczała, biorąc naręczkę książek i piórnik pełen świeżo zatemperowanych ołówków. Było oczywiste, że idzie się pilnie uczyć – taki miała zamiar.

Lecz spotkała go, nim jeszcze zdążyła dotrzeć do bram. Przyszedł bardzo wcześnie i czekał na nią odziany w świeży, czysty mundur. Wyglądał przystojniej niż kiedykolwiek, a jego oczy były błękitne niczym morska toń w słoneczny dzień.

- Przyszedłem cię kusić – rzekł śmiało, kiedy ją ujrzał.

Była zatrwożona – czy w taki dzień można się oprzeć jakiegokolwiek pokusie? Musi pamiętać, że jest porządnym dziewczęciem. Usiłowała wyglądać poważnie i żałowała, że nie nosi okularów jak wiele innych dziewcząt.

- Twoja uroda mnie raduje – powiedział. – Ułatwia kuszenie.
- Proszę, muszę iść do szkoły – błagała. Spoważniał.

– Josui Sakai, na przepustce będę jedynie pięć dni. Jeszcze niczego nie zwiedziłem w Kioto, które jest jednym z najstojniejszych miast na świecie. Czy wypełnisz dziś obywatelski obowiązek i pokażesz mi to, co powinienem zobaczyć?

Z przerażenia zaniemówiła.

– Czyż nie byłby to szlachetny uczynek? – zachęcał. – Niewiele wiem. Nie chcę ci przypominać, że okupuję twój kraj, więc chwilowo załóżmy, że jestem turystą. Pragnę przywieźć do domu miłe wspomnienia związane z Japonią, dlatego przybyłem do tego najpiękniejszego z miast. Kiedy znów będę w Ameryce, świadomy, że już nigdy nie ujrzę tego kraju, opowiem wszystkim o Kioto, o tym, jak mój pobyt tutaj stał się jedną z najszcześniejszych chwil w moim

życiu, jak zwiedziłem wszystkie te wspaniałości, a w końcu o tym, że do śmierci tego nie zapomnę.

Uległa jego roześmianym jasnobłękitnym oczom, choć nie tak od razu, w końcu jednak jego śmiech obudził w jej sercu wszechogarniającą radość.

– Brzmi nadzwyczaj kusząco, lecz nie mogę. Cóż powiem nauczycielowi? A jeśli ktoś nas razem zobaczy? Ojciec by się straszliwie rozgniewał.

Wzruszył ramionami.

– Proszę, wybacz mi. Jak zwykle to kobieta podejmuje ryzyko. Zapomnijmy zatem o pokusie. Powinnaś pójść do szkoły.

Jego oczy nie były już roześmiane. Szli obok siebie w kierunku bramy. Chwytał jej książki, a ona przypominała sobie, jak czasami w Ameryce chłopcy nosili jej podręczniki – taki panował tam zwyczaj. Wstydziła się tego, ale żałowała, że tak szybko się poddał. Zachowywała się tak, jak wypadało, choć wolałaby tak łatwo nie rozgraniczać tego, co przystoi, od tego co nie. Gdyby nie istniały owe rozgraniczenia, przyjemnie byłoby się zachowywać tak, jak nie wypada.

Ukradkiem zerknęła na niego spod długich rzęs, a on spoglądał na nią. Znow miał błękitne oczy i zaciśnięte usta, jak gdyby powstrzymywał się od śmiechu.

– Mógłbym położyć książki pod korzeniami wisterii – zaproponował – które są tak grube, duże i powyginane, że nawet ty byś się w nich schowała. Rozpracowałem już ten temat.

– Dobrze – Josui wypowiedziała to niewiarygodne słowo!

I naprawdę ukryła książki. Nikt jej nie dostrzegł, ponieważ nadal było wcześnie. Położyła je pod korzeniami, a następnie podeszła do Allena i czym prędzej skierowali się ku malej wąskiej bocznej uliczce.

– Opowiedz mi o Kioto – poprosił, jak gdyby naprawdę chciał się czegoś dowiedzieć, a ona odpowiedziała z powagą, by stłumić swe zdumienie:

– To bardzo stare miasto było niegdyś przez tysiąc lat stolicą. Znajduje się tutaj tysiąc czterysta zabytkowych świątyń buddyjskich, starożytne pałace cesarskie i najpiękniejsze na świecie dawne ogrody. Mieszka tu ponad milion ludzi.

– Moja ty słodka przewodniczko – rzekł – pokażesz mi te ogrody?

Pomyślał, że będą tam kryjówki, pieczary, skalniaki, spokojne sadzawki, żywopłoty i kępy krzewów. Poprowadziła go jednak w zupełnie inne miejsce, toteż zaczął podejrzewać, że płata mu figla.

– Oto Świątynia Ryoanji – wyjaśniła. – A to Ogród Kamienny, jeden z najslynniejszych. – Wpatrywała się w wysuszony prostokąt, otoczoną niskim murem pustynię... Suche skały przypominały wyspy na martwym morzu białego piachu, na którym szerokie grabie zatoczyły statyczne fale, nieruchome długie łuki...

– Ogród? – zdziwił się. Na chwilę zapomniał o celu wyprawy. Było tu coś, czego nie rozumiał, ogromne, niepojęte dostojeństwo...

– Zobacz – powiedziała poważnie. – Bądź łaskaw policzyć kamienie. Było piętnaście skupisk

w kombinacjach pięć plus dwa, pięć plus trzy i trzy plus trzy.

– Nie wszystkie to wyspy – wyjaśniła. – Niektóre zostały zaprojektowane na wzór odpoczywających ptaków wodnych – wskazała drobnym palcem. – Proszę, spójrz na dzikie kaczki.

Kamienie były naturalne, nieoszlifowane i uformowane jedynie przez wiatr i wodę. Zwieziono je tutaj i po prostu położono, lecz naprawdę wyglądały niczym ptaki wodne.

– Czy rozumiesz ideę tego ogrodu? – zapytał.

– Nie do końca – przyznała. – Nieco o nim wiem, ponieważ zabierał mnie tu ojciec. On go rozumie, przynajmniej on go zna. Ten bardzo stary i słynny ogród wyraża czystą duszę swego stwórcy. Jeśli trwalibyśmy tu w milczeniu przez wiele godzin, zaczęlibyśmy go rozumieć.

Pokręcił głową.

– Nie ja! Wolę, jak otacza mnie więcej życia.

Zatem cierpliwa Josui zabrała go do zielonego ogrodu starego pałacu, do czarującego miejsca, gdzie niskie wzgórza spajały starożytne ogrody z niebem. Niemniej jednak nie było to miejsce na miłość, w tym strzeżonym ogrodzie bowiem dbano o każdy liść. Wprawdzie Allen nie widział żadnego pracownika, nikogo z wyjątkiem kilku turystów, lecz brakowało tu dzikości, która dawałaby poczucie swobody. Ogród zrobił na nim wrażenie, zrodził nawet zachwyt, ale jednocześnie Allen zeszywniał i poczuł się ograniczony. Nie miał śmiałości dotknąć dłoni Josui, ponieważ dziewczyna wydawała się zbyt nieprzystępna. Czuł, że ona tu przynależy, on zaś nie.

Do południa przeszła mu ochota na zwiedzanie pałaców i świątyń, ogrodów i posągów bóstw.

– Zgłodniałem – rzekł nagle. – Przemierzyłem całe kilometry po tych wypolerowanych skałach. Chodźmy coś zjeść, a potem wypożyczę powóz i pojedziemy za miasto. Chciałbym zobaczyć trochę dzikiej wsi.

W tej swojej potulności zdążyła się rozmarzyć. I tak już uległa, i tak już skradła ten dzień, popełniając potworny grzech, toteż sprawiała wrażenie chętnej na wszystko, a na samą myśl o tym krew Allena popłynęła nieco szybciej.

Podczas lunchu rozpieła ją radość; reagowała na jego dowcipne uwagi, odpowiadała na pytania, zgadywała, kim są siedzący w małej restauracyjce ludzie. Nigdy wcześniej nie była w tej nieznannej uliczce, w tym tajemniczym miejscu, które prawdopodobnie ostało się dzięki wybornej tempurze z krewetek, bladej zielonej herbacie i suchemu śnieżnobiałemu ryżowi.

– To ekspedient – oceniła, kiedy ten skinął na bladego niskiego mężczyznę w szarym płóciennym stroju – być może ekspedient małego sklepiku; a to służąca, która zatrzymała się po drodze, by kupić kilka krewetek; a ten, to samotny starzec, wołający zjeść tutaj zamiast w domu; a tamten z kolei, to mężczyzna w średnim wieku, ceniący sobie smak dobrego jedzenia, na które nie może sobie pozwolić w domu z uwagi na dużą liczbę dzieci.

Później jednak, na górskim zboczu, Allen nadal czuł, że Josui jest nieprzystępna.

Wysiedli z rozklekotanego powozu u podnóża pagórka. Pojazd ciągnął stary, senny siwy

kucyk, a powoził nim wiekowy woźnica, który – przynajmniej w obecności umundurowanego Amerykanina – sprawiał wrażenie obojętnego i niemego. Wspięli się na wzgórze po wybrukowanej wśród bambusów drodze – miejsce to wydawało się odludne i takiego właśnie oczekiwał. Ścieżkę zamieciono na błysk, pomiędzy bambusami równiuteńko posadzono paprocie, nie było tu podszycia ani zarośli. Allen znalazł kawałek mchu i się zatrzymał.

– Jaki miły w dotyku, miękki niby puch, nieprawdaż? Josui, siądźmy na chwilę.

Posłuchała i przysiadła na kolanach, w pewnej odległości od niego. Miała bardzo czerwone usta, a jej piękne okalające czoło włosy były mokre i przyklejone do gładkiej wilgotnej skóry. Zerknął na nią i ośmielił się zmniejszyć stworzony przez nią dystans, po czym zbliżył się do niej raptownie i ujął jej dłoń.

– Josui!

Odwróciła wielkie przejrzyste oczy.

– Opowiedz mi o Ameryce – rzekła.

Ameryce! – W tej chwili myślał zgoła o czymś innym.

– Przez cały poranek opowiadałam ci o Japonii – ciągnęła. – Teraz ty opowiedz mi choć trochę o Ameryce. Dobrze pamiętam Kalifornię, ale opowiedz mi o Wirginii, twoim domu i rodzicach. Czy żyją jeszcze?

Nie zabrała dłoni ani się od niego nie odsunęła, ale rozmawianie o Wirginii i wypytywanie o jego dom miało go od niej oddalić.

– Jestem taka ciekawa – błagała.

– No cóż... – zaczął nader niechętnie. – Mieszkam w małym miasteczku, to znaczy nasz dom znajduje się w małym miasteczku opodal Richmond.

– Richmond?

– Coś jak Tokio – wyjaśnił – tylko nie tak duże, to jedynie stolica Wirginii.

– Opowiedz mi o twoim domu – zachęciła.

Spojrzał na jej dłoń i zaczął delikatnie bawić się jej palcami, małą lewą rączką, której nie zdobiły żadne pierścionki; w ogóle nie nosiła biżuterii.

– To duży drewniany dom – mówił monotonnym głosem – pomalowany na biało. Ma sześć dużych filarów, jest stary i należał do mojego pradziadka. Otaczają go całe akry ziemi, tysiąc, jak mniemam, lasy, wzgórze i rzeka.

– Br/mi pięknie – westchnęła.

– W środku jest przedpokój, wijące się pod sam dach szerokie schody i najzwyklejsze w świecie pokoje.

– A gdzie jest twój? – zapytała.

– Tuż nad wejściem, nieco po lewej stronie.

– Z Ameryki zapamiętałam dywany, obrazy, zasłony... – wyliczała.

– Dokładnie – zgodził się zniecierpliwiony.

– Łóżka, stoły i krzesła z nogami...

- Tak jest, z nogami.
- Jak dużą masz rodzinę? Jest ojciec i matka...
- Jeszcze ja i nikt więcej.
- Jesteś jedynakiem?
- Tak.

Josui spoważniała.

- Czyli jesteś oczkiem w głowie – stwierdziła.

Roześmiał się.

- Czasami też tak myślałem.

Zastanowiła się przez chwilę.

- A twoja matka?
- W porządku, jak sędzę.
- To znaczy, jak wygląda?
- Och! – Dopiero teraz zrozumiał, o co jej chodzi. – Raczej niska, szczupła i całkiem ładna.

Do tego silna, bardzo silna.

- A ojciec?
- Postawny mężczyzna, cichy, leniwy... Tak uważa matka.
- Ma pracę?
- Jest prawnikiem, ale nie pracuje. Nie musi, odkąd umarł mój dziadek.

Pojęła, że odziedziczył po nim majątek, ale dyskretnie nie poruszyła tematu pieniędzy. Patrzyła ponad wierzchołki bambusów, które rosły poniżej niewielkiego urwiska znajdującego się parę metrów od miejsca, gdzie siedzieli. Hen w dole leżało Kioto – choć nie tak daleko, jak się to mogło wydawać.

- Niebawem będę musiała wracać do domu – rzekła nagle. – Kiedy skończą się lekcje.

Uświadomił sobie, jak błyskawicznie upływa ten dzień, po czym położył się na mchu i oparł głowę o skrzyżowane ręce.

- Josui, nie idź jeszcze.

Zerknęła na niego, a on nie potrafił zrozumieć – czy aby jej oczu nie wypełniał lęk?

- Josui, połóż się obok mnie. – Pokręciła głową, a na jej białej szyi pojawił się rumieniec. –

Dlaczego nie, kochanie?

Nie odpowiedziała, a on dostrzegł drżenie jej dolnej wargi, którą po chwili przygryzła.

- Lękasz się mnie? – zapytał czule.
- Trochę tak – przyznała.
- Skarbie, nie skrzywdzę cię. Pokręciła głową.

Zapytał najłagodniej jak tylko potrafił:

- Zapomniałaś, że cię miłuję?
- Nie – rzekła cicho. – Cały czas o tym pamiętam. Ale dlaczego mnie miłujesz?

Odwróciła się i spojrzała na niego ogromnymi, poważnymi oczyma, a on usiadł

niespodziewanie. Doprawdy, dlaczego ją kochał? Pozwalała mu robić to, co chciał...

– Nie wiem – powiedział. – Sam zadaję sobie to pytanie. Jak by to ująć... ? Jestem... spragniony. Prócz ciebie nie spotkałem tu nikogo, kogo mógłbym pokochać!

– Ale przecież ty wyjeżdżasz za kilka dni!

– Wrócę.

Uśmiechnęła się.

– Zatem możemy z tym poczekać – stwierdziła. – Nie musimy się teraz zastanawiać, dlaczego mnie miłujesz.

Wstała raptownie i zerknęła na jego zwróconą ku górze tęskną twarz, po czym równie niespodziewanie zaczęła zbiegać ze wzgórza, lekko i prędko. Nie miał innego wyboru, jak podążyć za nią – na wpół rozgniewany, na wpół rozbawiony. Zatrzymała się dopiero wtedy, kiedy dotarli do powozu, i zateapana zawołała:

– Och, nigdy tak nie biegałam w Japonii! Zwykłam to robić w Kalifornii, lecz nie tutaj... !

Stary woźnica wpatrywał się w nich, a koń obudził się ze snu i gwałtownie wypuścił przez nozdrza powietrze.

– Czy to koniec dzisiejszego dnia? – zapytał Allen.

– Ale tylko dzisiejszego – odrzekła. – Tego jednego dnia spędzonego z tobą, Allennie Kennedy!

Nigdy wcześniej nie wypowiedziała jego pełnego imienia i nazwiska. Oddzieliła sylaby, elegancko kładąc na każdą akcent, co być może zwiastowało wiele wspólnie spędzonych godzin.

I oto dzień, który jeszcze o poranku wydawał się jej tak nierealny, zakończył się bajeczną radością. Książki leżały za korzeniem wisterii, tak jak je zostawiła. Było późno i wszyscy prócz starego portiera poszli już do domu. Ten jak zwykle usnął na siedząco w swoim maleńkim pokoiku, kiedy tylko uczniowie się rozbiegli, a na dziedzińcu szkolnym zapadła cisza. Nie widział więc, jak Josui przyszła i odeszła. Zatrzymała się na ulicy jeszcze na chwilę, by pożegnać się z Allenem Kennedym.

– Ale niewiele zdążyłem zobaczyć – zaprotestował. – Nie zwiedziłem Nary, a jej nie można pominąć.

– Powinieneś być pojechać z przyjaciółmi – rzekła cicho. – To nie moja wina.

– A właśnie że twoja – stwierdził. – Ujrzałem cię i po prostu musiałem cię poznać.

Zachowywał się na wpół wesoło, a na wpół dziecinnie, by się jakoś przed nią wybronić, ale coraz bardziej lękał się o swą wielką niezłomność i nie miał ochoty na zgłębianie własnych motywów. Nie chciał postępować jak inni mężczyźni, których zachowań był świadkiem na co dzień. Nie chciał też wierzyć, że jest taki jak oni, ani że Josui to zwykła Japonka, jakich pełno w Tokio, która małpuje najzwyklejsze dziewczęta z amerykańskich ulic.

Ku jego zaskoczeniu spoglądała na niego smutna i zdziwiona, a jej twarz była poważna.

– Chcesz, bym udała się z tobą jutro do Nary? – zapytała.

– Pokornie cię o to proszę – odpowiedział. Nadal na niego patrzyła.

- Muszę to przemyśleć – rzekła w końcu.
- Josui, a w jaki sposób się dowiem, co postanowiłaś?
- Jeśli się zgodzę, przyjdę tu jutro o poranku, bez książek.
- Będę czekał.

Pożegnali się, dotykając jedynie swych dłoni, jak gdyby każde wiedziało, że to drugie z niechęcią myśli o rozłące i lęka się tęsknoty.

Własna nikczemność wstrząsnęła nią, szła bowiem do domu, jak gdyby wracała ze szkoły. Ojciec spóźniał się, gdyż wezwano go do nagłego wypadku, toteż zjadła kolację tylko z matką. To okazało się dla niej trudne – gdyby im towarzyszył, łatwiej byłoby jej zachować typową dla siebie rezerwę. Matka, tak uległa, delikatna i tak dobra – zawsze pragnęła jej szczęścia. Doprawdy niezręcznie było odpowiadać na wnikliwe, lecz życzliwe pytania. Nienawidziła kłamać, ale jakże mogła tego uniknąć?

– W klasie musiało być gorąco – odezwała się pani Sakai.

– Na szczęście jej okna wychodzą na północ – odrzekła Josui i zajęła się niewielkimi półmiskami na tacy matki.

– Proszę, nie kłopotz się – protestowała Hariko. – Nie mam apetytu.. . Nie wiem, jak ci o tym powiedzieć...

– O czym, matko? – zapytała Josui.

– Ten nagły wypadek wydarzył się w rodzinie Matsuich. Chodzi o Koboriego. Ojciec obawia się, że to zapalenie wyrostka robaczkowego.

Josui postanowiła okazać zaniepokojenie.

– Kobori? Och, mam nadzieję, że to nic poważnego! To ostatni syn w ich domu.

– I do tego taki dobry – dodała matka.

– Zawsze tak się o nim wyrażano – odrzekła Josui, po czym pochyliła głowę i zaczęła jeść ze spuszczonej oczyma.

– Ojciec czuje się za niego taki odpowiedzialny – matka mówiła dalej.

– Pan Matsui to jego najlepszy przyjaciel – odpowiedziała Josui.

– Nie tylko w tym rzecz. Kobori jest również dla niego ważny. Darzy tego młodego człowieka wielką sympatią. Często chciałby... ach, wiele by chciał...

Josui wiedziała, czego pragnął ojciec, lecz nie mogła na to nic odpowiedzieć, choćby dla własnego dobra. Siedziała, marząc o swojej sekretnej miłości, odpłynęła myślami gdzieś hen od tego miejsca, domu i rodziców. Już ich opuściła, sercem i duszą wiernie trwała przy młodym Amerykaninie. Nie było sensu udawać. Mogła jedynie ukrywać prawdę, dopóki się nie dowie, jakie on ma wobec niej zamiary. Widziała wielu młodych Amerykanów, lecz żadnego, ani jednego takiego jak on. Ci, których widziała, hałasowali na ulicach: prostaki, młokosy, pijani żołnierze, łapczywi, drwiący, nachalne hulaki. Na paradzie wyglądali schludnie, byli cisi i zawsze posłuszni. Maszerowali w równiuteńkich rzędach, unosząc rytmicznie stopy i opuszczając je w wielkich, miarowych krokach. Nie patrzyli w prawo ani w lewo, dopóki nie

dostali takiego rozkazu, po którym jednako odwracały się Wszystkie oczy. Kiedy zaś nie byli na paradzie, dzielili się na grupki, z których każda zaczynała hałasować. Josui gardziła nimi i unikała ich, chowając się gdzieś w bramie, dopóki nie przeszli, lecz nawet bardziej gardziła Japonkami, które wykorzystywali. Doprawdy była inna niż one, była jedyna w swoim rodzaju. I on był jedyny w swoim rodzaju, toteż ich miłość musi być inna niż wszystkie. Tylko cóż teraz poczną? Odpowiadała matce zamyślona, czasem skłamała. Pani Sakai patrzyła na nią zdziwiona.

– Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć? – zapytała.

– W szkole miałam pewien problem – rzekła Josui i zdumiało ją to, z jaką łatwością przechodziły jej przez usta te odpowiedzi. Stroiła je w prawdę, podczas gdy były tylko kłamstwami. Pewnego dnia przyzna z przykrością, że była kłamczucha, lecz w tej chwili, kiedy cały jej umysł i ciało wypełniało słodkie oszołomienie, nie dbała o to.

Szybko poszła do pokoju; wyjaśniła, że jest znużona, i w rzeczy samej wcześniej położyła się spać. Noc była bezchmurna, Josui z posłania na podłodze patrzyła przez rozsunięty parawan na rozgwieżdżone niebo. W powietrzu czuło się wilgoć, a już na pewno jego bezruch, przez co zawieszony w górze gwiazdy wydawały się duże i niewyraźne. Nie skrzyły się, tylko dawały żółtą poświatę, niczym świecące w oddali jedwabne lampiony. Czy on również zastanawiał się, co powinni począć? Kiedy dwoje ludzi zakochuje się w sobie, jak to określają Amerykanie, czy można nic nie uczynić? Zawsze się coś robi. Przypomniała sobie opisaną w czasopiśmie historię, którą zwykła czytać w Kalifornii. Według nich małżeństwo zawsze przypieczętowało miłość – w pierw był pocałunek, potem wyznanie, a na końcu ustalenie daty ślubu. Pocałował ją i wyznał jej miłość, zatem pozostała jeszcze kwestia małżeństwa, o ile tradycja ta nie zdążyła się zmienić. Wszak wojna bardzo zmieniła Japonię, co być może również spotkało Amerykę, a zwłaszcza Wirginie...

Westchnęła, z uśmiechem wspomniała jego twarz i już zatęskniła za jutrem.

Pogoda znów tańczyła ze słońcem. Josui zbudziły promienie słoneczne, toteż wstała wcześniej, lecz spotkała się jedynie z matką.

, Ojciec późno wrócił – rzekła pani Sakai. – Zoperował Koboriego, który z powodu pęknięcia wyrostka robaczkowego nadal znajdował się w ciężkim stanie, więc ojciec wciąż był pełen obaw. Pomimo że przyszedł do domu dopiero po świcie, poprosił o pobudkę, jeśli sam nie obudzi się do dziewiątej.

O wpół do dziewiątej Josui zostawiła ojcu stosowną wiadomość, po czym wyszła z domu i o wszystkim zapomniała. W nocy szalała krótka burza z piorunami, toteż ulice wciąż były mokre, niebo zaś wprost cudowne. Allen już na nią czekał, a stary portier tym razem patrzył zamyślony na ulicę. Josui stanęła, a Allen do niej podszedł – spotkali się w wąskiej alejce biegnącej na zachód od szkoły.

– Nie zauważył cię – powiedział.

– Pójdziemy do stacji kolejowej przez zaułki – rzekła. – Podróż do Nary trwa niecałą

godzinę.

Złapali się za ręce i tak szli mokrą ulicą w milczeniu, a krople z przygarbionych drzew kapały na nich niby drobny deszczyk. Josui miała na sobie czystą błękitną bawełnianą spódniczkę i cienką białą bluzkę, a na nich małe przezroczyste mokre plamki, przez które prześwitywała jej skóra. Nigdy nie nosiła kapelusza, więc krople kapały również na jej twarz i włosy.

– Proszę, rosa na kwieciu – stwierdził Allen. Uśmiechnęła się do niego, a jej oczy były przejrzyste z miłości. Poranny pociąg nie był zatłoczony, toteż Allen nalegał na kupno biletów drugiej klasy. Niestety, widziała te wścibskie spojrzenia pasażerów, którzy zastanawiali się, czy pochodząca z dobrej rodziny Japonka powinna przebywać w towarzystwie Amerykanina. Nie było to zakazane, lecz niezbyt tolerowane. Kobiety spoglądały na nią wyniośle, ^a mężczyźni poniekąd gniewnie. Usiłowała nie zwracać na to uwagi – mówiła po angielsku płynnie i klarownie, szybko opowiadając o coraz ¹⁰ innym miejscu, które mijali.

– Nara była pierwszą stałą stolicą Japonii – rzekła dość głośno ^{czystym głosem} – ale z początku w ogóle takiej nie mieliśmy. Każdy władca zakładał stolicę tam, gdzie żył. Jednak w pierwszym wieku wybrano na nią Narę i tak upłynęło siedem rządów, po czym przeniesiono stolicę do leżącej opodal Kioto Nagaoki.

– Cóż tam zwiedzimy? – zapytał Allen, świadom, że mówiła o tym raczej przez wzgląd na innych.

– Co chcesz – odpowiedziała. – Są tam sklepy, pałace, świątynie, sanktuaria, wielki Budda i Park Cesarski.

– Ach, park – zareagował natychmiast. – A duży?

– Mierzy ponad tysiąc dwieście akrów.

– Zatem pójdźmy tam.

Josui zachowywała bezpieczny dystans i przez cały czas opowiadała, dopóki pociąg nie zagwizdał piskliwie na docelowej stacji. Wysiedli, po czym dziewczyna, nadal nieco oficjalna, przywołała riksę, którą pojechali do parku. Musiała poświęcić nieco czasu na wymazanie z pamięci nieprzyjemnego wspomnienia oskarżycielskich spojrzeń pasażerów. Przez godzinę spacerowali po parku, a kiedy znaleźli się w odludnym miejscu, Allen nie mógł pohamować pożądania. Prowadząc ją wąską ścieżką, odwrócił się raptownie i wziął w ramiona.

Nie było mowy, by nie poddała się pocałunkowi. Doświadczenie to nie było już osobiwe, lecz znajome i nieznośnie słodkie. Pragnęła tego spełnienia.

Jednakże dla mężczyzny pocałunek to zaledwie wstęp, zapytanie kierowane niekiedy nawet do nieznamomej, zaproszenie, które w poszukiwaniach prowadzi do dalszego ciągu. Ponownie ją pocałował... i jeszcze, i jeszcze; za każdym razem coraz bardziej zmysłowo i namiętnie. Jedną ręką mocno ją ścisnął w tali, drugą zaś podtrzymywał podbródek. Wtem zrobił coś, co w końcu musiało nastąpić – wziął ją na ręce i położył na omszałej skarpie pod skrywającymi ich sosnami, po czym sam również się osunął i częściowo przykrył ją swoim ciałem, a jego zuchwale dłonie

drżały.

W tej jednej chwili odgadła powód jego pośpiechu, wyciągnęła ręce i mocno odepchnęła jego twarz.

– Przestań! – wyszeptała. – Nie tędy droga, Allennie Kennedy!

Nie! , W jej głosie słycać było obezwładniający wyrzut. Sumienie Allena, tak wrażliwe dzięki długiemu i szczęśliwemu dzieciństwu spędzonemu w dużym białym domu w Wirginii, sprzeciwiło się teraz jego woli. Hart ducha, nabyty podczas tylu lat wojny, wcale nie był taki wielki. Allen usiłował umacniać w sobie cynizm, śmiały, niedojrzały cynizm dzisiejszych młodych, którzy muszą stawiać czoła jednocześnie życiu i śmierci. Ów cynizm był jednak tylko kruchą skorupką, zbyt mało bowiem upłynęło czasu, by mógł się uodpornić. Pożądanie Allena ostygło na dźwięk smutnego głosu Josui, skrył twarz na jej piersi i znieruchomiał.

Przez kilka minut Josui również leżała w bezruchu, pozwalając, by jego głowa spoczywała tam, gdzie ją złożył. Potem odsunęła go łagodnie i usiadła. Allen leżał na plecach i wpatrywał się w drzewa, ona zaś odezwała się stanowczym tonem:

– Nie wiem, kim naprawdę jestem: Japonką czy Amerykanką? Myślę, że przede wszystkim jestem córką mojego ojca. Pochodzę z rodziny Sakaiów, którzy nie są zwykłymi ludźmi, jesteśmy lepsi. Musimy ustalić, jak bardzo się kochamy. Trzeba coś postanowić. Zegnamy się, czy...

Nie potrafiła dokończyć. Nie potrafiła wyobrazić sobie, co by się z nią stało, gdyby jednak rzeki: „Zatem zegnaj”. Powinna myśleć o ojcu. Musi przypomnieć sobie jego srogą, lecz dobrą twarz i zebrać siły przez wzgląd na dumę Sakaiów. Wszak ojciec wybrał Japonię ponad hańbę obozu koncentracyjnego.

– Musimy dzisiaj decydować o wszystkim? – zapytał. Kiwnęła głową.

– Tak!

– Dlaczego?

Zawahała się, po czym powiedziała kategorycznie:

– Ponieważ za każdym razem, kiedy jesteśmy sami, atakujesz mnie. Jej śmiałość go przeraziła.

– Och, Josui, chodź do mnie!

– Czyż nie jest to atak? – Zwróciła ku jego twarzy duże świetliste i przejrzyste oczy.

– Może i tak być, jeśli chcesz to nazwać po imieniu – rzekł niechętnie.

– Nie zamierzam się również tłumaczyć – dodała prędko. – Jeśli mam przebywać z tobą sam na sam, muszę stawić czoło konsekwencjom.

– Ale się nauczyłaś w Kalifornii długich słów!

– Nie w Kalifornii, tylko tutaj, w Japonii, od ojca.

– Od surowego ojca?

– Może.

Kiedy milczał, dorzuciła:

– Może dla dziewczęcia to nawet lepiej. – Oplotła rękoma kolana i pochyliła głowę.

Z jej koka wymknęło się kilka prostych, miękkich pasemek, które drżały teraz w przesyconym zapachem sosen powietrzu. Bładokremowa szyja zgrabnie łączyła głowę i białe, krągłe ramiona. Rękawki jej sukienki sięgały jedynie do łokci. W przeciwieństwie do większości Japonek miała śliczne dłonie i stopy, które zakrywały białe skarpetki i sandaalki.

– Zdejmij pantofelki – rzekł nagle. – Niechaj ujrzę twoje małe stopki. Czy są równie śliczne jak dłonie?

Ku jego zaskoczeniu natychmiast splonęła rumieńcem, po czym z miejsca zerwała się i odsunęła od niego.

– Nie mogę już z tobą przebywać – oznajmiła gniewnie. – Nie zamierzam! Allennie Kennedy, zbyt beztrasko mnie obrażasz! Jestem dziewczęciem, które się szanuje, i mam dość. Teraz wiem, co czujesz. Miłość! A cóż to? Takiej miłości to ja nie chcę.

Odeszła, a on zerwał się, pobiegł za nią i złapał ją za rękę.

– Josui, cóż takiego powiedziałem? Kochanie, czym cię uraziłem? Czy czegoś nie rozumiem? – Chwycił ją za ramiona. – Josui, odpowiedz!

Zarumieniła się – jej oczy płonęły, policzki oblały się szkarłatem, a usta wykrzywiły w gniewie.

– Allennie Kennedy, sam nie odpowiadasz! Zapytałam: „Cóż poczniemy?”. Na co ty odrzekłeś: „Pokaż mi twe... „.

Urwała w połowie zdania, odwróciła głowę i spod jej rzes popłynęły łzy.

Bardzo go to poruszyło, obudziło w nim czułość i zmusiło do prawdomówności.

– Kochanie, nie odpowiedziałem, ponieważ nie wiedziałem jak. – Skoro tak, to nie powinienes... w ogóle mnie dotykać. i Opuścił ręce.

– Masz rację. Josui mówiła dalej:

– Jeśli nie wiesz, to proszę, wróc dziś do Tokio, do Ameryki, do domu. Proszę, zapomnij, że mnie poznałeś, i pozwól mi zapomnieć...

– A będziesz potrafiła, Josui?

– Tak, jeszcze teraz mi się uda, lecz później... nie wiem. Patrzył na jej wątłą, skuloną postać i milczał, toteż rzekła łamiącym się głosem:

– Chcę do domu.

Wrócili zatem do Kioto pierwszym pociągiem i rozstali się na stacji, Josui upierała się bowiem, że tak będzie najlepiej.

– Mimo to nie zapomnę o tobie, Josui.

– Owszem, zapomnisz.

– A jeśli mi się nie uda... mogę do ciebie napisać?

– Nie napiszesz.

Odeszła bez pożegnania, posławszy mu długie, nieprzeniknione spojrzenie. Ani razu się nie odwróciła, podczas gdy on patrzył za nią, dopóki nie stracił jej z oczu w ulicznym tłoku.

Wrócił do hotelu, spakował torby i pojechał do Tokio następnym pociągiem. Nie chciał już wolnych dni – im wcześniej zabierze się do Pracy, tym lepiej.

– Kobori czuje się coraz lepiej – powiedział doktor Sakai. – Ma czysty, zdrowy organizm, który pozytywnie zareagował na nowe remedia.

– Cieszę się – rzekła Josui bez entuzjazmu.

Ojciec widział, że coś jest z nią nie tak, toteż tego poranka postanowił naradzić się z żoną.

– Nic mi nie powiedziała – wyznała pani Sakai. – Gdy pytam ją, dlaczego jest smutna, gniewa się na mnie i oświadcza, że wcale tak nie jest.

– Nie wie, co się z nią dzieje – orzekł doktor Sakai z typową dla siebie stanowczością. – Jest przygnębiona. To biologia... Nadszedł czas, by wyszła za męża, lecz ona o tym nie wie. Wezmę zatem sprawy w swoje ręce.

W każdej innej chwili pani Sakai zaleciłaby cierpliwość, teraz jednak odparła jedynie:

– Bez wątpienia masz rację.

– Koboriego można by nazwać idealnym młodym Japończykiem – stwierdził potem doktor Sakai w rozmowie z Josui. – Jest nowoczesny, nie popada w skrajności i szanuje swego ojca. Zajdzie jeszcze dalej niż on i pewnego dnia stanie się bardzo ważnym człowiekiem. Żałuję, że nie mogłaś zobaczyć, jaką ma kondycję zdrowotną. Kiedy zrobiłem mu nacięcie, moim oczom ukazała się niebywale czysta i przejrzysta czerwień jego krwi.

– Niemniej jednak miał problem z wyrostkiem robaczkowym?

– nieco okrutnie przypominała ojcu Josui, na co on się oburzył:

– Wyrostek to niepotrzebny organ szczątkowy, pozostałość po człowieku pierwotnym. Nie można tu obwiniać Koboriego, który z resztą nie będzie miał już żadnych kłopotów ze zdrowiem.

Josui nie chciała myśleć o Koborim, a jednak jakaś mimowolna chęć ukarania siebie, czy może ponaglenia swojego losu, zmusiła ją do kontynuowania rozmowy.

– Ojczy, powiedz, o czym myślisz? – zapytała lekkomyślnie.

– Chcesz, bym za niego wyszła. Dlaczego tego nie przyznasz?

Doktor Sakai zupełnie stracił nad sobą panowanie.

– Jesteś upartą, nieznośną córką! – krzyknął. – Doskonale wiesz, dlaczego nie mam śmiałości szczerze z tobą pomówić. Jesteś podobna do Amerykanek. Jeśli poznasz moje nadzieje, zniweczysz je!

Przeraził go ten wybuch gniewu, lecz przygotował się na jej kontratak. Bez wątpienia wszystko przepadło... już nigdy nie ulegnie... A jednak, ku jego zaskoczeniu, Josui była łagodna.

– Ojczy, zaczynam się zmieniać. Dużo rozmyślałam i sądzę, że lepiej będzie, jeśli wyjdę za Japończyka, jak mi to częstokroć radziłeś. Czasami myślałam, że chciałabym znów udać się do Ameryki, lecz nigdy tego nie uczynię, jestem bowiem częścią tego kraju. To może być ktokolwiek, może Kobori... Jak mówisz, jest dobry, a ja nade wszystko pragnę dobrego męża.

Przemawiała tak w zamyśleniu, poniekąd nawet ze smutkiem, a on ledwie mógł uwierzyć, że to ona wypowiada te słowa, toteż opuścił go gniew i wyjąkał:

– Josui, moje dziecko... cóż za rozsądek... zaskakujesz mnie. Czy mam... czy chcesz, bym pomówił z jego ojcem? Powiedz, co mogę dla ciebie uczynić?

Zerknęła na niego dużymi smutnymi oczyma.

– Ojczy, co tylko chcesz. To doprawdy go zatrwożyło.

– Dziecko, dobrze się czujesz?

– Wspaniale, ojczy, już dawno się tak nie czułam. – Dostrzegła, że się zląkł, toteż usiłowała się uśmiechnąć. – Wreszcie dorastam. Wiesz, że mam już dwadzieścia lat?

Był zadowolony, lecz wciąż nieco zaniepokojony.

– Nie obawiaj się, nie zamierzam cię ponaglać – rzekł poważnie. ~ Nie pozwolę na to nawet Koboriemu.

– Dziękuję ci, ojczy – powiedziała.

Odeszła, ukłoniwszy się dyskretnie, i udała się do ogrodu, by ułożyć kamienie w sadzawce. Zbierała je, gładkie i okrągłe, powyginane i wyrzeźbione przez wodę. W dłoni mieściło jej się co najwyżej dwadzieścia sztuk, zatem kiedy znajdowała piękniejsze, wyrzucała te brzydsze. W przejrzystej wodzie barwy były niebywale wyraziste. Niektóre zmatowiały od wiatru kamienie pięknie lśniły po zanurzeniu w wodzie. Josui przekładała je tak delikatnie, że jej odbicie ledwie się poruszało.

Allen nie napisał do niej ani razu. Upłynął miesiąc, odkąd się rozstali, a on nadal milczał. Radowało ją to, że nie zna jego adresu, inaczej mogłaby ulec pokusie. Wszak bezsenne noce obfitowały w długie godziny, podczas których pisała do niego słaba i zrozpaczona, błagając, by wrócił lub chociaż zgodził się na jej przyjazd. Gdyby napisała taki list, a on na niego odpowiedział, prędzej czy później nadszedłby koniec ich związku – choćby po wielu latach – odzyskałaby bowiem swą dumę pomimo obecnej bezsilności. A zatem w sercu ich miłości tkwiłoby zgniłe ziarno.

Mijały pełne oczekiwania tygodnie, a Josui zdołała przetrwać wpieryw jedną bezsenną noc, potem kolejne. Zdała sobie sprawę z tego, że jej przyszłość, która stała się teraz prosta i wyraźna, wypełni nieunikniony los japońskiej kobiety: małżeństwo, mąż, dzieci, dom... Żadne rozmowy na temat nowoczesnych kobiet nie zmieniły i nie mogły zmienić tego, co nieuchronne, zatem – jak też rzekła do ojca – dlaczego nie Kobori? Stopniowo przyzwyczajała się do tej myśli. Przypominała sobie jego bladą, szeroką twarz o nieco ostrych rysach, która jednak emanowała spokojem i życzliwością. Również całkiem dokładnie potrafiła sobie przypomnieć jego przyjemny głos, powolny i niewyraźny sposób mówienia, a nawet lekkie seplenienie. Niewiele potrafił powiedzieć po angielsku. – Jestem tępy do języków – wyjaśnił jej niegdyś, sprawiając wrażenie, jakby o to nie dbał. Przynajmniej nie był odrażający i agresywny ani jej się nie narzucał. Zatem prawdopodobnie z czasem uda jej się pokochać go dość mocno. I przynajmniej mogła go szanować. A to, czego pragnęła, to nade wszystko prosta dobroć, której Kobori miał w sobie więcej niż jakikolwiek mężczyzna, którego dotychczas spotkała.

Pogładziła delikatną dłonią okrągły, zielonkawy kamień i bez krzty gwałtowności zanurzyła

go w wodzie, nie wzniecając przy tym bąbelków ani lśnienia, a zieleń nabrała czystego, łagodnego i przyjemnego odcienia.

Lato w Tokio było upalne, ulice z nowoczesnego asfaltu płonęły gorącem. Elektrownia wielokrotnie miewała awarie, toteż zazwyczaj o najgorętszej porze dnia lub nocy wentylatory przestawały działać. Jedynym sposobem na zniesienie tego, czego znieść się niemal nie dawało, było rzucenie się w wir pracy.

– Panie poruczniku Kennedy!

Pod drzwiami stał szeregowy z korespondencją.

– Listy od rodziny, poruczniku! – – Połóż je na małym stoliku. Muszę wpierw skończyć ten raport.

– Tak jest! – Żołnierz zsalutował, ostrożnie położył plik dziesięciu, może dwunastu kopert i odszedł.

Jego rodzina – ojciec, matka, ciotki, wujkowie, kuzyni – wszyscy pisali do niego z oddaniem, przemieniając w męczarnie jego przymusowy pobyt w tym tak odległym i barbarzyńskim kraju, jakim była Japonia. – „Kochanie, kiedy będziesz mógł przyjechać do domu?” – matka zawsze rozpoczynała listy od pełnych tęsknoty pytań.

Wrócił do pracy, stukając prędko na walizkowej maszynie do pisania. Porucznik to dogodny stopień obejmujący wiele obowiązków, zwłaszcza tych, których wyższym od niego rangą oficerom nie chciało się wypełniać, bądź też byli do tego zbyt niekompetentni. Allen znał generałów, którzy nie potrafili nawet poprawnie pisać lub mówić, toteż kiedy dowiedzieli się, że ukończył uniwersytet, zawalili go nużącą Pracą papierkową. Ze swoistym zadowoleniem sporządzał nudne raporty, takie jak na przykład ten na temat działających pod okupacją japońskich organizacji cywilnych, pomniejsze arcydziełko stylu, choć naturalnie nikt, kto go czytał, nie mógł tego docenić. Jednakowoż Allen zauważył, że interesuje go to, co pisał teraz o Japończykach, i świadom był, że to z powodu znajomości z Josui, która wprowadziła go w rzeczywiste relacje z tymi ludźmi. Nadal pozostawała dla niego kimś szczególnym, najpiękniejszym dziewczęciem, jakie kiedykolwiek widział. Prócz urody miała również odwagę, wszak oparła się umiłowanemu mężczyźnie, choć było jej trudno.

Jak zwykle kiedy zakradała się do jego myśli, co zdarzało się ze dwadzieścia razy w dzień i w nocy, rozważał możliwe rozwiązania. Zakładając, że ich spotkanie zakończyłoby się inaczej, że oświadczyłby się jej, co z pewnością by uczynił, gdyby była Amerykanką – cóż wtedy? Pogubił się w labiryncie myśli, a jego palce leżały beczynnie na klawiszach. Mogliby pozostać w Japonii, lecz czy on chciałby wieść tu życie? Mogliby też mieszkać w Ameryce, gdzie było wiele miejsc, w których razem z dziećmi żyliby szczęśliwie – no proszę, z dziećmi! Czy muszą mieć dzieci? Ona prawdopodobnie ich zapragnie, a on wraz z nią. Zawsze myślał, że pewnego dnia się ożeni i będzie miał potomstwo, nie tylko jedynaka, rozpieszczanego jak on i dorastającego w dużym domu, który powinien być się wypełnić gwarem gromadki dzieci. Niegdyś uważał za rzecz oczywistą, że zamieszka tam ze swą rodziną. Gdyby nie wojna, byłby

już bez wątpienia dość szczęśliwym mężem tej czy innej dziewczyny, nigdy bowiem nie poznałby Josui. Jego żoną mogłaby być Cynthia Levering, która – jak powtarzała mu matka – była dla niej niczym córka, „droga córka”, co z osobliwym naciskiem uparcie podkreślała, kiedy mówiła o niej w jego obecności.

– Matko, nie narzucaj mi Cynthii – mawiał żartobliwie. – Pewnego dnia może naprawdę zechcę się z nią ożenić, ale sam.

– Och, ucisz się – odpowiadała wówczas słodkim, radosnym głosem. – Powiadam, odkąd dorosłeś, stałeś się doprawdy złośliwy!

W tej stercie prawdopodobnie leżał list od Cynthii, która pisała nieczęsto, ale wystarczały mu jej zazwyczaj długie, przyjemne listy pełne mało istotnych wieści z rodzinnego miasta. Mieszkała blisko jego domu przy szerokiej, spokojnej ulicy. Znał ją całe życie, a trzy pokolenia wstecz ich przodkowie połączyli się poprzez małżeństwo.

– Czyli jak dawno temu? – Allen próżno zagadnął niegdyś matkę.

– Wystarczająco dawno – rzekła figlarnie.

Wyciągnął rękę i przerzucił listy – był wśród nich jeden od matki i od pastora kościoła episkopalnego, do którego jego rodzina od pokoleń chadzała co niedziela, dwa od nieznanomych nadawców i duża koperta od Cynthii. Panna Levering nie miała w sobie nic drobnego prócz pełnej wdzięku talii – była wysokim, proporcjonalnie zbudowanym i wspaniałomyślnym dziewczęciem o wielkim sercu i umyśle. Wierzył, że pewnego dnia zakocha się w niej, lecz teraz osobliwe było to, że bardzo chciałby opowiedzieć jej o Josui.

– Założę się, że zrozumiałaby – wymamrotał.

Rozciął kopertę z kremowego papieru, zbyt grubego, by go rozedrzeć, i wyjął trzy podwójne kartki, złożone i pokryte smoliście czarnym pismem, dużymi, ale nie zamaszystymi literami.

„Kochany Allenie” – zawsze tak rozpoczynała listy. Od lat pisali do siebie bez entuzjazmu, ona z odległej prywatnej szkoły dobrych manier dla dziewcząt, on zaś z uniwersytetu. – „Kochany Allenie, jeszcze nigdy nie było takiej wiosny, a może nigdy wcześniej tak jej nie przeżyłam. Wygląda na to, że w tym roku mam dużo wolnego czasu”.

Czytał powoli i wyobrażał sobie swoje rodzinne miasto, ulice, którymi chadzał, znajome twarze sąsiadów i krewnych. Kiedy przebywał tak samotnie w Tokio, wszystko to pozostawało gdzieś w oddali, jak gdyby w innym świecie. I istotnie tak było. Tamci żyli w innym świecie i zapewne nie potrafiliby zrozumieć tego, którego stolicą było japońskie Tokio. Jakkolwiek by wyjaśniał, cokolwiek by robił, nie chcieli zrozumieć. Nie znał sposobu na to, by im go przybliżyć, ^a jego jedynym problemem była odpowiedź na pytanie, w którym świecie chce żyć... i z kim...

Allen złożył starannie listy i włożył je do kopert, po czym spojrzął na przygnębiającą maszynę do pisania.

Jedynie ojciec nie napisał – rzadko to robił, tak jak rzadko mówił. O ile go pamięć nie myliła, ojciec nigdy nie wypowiedział dłuższej kwestii, a w każdym razie nic, co warto byłoby

zapamiętać. Kiedy podczas posiłku zachodziła taka potrzeba, ograniczał się zaledwie do minimum: „Synu, proszę, podaj masło”; czasami wypowiadał się nieco wylewniej: „Złociutka, te babeczki są lepsze niż zwykle”. „Złociutka” to jego matka, która tak naprawdę nosiła imię Josephine, imię, którego zdaniem ojca nie zniósłby żaden mężczyzna prócz Napoleona.

– Panie Kennedy, nadmienię – odpowiadała z werwą matka – że babeczki nie zawsze bywają dobrze utarte!

– Właśnie, złociutka, dlatego czynię uwagi na temat tego, że te są wyborne.

Kiedy częstokroć żartowano sobie z jego spokojnego milczenia, ojciec uśmiechał się uprzejmie i mamrotał, że za to złociutka mówi za dwoje i jest przy tym bardzo interesująca – znacznie bardziej niż on.

Allen nie udawał, że rozumie ojca, ale też nigdy nie miał poczucia, że powinien. Niemniej jednak teraz nieco żałował, że nie zna go na tyle dobrze, by mu napisać o Josui i zapytać go...

O co?

Istniało tylko jedno pytanie i sam musiał je sobie zadać. Czy miłował ją na tyle, by się z nią ożenić? Czy to, co czuł w te niekończące się tęskne dni i noce, było prawdziwą miłością? Wiedział jedynie, że nigdy dotąd się nie zakochał, lecz czy teraz był zakochany?

Włożył listy do szuflady biurka, po czym starannie się umył i ubrał. Pułkownik i jego żona zaprosili go obiad – ci poczciwi ludzie najwidoczniej nie wiedzieli, co począć z tymi radosnymi, lekkomyślnymi desperatami, którzy byli szeregowymi pod dowództwem pułkownika. – Oni w ogóle nie są poważni – narzekała jego żona, kiedy ostatnio Allen jadł u nich w domu obiad. – Zachowują się, jak gdyby żyli w czasach madame Butterfly.

Wiedział, o co jej chodzi, gdyż sam tak się trochę czuł w Parku Cesarskim w Narze. Czasami nie mógł uwierzyć, że Japończycy to ci sami ludzie, którzy tak niedawno bezlitośnie mordowali Amerykanów. Uświadomił sobie, że zaczyna o tym całkowicie zapominać, pomimo że przecież z oddaniem brał udział w wojnie. Lecz bezwzględni mali ludzie, którzy niepostrzeżenie podkradli się do nich na strony porośniętych dżunglami wysp, nie mieli nic wspólnego – a może tak mu się teraz wydawało – z zielonymi zboczami tarasowymi, rolnikami w niebieskich uniformach, ślicznymi dziewczętami w kimonach i *geta*, a już z pewnością z Josui, która tak naprawdę była bardziej Amerykanką niż Japonką pod każdym względem prócz wyglądu i pretensjonalnie doskonałej wymowy angielskiej.

Kiedy imię Josui wypływało na powierzchnię jego myśli, przez chwilę łomotało mu serce i już chciał wyciągać ręce, jak gdyby przy nim była. W niewesołym nastroju zastanawiał się, czy ośmieli się zadać pułkownikowi pytanie, kiedy zostaną sami po obiedzie. Jego dama była dobrze wychowana i zawsze zostawiała mężczyzn przy kawie na pół godziny, pomimo że była w towarzystwie jedyną kobietą. Gdyby zaś ich gościem była kobieta, a pułkownik jedynym mężczyzną, jak to częstokroć bywało, wówczas pół godziny mogłoby się wydłużyć do czterdziestu pięciu minut.

Mimo wszystko jednak nie odważył się poruszyć tego tematu. Jedyne, na co się zdobył po

wybornym obiedzie ugotowanym przez japońskiego kucharza i podanym przez odzianego w biel Japończyka, to zapytanie pułkownika bez żadnych ceregieli, ilu Amerykanów ożeniło się z Japonkami podczas okupacji. Pułkownik wyglądał na nieszczęśliwego.

– Myślę, że mamy gdzieś takie dane liczbowe, ale nie chce mi się ich sprawdzać. Masz na myśli żonatyh czy jedynie...

– Żonatyh.

– Prawdopodobnie niewielu – rzekł z nadzieją w głosie pułkownik. – Jeśli chodzi o to drugie, to kto wie? Myślę, że nawet tysiące mieszanych dzieci nie byłoby miarą tego, co się tak naprawdę dzieje. Nie bardzo pojmuję, dlaczego nasi mężczyźni wydają się tak... powiedzmy, niewyżyci seksualnie. Nawet ja jestem tym zaskoczony, a stary ze mnie oficer.

– A co się stanie z tymi dziećmi? – zapytał Allen, niezwykle przejęty.

Pułkownik wyglądał na przygnębionego.

– Nie wiem. Mój adiutant, Barclay, mówi, że jego żona znalazła któregoś dnia u sąsiadów ukryte dziecko. To bardzo przyzwoici ludzie, mąż jest kupcem czy coś w tym rodzaju. Barclaya i jego żonę zaniepokoiło, że przez całą noc w domu obok kwiliło niemowlę, toteż poszli to sprawdzić.

– I co zrobili?

– Zawiadomili chyba katolicki sierociniec i dziecko zabrano. Rodzina była wdzięczna, nawet matka, zresztą śliczne dziewczę. Barclay powiedział, że niemowlę wyglądało dziwnie i że to doprawdy paskudna mieszanka. W ogóle w to nie wierzę, ale co począć?

Zatem Allen nie mógł wspomnieć o Josui. Wyszedł dość wcześnie; posiedział z gospodarzami zaledwie krótką chwilę, po czym wstał i wytłumaczył się, że musi skończyć raport.

Nie chciał brać wolnego na wyjazd do Karuizawy ani nawet chodzić zbyt często wieczorami do kina. Latem kilkakrotnie był na potańcówkach, lecz nie ujrzał tam żadnej dziewczyny, która by mu się spodobała, nie miał też ochoty na spotkanie z bliskimi. Uważał, że nawet Cynthia, choć przyjemnie byłoby z nią porozmawiać mimo wszystko, nie mogłaby teraz rozbudzić w nim miłości. Z jego życia uszła już cała magia.

Kiedy tylko o tym pomyślał, dotarło do niego, gdzie owa magia się znajduje. Czuł, jak elektryzuje jego duszę, kiedy przebywał z Josui. Pewnej gorącej, samotnej nocy przypominał sobie każdą chwilę, gdy ją widział – pod wisterią tego pierwszego dnia, kiedy bezwiednie patrzyła w jego kierunku, i na słynnym starym mieście, gdy jego oczy spoczęły na niej i wychwycił ją w tłumie. Przypominał sobie każde jej przelotne spojrzenie, zwłaszcza chwilę, kiedy zerknęła na niego zza domu – jakże pięknie wyglądała tego dnia w kimonie. Jedyne raz widział ją w podobnym stroju w tym przestronnym domu, tak oszczędnie umeblowanym i niespotykanym w wyszukanej prostocie, w jej domu! Być może jej świat był lepszy, świat dostojności i tradycji, w którym wolała pozostać niż wyprzeć się jego wzniosłych wymogów. Była kimś więcej niż zaledwie „dobrym” dziewczęciem – nawet kiedy ją całował, nie mogąc się przed tym powstrzymać, czuł, że niechętnie mu na to pozwala, pomimo że naturalnie i ona go

pragnęła. – Małe biedactwo – pomyślał – oszołomione miłością i niewiedzą, jak poradzić sobie z wewnętrznym chaosem. Zdradził ją, a jedynym rozwiązaniem okazało się odejście, nim byłoby na to za późno.

I kiedy tak o niej myślał i bezustannie ją sobie wyobrażał, doszedł do wniosku, że głupio postępuje. Wszak dni upływały, a jego zgubiło przyzwyczajenie do spędzania lata w samotności, podczas gdy ci nieliczni mężczyźni, których doskonale znał, jeden za drugim wyjeżdżali w góry bądź nad morze, pułkownik zaś zamknął dom na wszystkie spusty i poleciał na dwa tygodnie do Ameryki. W połowie sierpnia Allen poczuł, że musi ujrzeć Josui jeszcze raz. Chciał poddać się próbie i upewnić, że będzie potrafił o niej zapomnieć na tyle, by ożenić się kiedyś z inną kobietą. Z pewnością nie była tak piękna, jak ją zapamiętał.

Również w Kioto lato było gorące, ale doktor Sakai nie miał czasu o tym myśleć. Sprawiał wrażenie, jakby mu się nie spieszyło, jednak natychmiast przystąpił do organizowania zaręczyn Josui. Jakże żałował lat spędzonych w Ameryce! Zamiast skorzystać teraz z instynktownej wiedzy o japońskiej tradycji zawierania małżeństw, musiał studiować starą książkę i podpytywać ludzi o wiele szczegółów, jednocześnie nie Przyciągając uwagi swą ignorancją na temat tego, w jaki sposób jego córka powinna być poślubiona mężczyźnie ze starej, zamożnej rodziny. Pomimo że sława medyka co dzień przysparzała mu wielu dodatkowych zajęć, czuł, że sam musi wybrać wzory jej nowych kimon, jedwabiów i haftowanych atlasów. Zażądał, by córka mu towarzyszyła, chciał się z nią bowiem konsultować – wszak powinna mieć to, co jej się podoba, o ile tylko będzie się to nadawało. Jej matka również musiała im dotrzymywać towarzystwa, przez wzgląd na przyzwoitość, jednakże pomimo obecności żony i córki to on podejmował ostateczne decyzje, zawsze mając na uwadze rodzinę Matsuich i to, co wiedział na temat ich upodobań i zwyczajów.

Powiedział, że nie będzie wymagał od córki ślepego posłuszeństwa, jakie okazywali ich przodkowie. Poniekąd nawet chciał, jeśli ona również wyraziłaby ochotę, by nieoficjalnie spotykała się z Koborim u nich w domu. Nie pozwoliłby na to, by zobaczono ich razem w miejscu publicznym, dopóki się nie pobiorą, niemniej jednak narzeczony mógł przychodzić do niej z wizytą o takiej porze, kiedy jej rodzice byli w domu. Tak więc kilkakrotnie przed ślubem, którego datę wyznaczono na połowę września, Kobori przychodził po wcześniejszym ustaleniu dnia i godziny oraz upewnieniu się, czy pora ta jest dla rodziny Sakaich dogodna.

Pan i pani Sakai przyjmowali go zawsze, a za pierwszym razem towarzyszyli młodemu podczas całego spotkania. Zauważyli, że Josui mówi niewiele, tylko kłania się dyskretnie na każde słowo Koboriego, a na pytania odpowiada szeptem „tak” lub „nie”, nie czyniąc żadnych uwag.

– Może powinniśmy zostawić ich samych? – doktor Sakai zapytał żonę tamtego wieczoru w sypialni.

– W końcu tyle lat żyliśmy w Ameryce – przypomniała pani Sakai.

– Ale teraz jesteśmy w Japonii – zripostował nieco rozdrażniony. Nie chciał, by cokolwiek tu było takie jak w Kalifornii. Wielokrotnie przypominał przyjaciółom i rodzinie o amerykańskich

obozach koncentracyjnych dla Japończyków i nadal to robił, pomimo że polikwidowano je już dawno temu, a Japończycy rozproszyli się bez większych problemów po całych Stanach Zjednoczonych.

– Lecz Josui pamięta Amerykę – rzekła pani Sakai. – To może wydawać się jej osobliwe, że nie wolno jej nawet porozmawiać sam na sam z mężczyzną, za którego ma wyjść.

Zatem następnym razem po kilku minutach rozmowy o pogodzie i tegorocznych szansach na piękne chryzantemy, jak zwykle zupełnie ignorując kwestie związane z okupacją, doktor Sakai skinął na żonę, po czym wyszli. Kiedy młodzi zostali sami, Kobori Matsui zaśmiał się cicho i zwrócił się wesoło do Josui:

– Twój ojciec jest doprawdy niezwykły – rzekł łagodnym basowym głosem. Gdyby go podniósł, byłby bardzo donośny, ale nigdy tego nie robił.

– Cóż masz na myśli? – zapytała.

– Jest lepszym Japończykiem niż ktokolwiek z nas, a jednak nie wie, że ma w sobie coś, co nigdy nie będzie japońskie, jakkolwiek by się starał. Ameryka go nazaczyła.

– Myślę, że mnie również – zauważyła.

– Tak, masz rację – zgodził się – ale ja lubię Amerykanów.

– Nawet tych, którzy nas okupują? – zapytała powątpiewająco.

– Tak – powiedział. – Nie zawsze podoba mi się to, co robią, lecz bardzo często im współczuję. Mają trudne zadanie.

– Jakie?

Ponownie się roześmiał.

– Chcą zrobić z nas Amerykanów. To przecież niemożliwe!

– Mimo to zmieniają nas – przypomniała.

– Ale tylko niektórych – zgodził się.

– Jak myślisz, czy wszystko będzie takie jak wcześniej, kiedy już się wycofają? – zapytała.

– Z początku nawet bardziej – odrzekł. – Spragnieni zwrócimy się ku Japonii, wpiern usiłując odnaleźć swe dawne dusze. Niewykluczone, że następne pokolenie, a może jeszcze kolejne, znów się zmieni i zacznie analizować oraz częściowo akceptować to, co odrzuciliśmy. Upłynie pięćdziesiąt lat, nim się dowiemy, jacy w końcu mamy być, a kto wie, jak do tego czasu zdąży zmienić się świat... ?

Słuchała, podczas gdy on mówił dużo, refleksyjnie i bez arogancji jej ojca.

– Nie boisz się? – zapytała.

– A dlaczego miałbym się bać? Jak wiesz, pochodzę ze starej, konserwatywnej rodziny, toteż świetnie poradzimy sobie w nadchodzących konserwatywnych czasach. Współczuję jedynie tysiącom tych małych dzieci, które znalazły teraz schronienie w sierocińcach. To sieroty z ojców Amerykanów i matek Japonek.

Osobliwe, nigdy o tym nie pomyślała! Gdyby pozwoliła Allenowi Kennedy'emu, gdyby już nawet zechciał się z nią ożenić, takie również/, byłyby ich dzieci. Czy on... i ona... czy porzuciliby

je? Nie, niemożliwe, by tak postąpili!

– Biedne małe dzieci – Kobori mówił donośnym, litościwym głosem. – Dla nich samych byłoby lepiej, gdyby nigdy nie przyszły na świat.

Nagle zamarzyła, by móc mu o wszystkim opowiedzieć. Był niebywale życzliwy – taka właśnie była jego dobroć. Wyobraziła sobie, jak słucha ze współczuciem, być może nawet rozumiejąc to, co się zdarzyło. Czy nie powinna mu powiedzieć? Wszak miała zostać jego żoną. Zerknęła na niego nieświadoma, że pytanie to już pobłyskiwało w jej oczach.

Uśmiechnął się.

– Cóż to? Chcesz o coś zapytać?

– Skąd wiesz? – zdumiała się.

– Widać to po twojej twarzy. Potrafię wyczytać z niej niemal wszystko, o czym myślisz.

– A myślę? – Zwlekała, nie wiedziała bowiem, czy to odpowiednia chwila. Lecz doprawdy powinna mu powiedzieć, by nie było między nimi żadnych tajemnic.

_ Zadajesz sobie pytanie, jaki jest ten mężczyzna, któremu zostałaś przyobiecana – usiłował zgadnąć.

_ Czy nie każda kobieta o to pyta? – wywinęła się.

_ Jestem pewien, że tak.

Kłęczeli po japońsku, Kobori przysiadł w pewnej odległości od niej, co sprawiło, że czuła się swobodnie. Nigdy by sobie nie pozwolił jej dotknąć przed ślubem, niemniej jednak powiedział doktorowi Sakaiemu, że jego zdaniem powinni się poznać choćby poprzez rozmowę.

Odpowiedział po chwili zastanowienia:

– Myślę, że nie jestem zbyt skomplikowany. Lata obowiązkowej służby wojskowej odmieniły mnie i teraz jestem wielkim przeciwieństwem tego wszystkiego, czego mnie nauczono. Już nie potrafię zabijać, toteż nie oczekuj, że zabiję mysz. Wszędzie pozwalałam im biegać. Tyle lat słyszałem głośne, chrapliwe krzyki oficerów, że chwilami myślę, iż do końca swych dni chciałbym mówić nie głośniejsz niż szeptem. Widziałem, jak bito i kopano ludzi za niewielkie przewinienia, tak więc proszę, nie oczekuj, że kiedykolwiek uderzę dziecko. Widziałem tyle okrucieństwa, że jedynym sposobem, dzięki któremu będę mógł przetrwać to życie, jest upór w życzliwości. Dla mojego własnego dobra. Nazwijmy to słabością. Lecz wiem, że sam mogę sprzeciwić się tej truciznie, która niczym paskudna choroba bardzo łatwo roznosi się od jednej osoby do drugiej, i żywię nadzieję, że nie jestem sam i pewnego dnia skończy się to szerzone przez ludzi okrucieństwo.

Nigdy nie mówił w jej towarzystwie tak dużo i poważnie i za tę przemowę była mu bardzo wdzięczna. Wiedziała, że robi to, gdyż czuje się w obowiązku przed nią odsłonić, jednak nieświadomie odpowiedział na jej wątpliwości. Gdyby w dobrej wierze opowiedziała mu o miłości do innego mężczyzny, mógłby nalegać, by jej nie odrzucała, a przynajmniej by poczekali, dopóki o nim nie zapomni lub się nie zmieni. Z pewnością uda jej się zapomnieć i zmienić. Nie chciała czekać – chciała wyjść za mąż, małżeństwo bowiem zajmie jej myśli, a już na pewno jej

czas.

– Dziękuję ci, że opowiedziałeś mi o tym wszystkim – rzekła – Kobori Matsui, szanuję cię. Myślę, że życzliwość to największy przymiot mężczyzny i kobiety, i mam nadzieję, że również jestem życzliwa.

Po raz pierwszy zerknęła na niego z czułością, a przynajmniej tak to teraz odczuwała. W Japonii od wieków zawierało się małżeństw a bez miłości – wystarczył szacunek i czułość. Tak w każdym razie uważali jej przodkowie.

Uklonił się jej swobodnie, acz dyskretnie, i tak zakończył swą drugą wizytę.

Upały nie ustały także w sierpniu, toteż starsi mieszkańcy miasta stwierdzili, że to z pewnością efekt bomb atomowych, które Amerykanie zrzucili na Hiroszimę i Nagasaki. Gorąco było nawet w nocy szesnastego dnia miesiąca, kiedy to na wznoszącej się nad Kioto wysokiej górze Daimonji płonęły ogniska, a pilnujący ich ludzie nie mogli ochłodzić się na wietrze.

Doktor Sakai był przemęczony. Nagle mnóstwo pacjentów ze starymi, niezagojonymi ranami przepełniło szpital; pochodzili właśnie z dwóch zbombardowanych miast. Wieść o jego sławie krążyła z ust do ust i nieuleczalnie chorzy trafiali do niego zrozpaczeni, wiedzeni ostatnią nadzieją. Gorliwie usiłował ocalić im życie, a prócz tej gorliwości czuł także stale narastający gniew przeciwko wszystkim Amerykanom.

Od tych nieustających upałów sam się rozchorował i nie mógł wychodzić z domu przez kilka dni. Doskonale wiedział, że jest najgorszym pacjentem. Walczył z rozdrażnieniem i nie potrafił leżeć w łóżku – a powinien – toteż usiłował osiągnąć spokój poprzez medytację i czerpanie radości z ogrodu. Jednakże nawet on ucierpiał od tego gorąca i doktor Sakai, zamiast kontemplować jego piękno, oglądał coraz mniejszy wodospad, uschnięte brązowe paprocie i zdychające w sadzawce złote rybki.

pewnego dnia, kiedy był w złym nastroju, usłyszał uporczywy dźwięk małego mosiężnego dzwonka zawieszzonego przy bramie – odzwierzy na]wyraźniej zasnął. Pomimo że doktor Sakai wcale nie czuł się dobrze, nadszedł zamaszystym krokiem do bramy, by ją otworzyć, a jego oczom ukazał się wysoki amerykański oficer w mundurze.

Doktor nie odrywał od niego wzroku.

– Czego pan chce? – zapytał stanowczo.

– Doktor Sakai? – Tak, to ja.

Chciał zniechęcić Amerykanina, toteż srogo ściągnął brwi. Czy ci ludzie mieli się wdzierać siłą nawet do domów zwykłych obywateli?

– Nazywam się Allen Kennedy.

To imię i nazwisko doskonale utkwіło doktorowi Sakaiemu w pamięci i choć usiłował je z niej wymazać, nie udało mu się.

– Nie znam pana – rzekł z uporem. Mężczyzna się uśmiechnął.

– Ale ja znam pana córkę.

– Moja córka jest zajęta.

– Czy mógłbym zatem pomówić z panem, doktorze Sakai?

Ten nie odpowiedział od razu, tylko błyskawicznie analizował w myślach wszelkie skutki odmowy – z pewnością niełatwo było odmówić oficerowi.

– Nie czuję się dobrze i powinienem być teraz w szpitalu, więc wolałbym, by nikt mi nie przeszkadzał.

Mężczyźni bacznie mierzyli się wzrokiem.

– Jeszcze tu wstąpię – rzekł Allen Kennedy.

– To nie jest konieczne – wyniośle odparł doktor Sakai.

– Myślę, że jednak jest. Nalegam.

Allena Kennedy'ego przeraziła myśl, że mógłby poczuć w sobie Prawdziwy gniew do tego przystojnego Japończyka o chłodnej twarzy. Jakim prawem nie pozwalał mu przyjść do tego domu? To dom Josui.

Przypomniał sobie, że jest w Japonii, której mieszkańcy są mu teraz podlegli.

– Nie może pan nalegać – odpowiedział doktor Sakai z ogromnym dostojeństwem.

– Nalegam na spotkanie z pana córką – zripostował Allen.

W swej porywczosci doktor Sakai stracił panowanie nad sobą. Zdał sobie z tego sprawę i zrozumiał, że to efekt tak wielu lat spędzonych w Ameryce, gdzie nie otrzymał odpowiedniego wykształcenia w dzieciństwie ani w szkołach państwowych, w których nie uczono należytej samodyscypliny. Lecz było już za późno – nie zdołał powstrzymać wielkiego gniewu, nie tylko wobec Amerykanina, ale również wobec siebie, ponieważ nie potrafił być w pełni Japończykiem.

– Amerykanie nie mają tu wstępu – krzyknął i siłą próbował zamknąć bramę.

Również Allenem targały ambiwalentne uczucia. Choć niechętnie myślał o tym, że należy do narodu zdobywców, to jednak był świadom wynikających z tej przynależności przywilejów. Nie pozwolił sobie na przypomnienie doktorowi Sakaiemu swoich praw, lecz oparł się ramieniem o bramę, po czym zaczęli się szamotać – jeden, by ją zamknąć, drugi zaś, by otworzyć – co dla obu było powodem wstydu i hańby.

Położoną najbliżej bramy częścią domu była kuchnia, gdzie po naszykowaniu naczyń przed obiadem i zamieceniu podłogi spokojnie spala sobie Yumi. Zbudziły ją krzyki w obcym języku zdobywców. Prerażona podbiegła do drzwi i zobaczyła, jak jej pan usiłuje zamknąć bramę przed młodym silnym amerykańskim oficerem. Wróciła do domu z głośnym lamentem, by znaleźć swą panią.

Pani Sakai i Josui przebywały razem, przyszywając podszewki do strojów ślubnych. Na tle ich spokojnego milczenia Yumi eksplodowała niczym bomba:

– Och, pani! Pan bije się z amerykańskim oficerem.

Pani Sakai zerwała się z kolan i pospiesznie wyszła z pokoju, a tuż za nią podążyła Yumi.

Josui nawet nie drgnęła – od razu wiedziała, że wrócił Allen. Ależ niefortunna sytuacja! Dlaczego przyszedł pod bramę? Czemuż do niej nie napisał? Nie potrafiła tak tu siedzieć. Bójka, nie bójka, musiała do nich dołączyć i ich pogodzić.

I tak Men Kennedy ujrzał swą miłość: w jego kierunku szło szczupłe dziewczę odziane w niebiesko-białe kwieciste kimono. Była piękniejsza niż w jego wspomnieniach. Miała blade lico i błagalne spojrzenie. Przedarł się przez bramę i podszedł do Josui.

Doktor Sakai czekał wyczerpany, z zaciśniętymi ustami, a przed nim niby na straży stały jego żona i Yumi. Został pokonany. Dostrzegł wahanie swojej córki, gdy wtem Amerykanin wziął ją w ramiona. Opierała się, to prawda, lecz przeczuwał, że to z powodu obecności jego, matki i służącej. Wiedział, że gdyby była sama, zareagowałaby inaczej. Zrozumiał, że ją stracił, teraz pozostało mu już tylko przyjąć jakąś strategię.

Zwrócił się do swej wiernej żony.

– Przyrowadź do mnie córkę – powiedział apodyktycznym tonem i dostojnie wszedł do domu.

Potrzebował kilku minut w samotności. Nadal był zdecydowany przepędzić tego Amerykanina, co strategicznie nie będzie trudne – po prostu od gościa zażąda wyjawienia prawdziwych zamiarów. Doktor Sakai nie wierzył, że są one szlachetne, Amerykanie bowiem nie chcieli żenić się z Japonkami, o czym wiedział i na co miał dowód. Jeśli będzie to konieczne, ujawni go, lecz jakże to uczyni w obecności żony? Jęknął i siadł z podwiniętymi nogami na płaskiej poduszce, czego uczył się tak długo.

Kiedy do niego przyszli, młody mężczyzna był dość uprzejmy.

– Doktorze Sakai, doprawdy jest mi bardzo przykro. Nie wiem, co ^we mnie wstąpiło. Nie miałem prawa tak się panu narzucać.

Doktor Sakai nic na to nie odrzekł, tylko wskazał gościowi poduszkę i z pewną przyjemnością dostrzegł, że ten z trudem siadł na niej jak należy. Pozwolił, by Josui stała, a na Yumi spojrzął ze ściągniętymi brwiami, dając jej znak, by wyszła z pokoju. Pani Sakai zaś dyskretnie klękała za nim.

Nagle młody mężczyzna wstał. Prawdopodobnie jego nogi... lecz nie, wstał, by ustąpić Josui miejsca.

– Siądziesz? – zapytał cicho.

– Proszę, nie martw się o mnie – błagała zrozpaczona.

– Ależ ja się o ciebie martwię.

– Siądzże, Josui! – zagrzmiał doktor Sakai.

Klękała przy matce, a Allen ponownie siadł na niewygodnej poduszce.

Doktor Sakai czekał, aż młodzi pierwsi się do niego zwrócą. To nie on doprowadził do tej sytuacji, jemu stała się krzywda. Jednocześnie obiecał sobie, że kiedy już poruszą wiadomy temat, będzie rozsądny i cierpliwy, lecz nieugięty.

– Ojczy – nieśmiało zaczęła Josui.

Zmarszczył czoło i spojrzął na nią z taką odrazą, że natychmiast przerwała.

Amerykanin wnet przyszedł jej w sukurs.

– Josui, nie ty powinnaś mówić, tylko ja.

Musiał to powiedzieć. Kiedy przybył dziś do Kioto, miał mętlik w głowie. Jego jedynym jasnym celem było spotkanie z Josui, by określić – o ile tylko będzie potrafił – jak bardzo ją miłuje i czy znieśie kolejne rozstanie. Wiedział już, że to niemożliwe. Poniekąd podjął tę decyzję, szamocząc się z jej ojcem, lecz tak naprawdę zapadła ona dopiero wtedy, gdy ujrzał jej ukochaną bladą twarzyczkę.

– Zatem proszę mówić – odezwał się chłodno doktor Sakai. – Chciałbym się dowiedzieć, po co pan przyszedł.

– By spotkać się z pana córką. Doktor Sakai zwrócił się do Josui:

– Znasz tego człowieka?

– Oczywiście, że się znamy – uprzedził ją Allen Kennedy, po czym spokojnie i dokładnie opowiedział krótką historię ich znajomości.

Wspomniał także o tym, jak po kilku zaledwie godzinach postanowili się rozstać.

– Więc dlaczego pan wrócił? – zapytał doktor Sakai.

– Ponieważ zrozumiałem, jak bardzo ją miłuję. Doktor Sakai był bezwzględny.

– Nie może pan jej miłować! Jest zaręczona z synem mego przyjaciela, Koborim Matsuum, a za dwa tygodnie ma się odbyć ich ślub.

Młody mężczyzna siedział przez chwilę bardzo spokojnie, po czym zwrócił się do Josui:

– To prawda? Przytaknęła i zaczęła łkać.

– Szkoda, że mi nie powiedziałaś.

Po minucie pełnej zadumy ciszy rzekł do niej:

– Josui, wiem, że nie możemy się spotkać sam na sam, toteż muszę z tobą pomówić, jakbyśmy byli sami, i proszę, byś tak samo odpowiadała. Czy miłujesz mężczyznę, z którym jesteś zaręczona?

– Nie – rzekła cicho. – Ale to bardzo dobry człowiek.

– Josui, odpowiedz zgodnie z prawdą. Czy mnie kochasz? Uniosła zalaną łzami twarz.

– Och, tak, Allennie Kennedy!

– Zatem czy wyjdiesz za mnie?

Proszę, amerykański zwyczaj – pomyślał z wściekłością doktor Sakai – to wieczna ofensywa, nieustanny atak!

– Nie wolno zrywać zaręczyn – oświadczył. – Nie w Japonii.

– Proszę pana, a gdyby narzeczeni sami postanowili, że nie chcą się pobrać, chyba byłoby to możliwe... w nowoczesnej Japonii? – zapytał Allen.

Doktor Sakai był wstrząśnięty. Odchrząknął, po czym położył dłonie na kolanach i spojrzał na podłogę tuż przed sobą.

– Josui, chciałbym ci o czymś opowiedzieć.

– Proszę, ojcze – rzekła.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłem – rzekł głosem pełnym napięcia. – Nawet własnej żonie.

– Spojrzał spod gęstych brwi na tę zacną kobietę. – Hariko, wybac mi! Na dobre zapomniałem o

tym, I o czym muszę teraz wspomnieć jedynie przez wzgląd na naszą córkę, j– Nie martw się o mnie – wyszeptała pani Sakai.

– Josui, moje jedyne dziecko – zaczął. – Nie jest możliwe, byś wyszła I za Amerykanina. Mówię tak, gdyż mam ku temu podstawy. Nawet ten młody człowiek nie wie tego, co ja. Być może prawdą jest, że cię miłuje, ' a nawet że ty kochasz jego. Lecz miłość to nie rozsądek, to zaledwie uczucie. Szybko przemija, a życie płynie dalej.

Przemawiał niebywale smutny i poważny, oni zaś słuchali. W domu panowało takie milczenie, że nagle dało się słyszeć ciche, zazwyczaj niezauważalne dźwięki – grę zawieszoną gdzieś na drzewie niestrudzonej cykady o sztywnych skrzydełkach, szczebiot przedrzeźniacza i nawet plusk wodospadu, który teraz wydał się głośny.

– Kiedy jako młodzian mieszkałem w Ameryce – zaczął doktor Sakai z wielkim trudem – umiłowałem pewną młodą Amerykankę. Powiem, że również ona mnie pokochała i wyznaliśmy sobie miłość. Moi rodzice byli przeciwni, lecz wychowano mnie na Amerykanina, toteż uznałem, że nie mają prawa odmawiać mi tego, czego z całego serca pragnąłem.

Pani Sakai zeszywniała, po czym splotła dłonie i zaczęła się w niej wpatrywać. Mąż nie patrzył na nią.

– Och, matko! – cicho zawołała Josui. A Ojciec przemawiał dalej:

– Byłem gotów poświęcić wszystko – opowiadał chłodnym, opanowanym tonem – nawet opuścić swych rodziców, gdy wtem coś się wydarzyło. Jej brat zagroził mi pistoletem. Stało się to pewnego wieczoru, kiedy wracałem z uczelni do domu. Skąd wiedział, że chadzałem tą drogą? Musiała mu powiedzieć. Przyłożył mi broń do żeber, „lv, słuchaj – rzekł – zostaw moją siostrę w spokoju! Nie chcemy w naszej rodzinie żadnych przeklętych Japońców”. Nie ujrzałem jej nigdy więcej.

– To wszystko? – zapytał Allen.

– Jak to „wszystko”? – doktor Sakai wykrzyknął z pasją. – Wtedy to było dla mnie wszystkim. I teraz znów jest! – Pokiwał długim drżącym palcem. – Dlatego mówię, że to również przydarzy się mej córce.

– Moja rodzina nie wygraża nikomu pistoletami – powiedział Allen wyniośle.

– Stanie się to samo – upierał się doktor Sakai. – Może nie wezmą do ręki broni, lecz sięgną po coś innego. Nie zechcą w rodzinie przeklętej Japonki. Ja wam to mówię!

– Rozumiem, co pan czuje – rzekł Allen Kennedy. – Ale doktorze Sakai, to było dawno temu, nim jeszcze Josui przyszła na świat. Teraz jest inaczej.

– Ha! – zawołał głośno doktor Sakai. – Czytam gazety. Wcale nie jest inaczej. Kolorowi nie mogą zawierać związków małżeńskich z białymi w wielu stanach. Proszę mi powiedzieć, czy pana rodzina siada z nimi do stołu?

Allen wyglądał na zaskoczonego.

– Do głowy by mi nie przyszło, by pomyśleć o Josui jak o kolorowej. Policzki Josui poróżowiały.

– Pomówię z Allennem Kennedym w cztery oczy – oznajmiła nagle. – Ojciec, wszystko się pogmatwało, toteż najpierw musimy sami ustalić kilka kwestii.

Powiedziała to tak stanowczo, że ojciec nie mógł jej powstrzymać, i zapewne by mu się to nie udało, gdyby jednak spróbował. Niechaj pójdą do ogrodu i pomówią ze sobą – młodzi zawsze chcą rozmawiać. Lecz opowiedział im o gorzkiej tajemnicy, o której nie mogą zapomnieć.

Został sam z żoną, która nadal siedziała w bezruchu. Spojrzał na nią z ukosa i zrazu dostrzegł jej splecione drżące dłonie. Wyciągnął Prawą rękę i ich dotknął.

– Jestem wdzięczny losowi, że w mym życiu nadszedł dzień, ^w którym ujrzałem twoje zdjęcie. Spojrzałem na ciebie i natychmiast wiedziałem, że będziesz dobrą żoną, pomimo że fotografia ta była kiepskiej jakości i bynajmniej nie wyglądałaś na niej tak przyjemnie jak w rzeczywistości. Byłaś dla mnie samym szczęściem. Jakże mój los byłby żalosny, gdybym podążył inną drogą! Dziękuję temu krwiożerczemu człowiekowi, że przyłożył mi do żeber pistolet. Usiłowała powstrzymać łzy.

– Jestem pewna, że się go nie lękałeś – rzekła lojalnie.

– Lękałem się. Natychmiast się wycofałem i zapewniłem go, że w żadnym wypadku nie ożenię się z jego siostrą. Taka jest prawda.

– Proszę, zapomnij o tym – błagała żona, po czym delikatnie wysunęła ręce spod jego dłoni i brzeżkiem długiego rękawa osuszyła oczy.

– Jesteśmy w naszym własnym kraju i nie musimy wszystkiego pamiętać. '

– Masz rację. Ale rozumiesz, dlaczego musiałem opowiedzieć o tym, o czym zapomniałem?

– Proszę – szepnęła błagalnie.

– Gdybym nie zapomniał – ciągnął uparcie – opowiedziałbym ci to już dawno temu.

Nie mogła dłużej tego znieść. Wstała z wdziękiem, pomimo swoich krótkich nóg, i ukloniła się mężowi.

– Wybacz, proszę – rzekła słabym głosem – ale czekają na mnie obowiązki.

Wyszła i w miękkich dzianinowych pantofelkach podreptała do pokoju, gdzie wcześniej siedziała z Josui. Chwyliła cienki biały jedwabny materiał i zaczęła szyć. Uważała, by osuszać oczy za każdym razem, kiedy napływały do nich łzy, nie chciała bowiem poplamieć tkaniny. Nigdy nie była urodziwa. Doskonale pamiętała siebie sprzed lat: kręłą wiejską dziewczynę o kwadratowej, spalonej słońcem twarzy. To nie on ją wybrał, tylko jego rodzice. Wyglądała na silną i posłuszną i taka też naprawdę była, lecz on, tak zraniony utraconą miłością, nie dbał o to, jaka jest. Nagle odłożyła igłę – wszak strój ten może okazać się niepotrzebny, po cóż więc szyć?

W ogrodzie, którego mur o tej porze roku pokrywały zarośla, za bambusami skryło się dwoje młodych ludzi. Przywarli do siebie na rustykalnej drewnianej ławce i na chwilę ukoili swoje cierpienie. Allen nie mógł udawać, że rozumie naturę swego uczucia. Wiedział jedynie, że obdarzył Josui miłością, jakiej nigdy dotąd nie zaznał, i cokolwiek by to oznaczało, musiał przez to przejść, by ją zdobyć.

– Wiesz, że nie możesz wyjść za nikogo prócz mnie – wyszeptał prosto w jej usta.

– Już teraz tak – rzekła łamiącym się głosem.

– Uciekniemy – powiedział lekkomyślnie. – Josui, jesteś Amerykanką i postąpimy jak Amerykanie. Nie musimy być posłuszni jak dzieci.

– Nie możemy tego zrobić – rzekła stanowczo, po czym objęła go w pasie i odchyliła głowę, by na niego zerknąć. – Nie znasz Koboriego Matsuiego. To naprawdę dobry człowiek. Muszę wyjść z tego z honorem i mu powiedzieć. On to zrozumie.

Wbrew rozsądkowi wolał, by ów mężczyzna wcale nie był taki dobry. Mniej wysiłku kosztowałoby go odebranie ukochanej Japończykowi nieustępliwemu jak jej ojciec.

– Nie chcę się z nim spotkać – rzekł ostro.

– Proszę – błagała – tę sprawę zostaw mnie. Pomówię z rodzicami. Musimy być posłuszni ojcu w każdej drobnej kwestii, rozumiesz, Allennie Kennedy?

– Posłuchaj, Josui, przede wszystkim przestań mnie tak nazywać. Mów po prostu „Allen”.

– Allenn – powtórzyła, po czym ciągnęła, jak gdyby jej wcale nie przerwał. – Nie możemy być mu posłuszni w najważniejszej sprawie, a mianowicie nie możemy się rozstać. Lecz kiedy on to zrozumie, w czym ja mu pomogę, wówczas naszym obowiązkiem będzie ustępowanie mu w innych okolicznościach.

Teraz, kiedy podjął decyzję o ślubie, gotów był jej ulec we wszystkim.

– Kochanie, cokolwiek każesz, tylko spiesz się! Położyła mu głowę na piersi.

– Dobrze.

Osobliwe, że kiedy zapadło postanowienie tak wielkiej wagi, nie potrafili już się do siebie zalecać. Siedzieli poważnie i przytulali się, a on bawił się jej dłonią, jak gdyby była zabawką, myśląc jednak o czymś innym. Uświadamiał sobie czekające ich ogromne problemy, których charakteru nie potrafił pojąć, a które brały swój początek tutaj, w cichym ogrodzie w Japonii, i koncentrowały się hen za oceanem w amerykańskim dużym białym domu. Cóż pomyśli jego rodzina? Postanowił, że nic im nie powie, tylko poczeka, dopóki nie poznają Josui. Nie ma dyskusji. Muszą ujrzeć tę uroczą kobietę, to łagodne, kruche dziewczę, które prócz wdzięku miało także w sobie źródło wielkiej siły. Była też rozsądnym dzieckiem, Allen nie zapominał bowiem, jak bardzo była młoda, i tylko to go niepokoiło. Lecz Josui była również dzielna. Wyobraził sobie, jak podchodzi do jego matki z powabem szlachetnej dumy i niezachwianej potulności. Cóż, temu matka nie zdoła się oprzeć.

Skrył przed nią swe wątpliwości, które nie dotyczyły ani jej, ani jego, lecz życia, którego konwenanse łamali. Wystarczy, że są młodzi i silni. W tych czasach pękały wszelakie schematy. Amerykanie żenili się z Japonkami, które zabierali potem do swych domów – niektóre małżeństwa kończyły się dobrze, a niektóre źle, niemniej jednak nie istniał powód, dla którego im miałyby się nie udać, skoro starczało im odwagi. Nie chciał jednak jej tym wszystkim martwić. Miała dość problemów z własną rodziną i zaręczynami, które należało szybko zerwać. Nie potrafił znieść myśli, że jest przyobiecana innemu mężczyźnie.

– Jak mogłaś się zgodzić na ślub? – nagle zapytał.

– A cóż w tym osobliwego? W Japonii muszę kogoś poślubić. Allennie, ty mi się nie oświadczyłeś.

Naturalnie była to jego wina i nigdy nie powinien o tym zapominać.

– Kiedy będziemy mogli się pobrać? – spytał niespokojny.

– Ale jak to uczynić? – westchnęła. – Wpierw muszę pomówić z Koborim. On najlepiej wszystkiemu zaradzi.

– No dobrze – wstał. – Kochanie, przykro mi, że cię z tym zostawiam... ale muszę. Nie pojmuję tych kwestii tak jak ty.

Wtem poczuł zazdrość.

– Jesteś pewna, że nie wolisz poślubić tego swojego Japończyka? Miałabyś wówczas znacznie mniej problemów.

Położyła mu dłoń na ustach.

– Sza! Stwierdziłeś, że jestem Amerykanką, a skoro tak, to chcę poślubić Amerykanina. – Zerknęła na niego, drżąc z miłości. – To za ciebie chcę wyjść!

Ponownie rzucili się sobie w ramiona. Dawne, szalone pragnienie wdarło się do jego krwi, do jego bijącego serca. Poczul się poniekąd przygnębiony.

– Josui, nie pozwól, by to długo trwało. Od jutra zacznę przygotowania. Będę musiał opowiedzieć o tym pułkownikowi i poprosić go o pomoc. Może uda nam się obejść nieco biurokrację. Kochanie, spieszmy się. Twój ojciec... nie pozwól mu stawiać oporu.

– Och! – zawołała. – To nie będzie konieczne, jeśli Kobori się dowie.

– No dobrze. Muszę zdążyć na pociąg o siedemnastej. Nie wzięłam przepustki, nie mogę zniknąć na cały dzień.

– Allennie, pisz do mnie!

– Ukochana, ty również pisz. – – Niestety, nie piszę zbyt ładnie, ale dobrze, napiszę tak, jak potrafię. Rozdzielili się pełni obaw – ona, by ojciec nie krzyknął z domu, że zbyt długo to trwa, on zaś, by zdążyć na wieczorny pociąg. Połączyli się jeszcze w długim pocałunku, a potem kolejnym.

– Josui, zaczynasz całować jak prawdziwa Amerykanka.

– Och, a skąd wiesz, jak one całują?

– Głuptasie, każdy, kto chodzi do kina, to wie.

– Jednak tutaj nie całujemy się w obecności ludzi.

– A w Ameryce jest inaczej. Napisz do mnie dziś wieczorem, dyszysz, Josui?

– Postaram się, ale ty również napisz, Allennie.

– Tylko nie przejmuj się moją maszyną do pisania.

– Och, niee! – To jej „nie” było długie i ciche niczym westchnienie.

Rozstali się. Josui została sama i spojrzała na swe odbicie w sadzawce. Dlaczegoż w miłości musi być tyle smutku? Zbyt mocno go kochała – już lepiej by było, gdyby miłowała Koboriego, czym wszystkich by uszczęśliwiła. Gdyby nie stała przy obrośniętej wisterią altanie kiedy

maszerowali amerykańscy żołnierze, nie ujrzałyby Allena ani on nie ujrzałby jej i wszystko byłoby dobrze. Teraz jednak już nigdy tak nie będzie. Miłość, która napełniała ją tak niebywałym uniesieniem i bólem, zraniła również jej rodziców. A któż wie, co czeka ich w Wirginii? Ale ona będzie tak dobrą synową, że nie potrafią jej nienawidzić.

W końcu przysłała do domu zdumiona, że ojciec jej nie zawołał. Nigdzie go nie było. Po kilku minutach zobaczyła, jak matka wychodzi z wiecznie zasłoniętego parawanem pokoju, gdzie dokończył się i spał.

– Ojciec znów się źle czuje – powiedziała. – Za dużo dziś przeszedł. Nie rozmawiaj z nim dzisiaj, a jeśli już musisz, to tylko ze mną.

I tak stały niepewne, matka i córka. Jakże mogłabym zadać im jeszcze więcej bólu? – pomyślała Josui. Mimo to wiedziała, że musi. Miłość była straszną siłą napędową, zmuszała ją do największego okrucieństwa, którego, będąc najczulszym dzieckiem, nienawidziła. A teraz musiała zranić nawet matkę, która zawsze wypowiadała jedynie życzliwe słowa i która poświęciła rodzinie całe życie. Spojrzała na nią żałośnie oczyma pełnymi łez, lecz nie potrafiła nic powiedzieć.

Zatem pani Sakai rzekła za nią:

– Pragniesz poślubić tego Amerykanina, nieprawdaż?

– Tak, matko. Lecz, och, jakże tego żałuję! Żałuję, że kiedykolwiek go spotkałam. Wówczas mogłabym poślubić Koboriego i być szczęśliwa, nigdy bowiem nie zaznałabym niczego innego. Nauczyłabym się go miłować, tak jak ty ojca. Nie widziałaś go przed ślubem, prawda?

Matka nie uśmiechała się i wyraz jej cierplivej, nieurodziwej twarzy się nie zmieniał.

– To były inne czasy. Moje życie wyglądało zupełnie inaczej niż twoje. Ja po prostu posłusznie przyjąłem to, co przyniósł los.

– Lecz byłaś szczęśliwa! – zawołała Josui.

– Tak – odpowiedziała matka. – Ale szybko osiągnęłam to szczęście, nie oczekiwałam go bowiem w takich ilościach, w jakich go zaznałam.

Nadal stały, a Josui położyła jej dłoń na ramieniu.

– Matko, czy rozumiesz, że bardzo go miłuję i czynię jedynie to, co muszę?

Matka spojrzała na nią z osobliwym, niewymownym smutkiem.

– Jeszcze wczoraj bym nie zrozumiała, ale dzisiaj już potrafię. Odwróciła się od córki, a jej blade usta drżały.

– Och, matko, nie! – zawołała. – To było dawno temu. Ojciec o tym zapomniał.

– Nieprawda – odparła matka cichym, stłumionym głosem.

– Pamiętał jedynie przez swą zranioną dumę – przekonywała Josui. – Wiesz, jak bardzo jest dumny.

– Nie dlatego. Zraniono jego miłość. To z tego powodu chciał wyjechać z Ameryki. Tak... z powodu swej zranionej miłości. Miłował Amerykę, a kiedy go zaatakowała, tak jak... tak jak niegdyś uczyniła to również Amerykanka... To była dokładnie ta sama zraniona miłość,

zrodzona, kiedy był młody, i kwitnąca, dopóki ostatecznie nie wyjechał z kraju. Ameryka była jego ojczyzną.

– Och, matko – wyszeptwała Josui, nie wiedząc, jak ją pocieszyć.

– To naturalne, że miłujesz Amerykanina – przemawiała dalej pani Sakai – a zatem musisz go poślubić. Nie powinnaś wyjść za Koboriego. Musisz postąpić tak, jak ojciec nigdy nie mógł, i wrócić do Ameryki. To ja jestem częścią Japonii... tylko ja, a więc pomogę ci.

Po raz pierwszy w życiu te dwie kobiety przytuliły się, łkając.

Doktor Sakai wstał o poranku wyczerpany i ponury. Zona, którą zawsze uważał za prostą i posłuszną kobietę, okazała się w nocy zupełnie inną osobą. Wzięła stronę córki i bardzo niesprawiedliwie oświadczyła, że sam jest winien tamtej ucieczki. W nieco pokrętny sposób tłumaczyła, że ponieważ on nie mógł poślubić Amerykanki, którą miłował jako młody, niedoświadczony człowiek, Josui powinna teraz poślubić Amerykanina.

Spierali się w nocy przez kilka godzin.

– Hariko, mówię ci, jestem doprawdy szczęśliwy, że los uchronił mnie przed tym małżeństwem. Co by się ze mną stało, gdyby chcieli mnie wtrącić do obozu koncentracyjnego? Przypuszczam, że miałbym dzieci. Dokąd by poszły? Również do obozu? Zapewne miałbym trudności ze sprowadzeniem dzieci mieszanej krwi tu, do Japonii. Wiesz, co myślą tutaj o takich ludziach. Byłyby dziećmi bez ojczyzny, banitami. Cieszę się, że uwolniono mnie od tego szaleństwa, przed którym postaram się uratować również naszą córkę.

Zona powiedziała na to coś zupełnie niewytłumaczalnego:

– A ja ocalę Koboriego Matsuiego! Uratuję dobrego młodego Japończyka przed ślubem z kobietą, która miłuje Amerykanina! Josui nie zostanie jego żoną. Pójdę do niego i mu o tym powiem, jeśli ty tego nie uczynisz.

Nigdy nie przypuszczał, że ta spokojna istota, która żyła u jego boku przez tyle lat, skrywa w sobie takie pokłady buntu i determinacji. Nigdy nie widział jej w takim stanie, toteż zląkł się jej desperacji. Znał tę ponurą skłonność swego narodu, tę łatwą drogę od rozpaczki do samobójstwa, wszak pomost pomiędzy życiem a śmiercią był dla Japończyków szeroki i prosty, a podróż ta zbyt krótka na rozwianie wszelakich wątpliwości. Na swój uparty, instynktowny i nieoświecony sposób jego żona zupełnie nie pojęła wczoraj celu ujawnienia tajemnicy, ba, znalazła w nim całkowicie inny sens niż on, osobisty i kobiecy. Wiedział, że nie potrafi jej od tego odwieść. Całkiem możliwe, że sama pójdzie do pana Matsuiego bądź do Koboriego, a jeśli jej tego zakaze lub poweźmie środki, by temu zapobiec, na znak protestu odbierze sobie życie.

Toteż o poranku wstał z łóżka z jękiem i w głębi serca stwierdził, że jego jedyną nadzieją jest córka, która przynajmniej była osobą wykształconą.

Jednak nigdzie nie mógł jej znaleźć. Było późno, dochodziło południe, kiedy poczuł się na tyle dobrze, że wstał.

– Nie ma jej – powiedziała Yumi – już od dziesiątej.

Świadoma ostatnich zająć podała mu drugie śniadanie w złowróżbnej ciszy, a kiedy zapytał,

gdzie jest pani, odrzekła, że o poranku zajęła się robieniem świeżych zapasów *choyu*. Pani Sakai nie chciała kupować gotowego sosu sojowego, wolała postępować jak niegdyś na farmie, czyli kupować najlepszą soję i poddawać ją procesowi dojrzewania i fermentacji. Nie lubiła, jak przeszkadza się jej w tej czynności, on zaś nie zaznał w domu odpoczynku, toteż postanowił, że pójdzie do pracy.

– Czy młodsza pani powiedziała, dokąd idzie? – zapytał Yumi, kiedy przyniosła mu kapelusz i laskę.

– Poszła do szkoły po kilka książek.

To było kłamstwo – Josui wyszła i nikomu nie powiedziała, dokąd idzie. Jednakże patrząc w poślizką twarz swego pana, Yumi uznała to kłamstwo za wyraz życzliwości. Doktor Sakai opuścił dom, nie odezawszy się ani słowem.

W tym samym czasie Josui rozmawiała z Koborim. Niewiele spała tej nocy; leżąc cicho w łóżku, pozwalała, by nocne godziny upływały, a o poranku jej postanowienie skryształizowało się – im wcześniej z nim pomówi, tym lepiej. Nade wszystko chciała to uczynić przed następnym spotkaniem z ojcem, do którego pragnęła rzec: „Ojczy, to koniec. Kobori w żadnym wypadku nie chce mnie poślubić. Nie ma już odwrotu”.

Gdyby tak się stało, wówczas wysłałaby do Allena list z tymi samymi nowinami, jednakże ujętymi w inne słowa. Napisałaby, że jest gotowa, na co zapewne on by odpisał, dokąd ma się udać na spotkanie z nim.

Zasnęła, kiedy rozjaśniło się jej w głowie, a dusza się uspokoiła. Zbudziła się i wstała bardzo wcześnie. Umyła się i włożyła ciemnoniebieską jedwabną sukienkę, w której nie czuła się zbyt atrakcyjnie.

Gładko przyczesła włosy, nie musnęła policzków różem ani ust czerwienią, zjadła podany przez Yumi posiłek i nie zobaczywszy się z matką, wyszła z domu.

Znała codzienny rozkład zawodowych zajęć Koboriego od niego samego – wiedziała, że późno zjawia się w biurze, toteż poszła do parku i na chwilę siadła na ławce opodal małego jeziora. W klombach kwitło kilka pierwszych chryzantem, złote rybki pływały żwawo, a w powietrzu czuło się rześki chłód; upały nareszcie przeminęły. I tak siedząc spokojna w swym postanowieniu, poczuła ustający rozkwit, osuwającą się ziemię i zapadanie w sen. W istocie rzeczy jakaś część jej życia również się zakończyła, jej pierwsza młodość, wiek dziewczęcy, wybrała bowiem los kobiety. Gdyby miała nieśmiałość bądź lękliwe usposobienie, mogłaby się obawiać obecnej samotności, lecz nie była ani nieśmiała, ani lękliwa. Czuła w sobie ogromną siłę, zdolność poradzenia sobie ze wszystkim, co miało nadejść. Tę zdolność dała jej również wrodzona odwaga i wiara nie tylko w siebie, lecz w każdą osobę, której postanowiła zaufać, Allenowi ufała zaś w pełni. Świat zmieniał się i razem mogli uporać się ze wszystkim, co ich czekało.

Tuż przed południem ruszyła w kierunku głównej ulicy miasta do wysokiego nowoczesnego budynku, w którym znajdowały się biura Matsuego. Winda zawiozła ją na piąte piętro i

otworzyła się wprost na wejście do firmy Matsui. Już po chwili podszedł do niej młody Japończyk w zachodnim garniturze.

– Czym mogę służyć? – zapytał po angielsku, a ona odrzekła w tym samym języku:

– Proszę powiedzieć panu Koboriemu Matsuiemu, że panna Sakai chciałaby z nim pomówić przez kilka minut.

Wątpliwe, by wpuszczono ją tak szybko, gdyby odpowiedziała po japońsku. Urzędnik natychmiast ją zostawił, po czym ujrzała Koboriego, który wyglądał bardzo schludnie i przyjemnie w zachodnim garniturze z szarej flaneli. Zachował się wobec niej serdecznie i gościnnie, choć dość powściągliwie. Ukłonili się sobie, nie dotykając dłoni.

– Wejdz, proszę.

– Widzę, że jesteś bardzo zajęty – rzekła po japońsku.

– Nigdy nie jestem bardzo zajęty – powiedział z lekkim uśmiechem. – Wezwać sekretarkę?

Rzekł tak, gdyż nie wiedział, czy chce, by ktoś zobaczył, jak wchodzi we dwoje do jego biura.

– Proszę, nie.

Poprowadził ją do gabinetu i zostawił nieco uchylone drzwi.

– Siądź, proszę. – Przysunął jej wygodne zachodnie krzesło. W tym dużym, wypełnionym solidnymi meblami pomieszczeniu były białe ściany, nagie z wyjątkiem dwóch pięknych wolut za biurkiem.

Kobori nie siadł za nim, tylko zajął drugie krzesło. Siedzieli naprzeciw siebie, jak gdyby byli w którymś z japońskich bądź zachodnich salonów w domu Matsuich. Poczowała głęboki smutek, że przybywa w tak okrutnym celu. Ten wysoki, życzliwy mężczyzna miał promienne brązowe oczy oraz gładką, bladą, owalną i uśmiechniętą twarz. Widziała, że jej ufa, że jest z ich związku zadowolony, że całkowicie wierzy we własne szczęście. Z łatwością można było dostrzec, że ten ukochany syn zamożnego człowieka i spadkobierca wszystkiego, co posiadał jego ojciec, nigdy nie zaznał rozczarowania ani cierpienia. Jakże dobra mogłaby być jego miłość, gdyby nigdy nie spotkała Allena!

Poczęła sobie czynić wyrzuty. Nigdy nie byłoby dobrze! Pełnią życia była miłość, której nigdy by nie zaznała, gdyby poślubiła Koboriego.

Pochyliła się, ściskając w dłoniach skórzaną torebkę.

– Kobori, przybywam z czymś osobliwym i okrutnym, o czym trudno mi mówić.

Siedział w bezruchu.

– Josui, nie musisz się mnie lękać. Postanowiła zadać cios.

– Kobori, nie mogę cię poślubić.

Spojrzał na nią i w dalszym ciągu nieruchomy czekał. – Och – pomyślała – zbyt bardzo to przeżyje!

– Biorę winę na siebie – rzekła prędko. – Nigdy nie powinnam była się zgodzić. To moja wina. Wiedziałam, co skrywa moje serce, lecz myślałam, że to umarło, i zupełnie tego nie

oczekiwałam ani nie pragnęłam, gdy wtem ożyło.

Przemówił ostrożnie, a nawet oschle.

– Czy mogłabyś wyrazić się jaśniej? Spojrzała na torebkę.

– Wiosną poznałam pewnego Amerykanina i niebawem odkryliśmy, że się miłujemy, lecz odrzuciliśmy naszą miłość, a on odszedł. Myślałam, że będę potrafiła zapomnieć o tym uczuciu, aż do wczoraj, kiedy wrócił. Musiał to uczynić. Teraz wiemy, że nie potrafimy zapomnieć. To byłoby niesprawiedliwe, gdybym nie powiedziała ci prawdy.

Kobori zwilżył blade wargi.

– Dziękuję ci, że to uczyniłaś.

Czekała na ciąg dalszy, nie patrząc na niego, kiedy tak zwlekał. Wydawało się, że nie ma już nic więcej do powiedzenia.

– Co myślą o tym twoi rodzice? – zapytał w końcu.

– Nie popierają tego, lecz matka czuje to co ja... że muszę tak postąpić. Ojciec jest rozgniewany i nie wychodzi z żadnymi konstruktywnymi propozycjami. Jak wiesz, nienawidzi Ameryki, więc nie może znieść tego, że tam wrócę.

– Ale ty miłujesz Amerykę – powiedział zadumany. – Zawsze o tym wiedziałem. Zamierzałem zabrać cię tam kiedyś na wakacje. Prowadzimy interesy z amerykańskimi firmami i będziemy ich robić jeszcze więcej, kiedy skończy się okupacja. Zamierzałem spędzić z tobą w Kalifornii kilka miesięcy. – Nagle pochylił się i skrył twarz w dłoniach.

– Jest mi bardzo przykro, naprawdę przykro – wyszeptała.

– Wiem – rzekł, nie odsłaniając twarzy. – Cóż, nie można na to nic poradzić. Przychodząc tu i mówiąc mi o tym osobiście, dowiodłaś, że masz honor. Będę musiał to wszystko sobie przemyśleć.

– Żywię nadzieję, że znajdziesz sobie kogoś – powiedziała, po czym uświadomiła sobie, jak bardzo to było niemądre.

– Nie chcę o tym myśleć. – Opuścił dłonie, a jej ulżyło, że nie płacze. Wpatrywał się w nią smutnymi, pełnymi miłości oczyma. – Josui, jak sądzę, nie spotkamy się już sam na sam... ?

– Myślę, że nie ma takiej potrzeby. Łatwiej nam będzie, jeśli przestaniemy się spotykać.

– Zatem pragnę coś powiedzieć, jeśli pozwolisz.

– Jakże mogłabym ci tego zabronić.

Była świadoma, że niebawem zrobi jej się lżej na sercu, i nie mogła się doczekać, kiedy stamtąd wyjdzie, lecz musiała zostać, by przynajmniej wysłuchać, cóż takiego Kobori chce rzec.

Opierając łokcie na kolanach, pochylił się, by jeszcze lepiej jej się przyjrzeć.

– Josui, powiem krótko... Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebowała z najmniejszego choćby powodu, daj mi znać. Nie pozwól, by powstrzymała cię duma. To wszystko.

– Och, Kobori – zawołała. – Będę bardzo szczęśliwa, toteż nie spodziewam się takiej potrzeby, ale ileż w tobie dobroci!

Usiłował się uśmiechnąć.

– Nie zamykaj sobie drogi, to jedyne, o co proszę. ? : Wstała zniecierpliwiona, gdyż miała ochotę uciec. *.

– Kobori, obiecuję ci to. – Użyła nieodpowiedniego słowa, co uświadomiła sobie tuż po tym, kiedy je wypowiedziała. „Obiecuję”! Wszak nie dotrzymała danej mu obietnicy. Wyciągnęła rękę i po raz pierwszy poczuła uścisk jego dużej, ciepłej i delikatnej dłoni, która całkowicie skryła jej niezwykle drobną, lecz silną rączkę.

Wydawał się wstrząśnięty, a jego oczy nagle zalśniły od łez, jednak uśmiechnął się i ukłonili się sobie. I tak oto było po wszystkim.

Po jej wyjściu siedział przez jakiś czas w dużym wyściełanym fotelu i pozwolił, by katastrofa spłynęła po nim niby wielka fala. Dawno temu, kiedy był małym chłopcem, ojciec nauczył go radzić sobie z morzem. Mieszkali wówczas w domu na wybrzeżu Kiusiu i latem większość czasu spędzał w wodzie. Wcześniej nauczył się pływać, ale to ojciec nauczył go pływać bez wysiłku.

– Nie pokonasz morza – powiedział. – Jest nieskończone niczym wieczność, niezmiennie niby los. W porównaniu z nim człowiek jest mniejszy od małej rybki. Nie walcz z morzem. Nie szamocz się z falami. Podążaj z nimi. Kiedy nadchodzi przypyływ, poddaj się jego sile. Fale cię poniosą, morze samo cię podtrzyma.

Myślał teraz o tych słowach do głębi poruszony tym, co właśnie usłyszał. Całkowicie zaufał pewności, z jaką miłował Josui. Nigdy nie kochał żadnej innej kobiety. Jak większość mężczyzn chadzał do domów uciech, uczestniczył w wydawanych tam ucztach, śmiał się ze ślicznymi dziewczętami i słuchał muzyki. Ale nie chciał za żonę żadnej kobiety prócz Josui, a ona nigdy nią nie zostanie. Ta myśl była tak potworna, że przez chwilę zakręciło mu się w głowie, jak gdyby ubywało mu pod stopami piasku, jak gdyby o jego głowę rozbijała się fala. Zamknął powieki i oparł się o poduszkę fotela, po czym pozostał w tej całkowitej bierności i pozwolił, by ból wirował wokół niego. Tak musi być... tak musi być!

Po niemal godzinie otworzył oczy i wstał. Nalał sobie małą czarbkę gorącej herbaty ze stojącego na podstawce przy biurku dzbanka i zaczął ją powoli saczyć. Czuł się zmęczony i zziębnięty, jak gdyby naprawdę pływał w morzu. Nie mógł się otrząsnąć z tego uczucia.

Kiedy jednak upłynęło kolejne pół godziny, przycisnął zainstalowany na biurku dzwonek i od razu zjawiała się sekretarka, której zaczął dyktować poranne listy. Pomyślał, że wieczorem, jak tylko wróci do domu, musi opowiedzieć o wszystkim ojcu. Natychmiast trzeba wstrzymać przygotowania do ślubu i odwołać zaproszenia, choć już za późno było na to, by zwrócić jubilerowi prezent, który kupił dla Josui – biżuterię z prawdziwych różowych pereł, poławianych u wybrzeży Indii.

– Powiedziałam Koboriemu – oznajmiła Josui.

Pomimo że ojciec wrócił dopiero po północy, czekała na niego. Pani Sakai wiedziała już o wszystkim. Pochowały stroje na ślub, które już nigdy się nie przydadzą. Josui nie wiedziała, co czuje matka. Nie pozwoliła córce niczego dotknąć, tylko starannie złożyła drogocenne ubrania i włożyła je do schowka w kufrach z drzewa kamforowego. Cały wieczór poświęciły na tę

czynność, a matka nie zadała ani jednego pytania, nawet o to, co powiedział Kobori – o nic nie zapytała.

– Jest bardzo późno – rzekł ojciec, kiedy poprosiła, by ją wysłuchał.

– Nie zasnę, dopóki ci nie opowiem, co uczyniłam – upierała się. Toteż skrył rozpacz i znużenie i siadł, a ona stojąc, oświadczyła, że zdecydowana jest poślubić Amerykanina.

– Nie wiem, jak powiedzieć to memu przyjacielowi, Takashiemu Matsuiemu, ani jak on powie o tym Koboriemu.

– Kobori wie o tym ode mnie.

– Od ciebie? – ojciec zapytał gwałtownie, nie dowierzając. – Jak mogłaś postąpić tak zuchwale? Spójrz, jak bardzo się zmieniłaś!

– Jest tak dobry, że chciałam mu powiedzieć – rzekła i pochyliła głowę.

– Jest tak dobry... jest tak dobry! – Ojciec przedrzeźniał ją. – Wygląda na to, że nie dość dobry, by go poślubić.

– Dość dobry – zaprzeczyła odważnie. – Ja jednak miłuję innego mężczyznę i Kobori to rozumie.

– To nie zmyje z nas hańby – oświadczył ojciec.

Siedział pośepny i marszczył brwi. Widziała, że jest wyczerpany. Miał przystojną, bladą niczym płótno twarz i duże zapadnięte oczy. Gwałtownie klasnął w dłonie trzy razy.

– Ten Amerykanin nigdy cię nie poślubi!

– Poślubi! – zawołała.

– Jakże to uczyni? W Ameryce robi się to w kościele. Ślub cywilny nie wystarczy. Uznają, że to za mało. I co z ucztą i gośćmi? Któż będzie świadkami?

– Nie chcę ani uczyty, ani gości. Ojczy, a co z naszą religią? My nie mamy kościołów.

– Jestem buddystą – oświadczył. – Amerykanie mają swoich bogów i kapłanów, my zaś swoich. Ceremonia musiałaby się odbyć w świątyni buddyjskiej w obecności naszych bogów i naszych kapłanów.

– Jestem pewna, że mój... że on się na to chętnie zgodzi, pragnie bowiem zrobić to, czego sobie tylko zażyczysz.

– Prócz zostawienia cię w mym domu – gorzko odpowiedział ojciec. – Tego nie uczyni. Zakradł się do nas, skradł mój skarb i nie chce mi go oddać. Czegóż jeszcze sobie życzę... ?

Coraz niżej pochylała głowę, lecz nie ujrzała na jej twarzy żadnej oznaki uległości, a jej pełna czerwona dolna warga nie drżała. Nagle ustąpił – wstał gwałtownie i odsunął ją na bok gestem, który przypominał raczej cios.

– Czyń, jak chcesz – powiedział szorstko. – Jedź do Ameryki, lecz nie wracaj do mnie, kiedy cię wyrzucą, jak niegdyś nas wszystkich.

Uniosła głowę dumna i rozgniewana jak on.

– Ojczy, obiecuję, że nie wrócę!

W Tokio Allen udał się do biura pułkownika, by pomówić z nim w cztery oczy. Na biurku

leżały sterty papierów, na które pułkownik spoglądał dyskretnie od czasu do czasu, wyobrażając sobie, że robią się coraz cięższe i ku jego rozpaczy coraz bardziej się piętrzą, a Allen Kennedy przemawiał.

– Oczywiście to pana prywatna sprawa – niechętnie rzekł pułkownik. – Przyznam, że podziwiałem pana. Ma pan coś więcej niż tylko zwykły wojskowy umysł. Wojskowy umysł jest w porządku, ale najlepsi żołnierze mają coś więcej. Moim zdaniem, mógłby pan dojść do pięciu gwiazdek, gdyby pan tylko chciał. Naturalnie nie dostanie pan tej szansy, jeśli poślubi pan Japonkę. A to, jaką ma się żonę, jest bardzo istotne, jeśli chce się w tym zawodzie do czegoś dojść.

– Wiem, ma pan rację – powiedział Allen Kennedy. Na przykład Cynthia byłaby na swój sposób idealną żoną: piękna wysoka blondynka, taktowna, życzliwa, prostoduszna i niegłupia. Lecz cóż, to nie ją miłował.

– Nie może pan jakoś lawirować? – upierał się pułkownik. – Japończycy nie traktują tych kwestii tak jak my. Tutejsi mężczyźni bezustannie lawirują, a dziewczęta nie oczekują od nich oświadczeń. Japończycy żenią się z możliwie najlepszymi partiami i nie myślą o miłości. Miłość to zgoła coś innego.

Pułkownik był wykształconym człowiekiem. Wiedział, że seksem zawsze rządzi jedno i to samo instynktowne pożądanie, a pomimo to istniało tyle sposobów jego zaspokojenia, ilu ludzi. Subtelna i nieco za delikatna, przystojna twarz siedzącego naprzeciw niego młodego mężczyzny o niezwykle stanowczych błękitnych oczach wskazywała na bardziej złożoną naturę niż ta, jaką miał pierwszy lepszy żołnierz z ulicy. Być może plonie w nim pożądanie, ale zaspokoi je jedynie dzięki magii romantycznej wyobraźni. To nie była tylko samcza potrzeba, choć niebywale wyraźna i wplątana w umysł i duszę, dlatego o wiele trudniej było ją zaspokoić.

– Myślę – niechętnie rzekł Allen – że lepiej bym wyszedł, gdybym był typem, który „lawiruje”, jak to pan zwie. Niestety... nie potrafię...

Pułkownik skinął głową.

– Cóż, mężczyźni są różni. Proszę dać mi kilka dni na przemyślenie sprawy.

Allen natychmiast wstał świadom, że był to rozkaz, by wyszedł.

– Czy...

– Poślę po pana, kiedy podejmę decyzję – powiedział pułkownik i już sortował dokumenty.

– Proszę pana, jest jeszcze jedna kwestia. – Allen nie ustępował. – My już podjęliśmy decyzję. Nie chodzi o to, czy ja tego chcę, czy nie, tylko o to, jak zrobić to, co musimy. Krótko mówiąc, co czyni Amerykanin, kiedy chce poślubić Japonkę z dobrej rodziny? Jedynie o to pytam, proszę pana.

Pułkownik wybuchnął gniewem.

– Proszę zostawić to mnie, dobrze, panie Kennedy? Nie mogę patrzeć na to, jak mój najlepszy oficer decyduje się na taki krok bez zastanowienia. Nie potrafię teraz myśleć... proszę na to spojrzeć! – Machnął garścią dokumentów.

– Tak jest, panie pułkowniku – powiedział Allen i odmaszerował. Tak naprawdę pułkownik chciał pójść do domu i pomówić z żoną, o czym nie mógł wiedzieć ten nieżonaty mężczyzna. Jak tylko Allen wyszedł, pułkownik przestał udawać, że pracuje. Rozmyślając, wypalił kilka papierosów, po czym zatelefonował do żony.

– Zupełnie nic nie robię – usłyszał.

– Myślałem, że miałaś dziś pograć w brydża...

– Dopiero jutro – przypomniała.

– Och. Cóż, myślę, że wrócę wcześniej, by zjeść z tobą lunch. Właśnie otrzymałem przykre wieści.

Wyszedł z biura i pożałował, że nie zabrał dziś rano palta. Powietrze było nieskazitelnie czyste, a na ulicach pojawili się pierwsi sprzedawcy chryzantem. Nigdy nie widział takich kwiatów – były nawet większe od dużych żółtych pomponów, które zwykł kupować Ednie na mecze futbolu amerykańskiego w New Haven. Jako żona oficera odniosła prawdziwy sukces. Zawsze wiedziała, co jest słuszne, i tak postępowała. Nie traktowała mniej znaczących żon protekcyjnie, te ważniejsze zaś traktowała lepiej, ale bez przesady. Miała poczucie humoru, lecz – dzięki Bogu – również w umiarkowanych ilościach. Poważnie podchodziła do życia wojskowego, co było jej obowiązkiem jako żony pułkownika.

Miło z jej strony, że czekała na niego w domu, odziana w orzechowy wełniany kostium, który sprawiał wrażenie ciepłego, lecz nic ciężkiego. Miała brązowe oczy i kasztanowe włosy, które – jak podejrzewał – farbowała, by ukryć siwiznę, jednakże za nic by się nie wtrącił w jej małe tajemnice. W żadnym wypadku nie była pruderyjna. Rozumiała mężczyzn. Niemniej jednak nie lubiła ubierać się w czyjejś obecności, a on nauczył się, że nie jest mile widziany, kiedy żona doprowadza się do porządku, jak to zwał. Teraz uśmiechał się do niej.

– Ładnie wyglądasz. To coś nowego?

– Wielkie nieba, nie... ma co najmniej dziesięć lat. Nie pamiętasz, jak go kupiłam w Londynie, kiedy tam stacjonowałaś?

– Nigdy nie wiem, co kupujesz – zripostował. – Czy lunch jest gotowy?

– Na wszelki wypadek zrobiłam koktajle.

– Dobrze.

Siedli przy koktajlach w dużym słonecznym salonie w domu, który zarekwirowano japońskiemu milionerowi, i pułkownik przekazał żonie niepomyślne nowiny.

– Kennedy uwikłał się w związek z Japonką z wyższych sfer – rzekł gwałtownie. – Chce ją poślubić.

– Och, Robercie! – zawołała żona z wyrzutem, jak gdyby on mógł temu zaradzić.

– Wiem, lecz cóż możemy począć? Powiedziałem mu wszystko, co o tym myślę.

– A nie może potraktować tego jako coś tymczasowego?

– Właśnie to zasugerowałem.

– I?

Pułkownik mlasnął cicho nad koktajlem i maleńką serwetką wytarł przyszczyżone wąsy.

– Co jeszcze? – domagała się wyjaśnień.

– Jest za dobrze wychowany – rzekł pułkownik – jeśli wiesz, co mam na myśli. Nie potrafi osiąść kobiety, a potem jej zostawić. Nie podobają mu się dziewczęta, z którymi może to zrobić. Interesują go jedynie te, które oczekują, że nie zostaną w ten sposób potraktowane.

– Och, jaki on romantyczny – zawołała.

– Być może – przyznał pułkownik. – Zwij to sobie jak chcesz! Poznałem mężczyzn, którzy nie potrafią przeżyć aktu, dopóki nie jest romantycznie. To uciążliwe, delikatnie mówiąc, nierealne. Na takich nie można liczyć. Wolałbym mieć faceta, który stoi w kolejce z kilkoma dolarami, szybko załatwia sprawę i wnet wraca do pracy.

Żona pułkownika była zdumiewająco spokojną kobietą. Mógł jej mówić takie rzeczy, a ona się nie oburzała. Wiedziała, o co chodzi. Była świadoma, jacy są mężczyźni, toteż nie zachwycała się nimi i nie wygłaszała mu pogadanek.

– Robercie, nie pij więcej niż dwa – ostrzegła, kiedy ponownie napełnił sobie szklanekę. – Wiesz, jak to na ciebie działa w południe.

– Wiem, cholera – powiedział pośpiesznie. Jego żona przyrządziła dobry pobudzający napój, cierpki i kwaskowy, nie znosił bowiem słodkich smaków. – No więc?

– Myślę. – Piła bardzo mało, ale nigdy nie odmawiała wypicia z nim dla towarzystwa. Zawsze była uległa, lecz nieczęsto rozentuzjasmowana. Była zbyt rozsądna na entuzjazm.

– Wiem! – rzekła po kilku minutach. – Załatw mu urlop.

– Teraz? – spytał ostro. – Kiedy wisi nad nami Korea?

– Odeślij go do domu, niech zazna rodzinnej atmosfery. Mieszka w Wirginii, nieprawdaż? Pamiętasz, jak pokazywał nam fotografie dużego białego domu z filarami? Szybko go tam odeślij. Bob, użyj swych wpływów! Znajdzie sobie w mieście rodzinnym dziewczynę, dzięki której zapomni. Przypuszczam, że to jedynie kwestia wstrzemięźliwości, a nie sumienia!

Jej brązowe oczy roziskrzyły się, po czym oboje się roześmiali. Od czasu do czasu lubili sobie razem sprośnie pożartować, bo i tak każde wiedziało, że to drugie jest w głębi duszy przyzwoite.

– Bystra dziewczynka – powiedział czule. Rozgrzał go alkohol i roztańczone w dużym pokoju promienie słoneczne, przez co miał dobry nastrój, poczucie bezpieczeństwa i świadomość, że jego życie jest lepsze od tego, które wiedli inni. Wyciągnął rękę, przygarnął ją do siebie za szyję i z całą mocą pocałował. – Najlepsza dziewczynka na świecie – wymamrotał prosto w jej uległe usta.

Kobori nie wrócił do domu wcześniej, pomimo że był potwornie zmęczony. Miał w sobie dużo delikatności, lecz był zdrowym i silnym mężczyzną, który nigdy nie męczył się fizycznie, za to szybko ogarniało go psychiczne znużenie. Gdyby był religijny, uważałby, że aurę szczęścia i ukontentowania trzeba zachować za wszelką cenę. Uznał to za synowski obowiązek, wszak był jedynym ocalałym dzieckiem, jakie pozostało jego rodzicom. Podziwiał ojca bardziej niż

jakiegokolwiek człowieka, wiedział bowiem, że wiele poświęcił dla zasad. Niemal sam w obliczu wojny pomiędzy japońskimi książętami handlu oświadczył, że kontrolujący rząd militaryści prowadzą złą politykę.

– Prawdopodobnie nie będziemy potrafili siłą utrzymać imperium – oświadczył Takashi Matsui, kiedy wezwano go przed komisję Zgromadzenia Narodowego.

– Anglii się to udało – zauważył generał.

– Ale to była inna epoka – przypomniał mu pan Matsui. – Indie sprzed trzystu lat to coś innego niż dzisiejsze Chiny. Chińczycy nie podporządkują się Japonii. Nigdy nie byli podległym narodem.

– Jeśli nie będziemy kontynuowali polityki budowania imperium – upierał się generał – sami popadniemy w kolonializm. Proszę nie myśleć, że Zachód zarzucił ideę imperium. Stany Zjednoczone zdobywają teraz władzę. Amerykanie o nim marzą.

– Oni marzą o handlu – stanowczo rzekł pan Matsui.

– Handlu... handlu! – prychnął generał. – Każde imperium się od niego zaczyna. Anglicy udali się do Indii, by prowadzić handel, lecz po trzystu latach skończyło się na imperium. Jeśli my nie zajmiemy Azji, uczynią to Amerykanie.

– Proszę pana, musi pan pamiętać, że dziś istnieje również Rosja – powiedział łagodnie pan Matsui. – Należy się jej lękać bardziej niż Ameryki.

Generał odrzekł tak głośno, że jego słowa rozbrzmiały po całym holu:

– Proszę sobie wyobrazić, że zajmiemy ją za jednym zamachem!

Takashi Matsui nie popadł w zupełną niełaskę, był na to zbyt zamożny i pochodził ze zbyt starej i czcigodnej rodziny. Z rozsądku poszedł na emeryturę, interesy państwa Matsuiich ignorowano i zaczęły się one na nowo rozwijać dopiero od okupacji. Tymczasem umarł ich starszy syn, a drugi zaginął w Rosji. Kiedy Kabori dostrzegł głęboki smutek rodziców, usiłował ich pocieszyć i odkrył, że najlepszym sposobem jest bezustanne sprawianie wrażenia szczęśliwego. Dlatego nigdy nie okazał im żadnego niezadowolenia, a ta surowa samodyscyplina przemieniła go w opanowanego i zahartowanego człowieka.

Kiedy szedł do domu, zgodnie ze swoim zwyczajem wpierw pomyślał o ojcu. Jak opowiedzieć mu o ciosie, który dzisiaj go dosięgnął!, i jak go zapewnić, że nie był on wcale druzgoczący. Matka myślała tak jak ojciec. Była staroświecką japońską żoną od tak dawna i tak doskonale podporządkowaną, że teraz wydawała się jedynie jego cieniem, odbiciem, nie zaś samodzielną istotą.

W ten bezchmurny, chłodny wieczór ulice usiane były koszami chryzantem. Przechodząc obok nich, spojrzął, czy są jakieś odmiany, których nie ma ojciec, i zobaczył kwiat o bardzo bladych perłoworóżowych spiczastych płatkach okalających żółty niby złoto środek. Zatrzymał się i kupił go, a sprzedawca owinał donicę w kawałek starej gazety. Kabori niósł ją ostrożnie przez tę krótką drogę do bramy – przed okupacją nikt by nie zrobił czegoś takiego, lecz teraz w czasach demokracji była to rzecz naturalna. Lubił tę wygodną wolność.

Pomyślał, że zrobi ojcu przyjemność, obdarowując go nową chryzantemą. To byłby wstęp, po którym natychmiast bądź też później mógłby przekazać złe wieści. Zobaczy, co przyniesie chwila. Miał nadzieję, że okazja do zwierzeń nadejdzie niebawem. Kiedy ojciec się dowie, łatwiej będzie Koboriemu się kontrolować, gdyż będzie się czuł zobowiązany do zapewnienia go, że nie dba o to tak bardzo, jak się tego obawiał, i że na pewno nie chce za żonę niechętniej mu kobiety.

Ojciec, jak zwykle wieczorem, spacerował po ogrodzie i jak większość miłośników ogrodów nie potrafił cieszyć się jego doskonałością tak, jakby sobie tego życzył. Jego nadgorliwe oko zawsze dostrzegało jakąś niedoskonałość, tak maleńką, że przybysz nigdy by jej nie zauważył.

Kobori zobaczył ojca z zaciśniętymi ustami pośród eleganckich klombów chryzantem – stał nad wspaniałym krzewem czerwonych i złotych kwiatów.

– Kobori! – zawołał pan Matsui. – Chyba nie są tak piękne jak w zeszłym roku!

Syn się uklonił.

– Już sprawdzam, ojcze, lecz powiedz wpierw, czy mamy tę różową odmianę ze spiczastymi płatkami? Chyba takiej nie widziałem.

Pan Matsui z utęsknieniem wyciągnął ręce, których widok przeraził Koboriego – widać było na nich każdą kość. Wpatrywał się w tę ukochaną, wychudzoną twarz. Ojciec bardzo zeszczupłał! Jak zwykle odziany był w japoński odsłaniający szyję strój, toteż syn dostrzegł wgłębione obojczyki i zapadnięte skronie. Kobori znacznie przewyższał wzrostem ojca, który nigdy nie był tak barczysty i silny jak on. Odczuwał sympatię do tego starzejącego się człowieka i niemal przejął rolę rodzica, co go bardzo rozbawiło.

– Nie masz takiej? Zatem znalazłem dla ciebie nową chryzantemę! Śniada, sucha twarz ojca się zmarszczyła.

– Nie uwierzyłbym w to. – Ich ogród sływał z chryzantem. Pochylili się nad nowym kwiatem, zaabsorbowani jego delikatnym pięknem.

– Gdzie ją postawimy? – niecierpliwie zapytał pan Matsui. – Z pewnością nie przy tych czerwonych i złotych. Spodoba się matce. Jest taka jak ona. Postawię ją tutaj, gdzie będzie ją widziała z okna.

Ostrożnie postawił roślinę i otrzepał dłonie, by strząsnąć z nich pył. Widok był tak przyjemny, a powietrze tak rozkoszne, że Kobori skwapliwie skorzystał z dogodnej chwili.

– Ojcze, cieszę się, że znalazłem dla ciebie tę chryzantemę, gdyż dzięki temu łatwiej mi będzie opowiedzieć ci o czymś niezbyt przyjemnym. Ślub się nie odbędzie.

– Co proszę? – Ojciec odwrócił się do syna gwałtownie.

– Panna Sakai zrezygnowała ze ślubu – rzekł Kobori spokojnie. Pan Matsui zamrugał i zaniemówił na chwilę, a Kobori skwapliwie to wykorzystał.

– Ojcze, nie powinieneś się tym niepokoić – powiedział łagodnie. – Poniekąd przeczuwałem, że nigdy do niego nie dojdzie. Myślę, że doktor Sakai przekonywał córkę wbrew jej oporom, wszak wiesz, jak jest ci oddany i jak cię podziwia. Bardzo się z tego powodu nacierpi, toteż

musimy pomyśleć, jak mu pomóc. Doprawdy dobrze się stało, że panna Sakai dała mi znać w samą porę.

– Czy ona osobiście... – wyjąkał pan Matsui.

– Tak. Wiesz, że swym zachowaniem bardzo przypomina Amerykankę. Przyszła do mojego biura i wyznała swe uczucia: woli poślubić Amerykanina.

– To jest takowy? – zapytał pan Matsui.

– Na to wygląda – powiedział Kobori. – Dlatego jestem pewien, że w tych okolicznościach tak będzie najlepiej.

Pan Matsui na tyle doszedł do siebie, że się rozgniewał.

– Z pewnością najlepiej, z pewnością tak! Ta młoda kobieta nigdy by nie pasowała do naszej starej rodziny. Lecz mój synu, cóż będzie z tobą?

Kobori się uśmiechnął.

– Przecie sam widzisz. Jestem całkiem szczęśliwy!

Pan Matsui wyciągnął ręce i uściśnął ramię syna. Czuł, jak gdyby dodawał mu otuchy, czuł przez rękaw flanelowego płaszcza jego siłę i miękkość.

– Synu mój, jakże to musiało być dla ciebie żenujące, że przyszła do ciebie osobiście.

– Bynajmniej – rzucił Kobori beztrąsko. – Raczej lubiłem jej szczerość. To było coś nowego. To inteligentna młoda kobieta. Sądzę, że w Ameryce będzie szczęśliwsza niż tu, w końcu pierwsze piętnaście lat życia spędziła w Kalifornii. Uważam, że po tym wszystkim nie potrafiłaby tak naprawdę być Japonką. Musimy myśleć jedynie o jej ojcu, tym cudownym człowieku. Myślę, że bardzo cierpi, gdyż stracił jedną ojczyznę, a w drugiej nie potrafi żyć.

Powoli szli pod rękę w kierunku domu.

– Jak powiedzieć o tym matce? – wymamrotał pan Matsui.

– Nie mówmy jej teraz – zaproponował Kobori. – Po prostu zjedźmy kolację. Być może sam jej powiesz wieczorem, kiedy udacie się na spoczynek, a jutro postanowimy coś w kwestii spotkania z doktorem Sakaim. Może nie powinno się to stać zbyt wcześnie. Musi mieć czas na uspokojenie się i odzyskanie dobrego nastroju. Powinniśmy czekać, by móc stosownie zareagować.

Pan Matsui wsparł się na ramieniu Koboriego.

– Synu mój, myślę jedynie o tobie i o ile nie stanie ci się żadna krzywda...

– Nie stanie mi się żadna krzywda – zapewnił Kobori i uśmiechnął się, patrząc w twarz ojca.

Jego brązowe oczy były tak przejrzyste, a głęboka barwa łagodnego głosu tak pełna otuchy, że pan Matsui mu uwierzył.

– A zatem, mój chłopcze – powiedział pułkownik – w przyszły czwartek niech pan weźmie wolne i pojedzie do domu. Może pan tam pobycć tyle, ile tylko zechce, naturalnie w granicach rozsądku.

Allen uśmiechnął się do przełożonego.

– Panie pułkowniku, proszę nie myśleć, że dam się nabrać. Pułkownik podpisywał

dokumenty i nawet na niego nie spojrział.

Był pełen werwy, sprawnie działał tego poranka i wierzył w siebie.

– Kto chce tu kogoś nabrać? I kogo? – zripostował. – Nie dbam o to, czy pan się nabierze, czy też nie. Chcę, by pojechał pan do domu i przemyślał sprawę. Proszę wrócić do rodzinnej atmosfery, spotkać się z rodziną i popatrzeć sobie na dziewczęta.

– Proszę pana, ale to nic nie zmieni.

– A może jednak – nie ustępował pułkownik. – Jeśli nie, to proszę tu nie wracać.

Słowa te dodał w nagłym przypływie gniewu spowodowanego uporem tego przystojnego młodego oficera. Dużo w niego zainwestował: czas, rady, sympatię... Rozgniewał się, gdyż to wszystko mogło pójść teraz na marne przez jakąś Japonkę. – Zapewne jest wytworną kobietą – pomyślał – lecz czy nie ma już wytwornych Amerykanek? – Nie pochwalał mieszania się ras. Już teraz żyły tysiące amerykańsko-japońskich i amerykańsko-chińskich dzieci, tak jak i setki tysięcy angielsko-hinduskich dzieci w Indiach. To przekłety skutek wojny, z którym nawet Pentagon nie potrafił sobie poradzić. Podczas gdy usiłował zachować Amerykę dla Amerykanów, ludzie sami podważali całą tę ideę. Nawet Kennedy! Pułkownik potrafił zrozumieć požądanie przebywających w obcym kraju mężczyzn, ale nie zawieranie małżeństwa!

– Dziękuję panu – oficjalnie powiedział Allen.

– Och, jeszcze pan tu wróci – warknął pułkownik.

Trzy dni! Cóż mógł uczynić w trzy dni? Szalał ze złości z powodu pułapki, którą zastawił na niego pułkownik i w którą teraz wpadał. Na pewno odbyły się jakieś rozmowy telefoniczne ponad Pacyfikiem. Czyj to pomysł? Naturalnie, żony pułkownika! Jedyne kobiety mogłaby wymyślić coś równie złośliwego. Wiosną byłby zachwycony przyjemną myślą o powrocie do domu, teraz zaś pragnął tylko zostać w Japonii – na zawsze, jeśli to jedyny sposób, by żyć z Josui. Wstrząsnęło nim własne wiarołomstwo, w tej chwili bowiem chętnie by przysiągł, że nigdy nie wróci do domu i nie spotka się w rodzicami, gdyby tylko był pewien, że spędzi życie z Josui. W jego gniewie było prócz miłości coś jeszcze – nigdy nie popsuto mu szyków w tak arogancki sposób, dotychczas niewiele mu w życiu zabraniano. Był jedynakiem i zbyt go miłowano, by musiał przeżywać rozczarowania. Nie miał teraz ochoty się na to godzić, wszak zawsze dostawał to, czego pragnął.

Trzy dni!

– Proszę się spakować – rzekł pułkownik. – Nie będę pana o nic prosił, a radzę jedynie, by wyjechał pan bez uprzedniego spotkania z tą dziewczyną.

No cóż, nie skorzysta, tylko pojedzie do Kioto pierwszym pociągiem. Naturalnie trzeba udać się do domu, w przeciwnym wypadku okaże wielkie nieposłuszeństwo, grożące konsekwencjami, w obliczu których nie miał ochoty stawać. Będzie musiał jakoś przekonać Josui, że wróci. Żałował, że ten Japończyk jest przy niej tak blisko, że jest tak potężny i tak gotowy. Allen obawiał się, czy Josui będzie potrafiła wytrwać.

Wątpliwość ta wzburzyła go tak przeraźliwie, że aż stała się nieznośna. W domu nic nie

będzie go cieszyło, dopóki się co do niej nie upewni, a wiedział, że jedynym na to sposobem jest ślub. Pobiorą się tak szybko, jak to tylko możliwe. Ale jak? Uzyskanie zezwolenia trwało całą wieczność, a poza tym pułkownik i tak już prawdopodobnie wszystko zablokował. Jak wygląda japoński ślub? A może przekonają do...

Zatelegrafował do Josui, że przyjeżdża nazajutrz popołudniowym pociągiem; dziś na poranny było już zbyt późno. Spakuje się, przygotowuje do wyjazdu i spędzi z nią każdą chwilę. Och, przekona swą ukochaną, obejmie, skusi i umiłuje, aż nie zdoła odmówić. Ślub, nie ślub, zdobędzie ją, a kiedy ich miłość przypieczętuje spełnienie, będzie mógł wyjechać, by potem pospiesznie wrócić.

A może... Błyskawicznie myślał w drodze do mieszkania. Przeniosą go. Zostanie w Ameryce, gdzie dostanie pracę biurową, być może nawet w Pentagonie. Miał za sobą lata doświadczeń na Wyspach Pacyfiku, w Japonii, Korei i znów Japonii, toteż będzie dla nich użyteczny. Wówczas Josui będzie mogła do niego przyjechać. Była z urodzenia amerykańską obywatelką, zatem bez problemu sprowadzi ją do kraju.

Zrobiło mu się lżej na sercu. A może pomimo oporu pułkownika wszystko zmierza ku dobremu? Zapewne będzie potrzebował odrobinę czasu, by przekonać swoich bliskich. Któż wie, jaką opinię mogą mieć o Japończykach? Cieszył się, że zadał sobie trud opisanie matce krajobrazów, zabawnych doświadczeń i przyjemności tutejszego życia. Chciałby tu zostać, był bowiem ze wszystkiego zadowolony. To wspaniały kraj, w którym żyje się łatwo, a ludzie są czarujący... Tak, dorósł do tego, by myśleć o nich w ten sposób. Czasami osobliwe było to, że budził się w nocy ze złego snu, koszmaru o dżungli, w której okropieństwem gotowym zaatakować w każdej chwili był czający się w odległości kilku metrów nagi Japończyk, pomalowany na ciemną zieleń, niewidoczny. Allen nauczył się spać w dżungli poniekąd na jawie, by słyszeć i czuć obecność wroga. Raz w swym czujnym śnie zerwał się z miejsca i zatopił w grubym Japończyku sztylet o krótkim ostrzu. Nigdy jednak do tego nie przywykł, gdyż nie był zabójcą. Owym koszmarem przeżywanym teraz niekiedy w snach była chwila, kiedy ostrze grzęzło w miękkości pod twardą skórą – samo wbicie czubka sztyletu, po czym...

Odwrócił się raptownie do telegrafu i napisał do Josui wiadomość: PRZYJEŹDŹAM JUTRO PO POŁUDNIU. ODSYŁAJĄ MNIE DO DOMU. Zawahał się; to ją przerazi, a do tego nie może dopuścić. Przygryzł ołówek i dodał: TWÓJ NA ZAWSZE, ALLEN.

Telegram dotarł wieczorem. Doktor Sakai odebrał go od posłańca i przeczytał, nim wręczył go Josui. Usłyszała dzwonek, zobaczyła gościa i podejrzewała, że telegram jest do niej. Nie przyszło jej do głowy, by zabronić ojcu przeczytania go w pierwszej kolejności. Wcześniej czy później i tak by mu go dała.

Wręczył go jej bez słowa, lecz jego twarz się rozpromieniła.

Powoli przeczytała telegram dwa razy i zrozumiała dokładnie to, co Allen chciał jej przekazać. Przez nią odsyłano go do domu. Jako oficer był nieoceniony. Musi wyjechać. Chciał, by wiedziała, że zdecydowany jest ją poślubić.

Lecz jakże to uczynią? Jej bystry umysł zebrał fakty i spojrzała prawdzie w oczy.

– Natychmiast musimy się pobrać – oznajmiła ojcu.

– Jestem przeciwny – rzekł głośno. – Pozwól mu pojechać do domu. Poczekamy i zobaczymy, czy wróci.

– Jeśli się nie pobierzemy, i tak z nim wyjadę – oświadczyła.

– Zamknę cię w pokoju na klucz – zagrmiał.

Na te słowa Josui się roześmiała, co bynajmniej nie było przyjemne. Wstrząsnął nim sposób, w jaki to uczyniła. Jej śliczna twarzyczka zrobiła się pogardliwie okrutna. Spojrzała na niego z ukosa, a jej usta wygięły się w podkówkę.

– Myślisz, że pozwoli ci zamknąć mnie na klucz? Wówczas on rozwalił dom! Nie widziałeś, w jaki sposób potrafią się zachować Amerykanie? Czy im należy się sprzeciwić? Nie zapominaj, że to nasi zdobywcy!

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy!

– I tak z nim odejdę!

Matka usłyszawszy rozniewane głosy, przybiegła tak szybko, jak tylko mogła. W korytarzu spotkała Yumi, która wskazała kciukiem drzwi główne.

– Na ulicy wszystko słychać! – syknęła.

– Josui! Josui! – zawołała pani Sakai. – To twój ojciec! Och, nie bądź podła! – Przebiegła między nimi i jedną ręką odepchnęła męża, a drugą córkę.

Żadne na nią nie zważało, tylko nadal piorunowali się wzrokiem.

– Ta okazja to dar niebios, by sprawdzić tego cudzoziemca – wściekał się ojciec. – Ale to bezwstydne dziewczę nalega na ślub przed jego wyjazdem, by jej nie uciekł. Zaczynam myśleć, że to nie on, lecz ona czyni zło. Wystaje przy bramie, by się w nią wpatrywał, spotyka się z nim potajemnie... Przepraszam za mą córkę!

Uniósł ku sufitowi twarz i wyrzucił ku górze ręce. Pani Sakai zwróciła się do Josui:

– Nie możesz tak szybko wyjść za mąż. To trwa. Wpierw on musi uzyskać zezwolenie.

– Wyjadę z nim – nalegała Josui.

Spoglądała to na matkę, to na ojca i zorientowała się, że nagle sprzymierzyli się przeciwko niej. To było coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyła, a przynajmniej odkąd Kensan zginął we Włoszech i stała się jedynaczką.

– Zrobię, co zechcę! – zawołała, po czym odwróciła się i pobiegła przez cały dom do swojego pokoju.

Rodzice zostali sami pogrążeni w smutku.

– Cóż pocniemy? – zapytał doktor Sakai z dziwną pokorą w głosie.

– Jest taka uparta – powiedziała smutno pani Sakai. – Pamiętaj, że dorastała w Ameryce i teraz nie można jej już zmienić.

– Pójdę do świątyni i pomówię z duchownym, *Hosshu* – odrzekł równie smutno. – Będzie musiała wyjść za mąż.

Allen Kennedy potrząsnął mosiężnym dzwonkiem wiszącym u drzwi. Lękał się tego, co przyniesie mu najbliższa godzina, lecz był zdecydowany. Jeśli doktor Sakai zabroni mu wejść, nie ustąpi. Gdyby chociaż Josui nie była taka młoda! Trudno powiedzieć mężczyźnie, że jego dwudziestoletnia córka jest na tyle dorosła, że ma już wyrobione poglądy. Jednak sam musi poznać siłę jej woli, stanowczość, opanowanie i hart ducha. Ten słodki spokój jej lica skrywał charakter, na który bardzo liczył. Wielokrotnie, kiedy był tak rozgniewany jak teraz, jemu samemu udawało się forsować kłody, które ludzie ciskali mu pod nogi. Pułkownik, doktor Sakai – żaden z nich, a nawet obaj naraz, nie mogliby zmienić jego determinacji.

Czekał przy drzwiach, które po chwili otworzyły się i stanęła przed nim krepa służąca, Yumi. Wypowiedziała po japońsku kilka słów, po których domyślił się, że zaprasza go do środka. Nie zgorszył jej swym wejściem, więc najwidoczniej dobrze ją rozumiał. Ukłoniła się i skinąwszy, by za nią podążył, ruszyła. Był zdumiony, lecz się podporządkował. W domu panowała cisza. Nie dobiegł go żaden dźwięk ani odgłos kroków. – Czyżby pułapka? – Nieprawdopodobna myśl, a jednak przyszła mu do głowy.

Nie było żadnej pułapki. Wszedł do dużego pięknego pokoju, którego ściany z płatów papieru rozsunięto, by ukazać nienagannie uporządkowany ogród i widok na wodospad płynący przez kilka poziomów po zboczu niewielkiego wzniesienia zaprojektowanego na kształt góry.

Przed altaną, gdzie przy wolucie ogrodowej stała płytka misa pełna pierwszych jesiennych liści, siedzieli państwo Sakaiowie, on po prawej stronie, ona po lewej. Wstali, kiedy wszedł. Oboje odziani byli w oficjalne japońskie stroje i białe skarpetki. Na jej kimonie z grubej purpurowej jedwabnej krepki widniał wzór kwiecica wisterii, on miał na sobie ciemną szatę i krótki wierzchni płaszcz. Doprawdy bardzo oficjalnie! Ale dlaczego?

– Proszę usiąść – rzekł doktor Sakai doskonałą angielszczyzną. – Może wolałby pan zachodni fotel?

– Przywykłem już do japońskich zwyczajów – odpowiedział Allen. Ukłonili się sobie, po czym Amerykanin umiętnie, a nawet z wdziękiem skrzyżował długie nogi i spoczął na macie. Gdzie Josui? Czekał. Jeśli ją odesłano, pójdzie po nią. Bez wątpienia ta oficjalność miała dać mu do zrozumienia, że go nie zaakceptują.

Ku jego zdumieniu doktor Sakai przemówił dość swobodnie i bez cienia gniewu:

– Panie Kennedy, żyłem w Ameryce wiele lat i wiem, że Amerykanie wysoko cenią sobie szczerść, toteż bądźmy ze sobą szczerzy.

– Oczywiście – wymamrotał Allen.

– Rozmowa z córką – pan Sakai mówił dalej – utwierdziła mnie w przekonaniu, że z pewnością należy ją częściowo winić za tę niefortunną sytuację. To dla naszej rodziny wysoce żenujące, gdyż Josui jest, bądź też była, oficjalnie zaręczona z synem mego najbliższego i najbardziej godnego podziwu przyjaciela. Byłem zbyt wzburzony, by podważyć tę przyjaźń, jednak teraz pana nagły telegram zmusił mnie do zastanowienia się, jak postąpić w kwestii córki. Panie Kennedy, jakie ma pan zamiary?

Doktor Sakai zadał to pytanie wyniośle, Allen zaś natychmiast na nie odpowiedział w ten oto prosty sposób:

– Doktorze Sakai, pragnę ją poślubić, nim wrócę do Stanów, czyli dziś bądź jutro.

– Jak można to uczynić? – spytał doktor Sakai. – Wpierw musi pan uzyskać niezbędne zezwolenie.

– Wiem o tym, proszę pana. Lecz w różnych krajach istnieje wiele sposobów, by zawrzeć związek małżeński zgodnie z prawem. Proszę pana, pamiętam, jak mój przyjaciel zapragnął poślubić młodą Japonkę w Formozie. Ożenił się z nią zgodnie z japońskim prawem, a po roku udało mu się zawrzeć małżeństwo we Francji. W każdym razie uznano tę ceremonię. Proszę pana, właśnie o coś takim myślałem.

Jego powaga, prostota, a nade wszystko kurtuazja i doskonały angielski nieco zamąciły w głowie doktorowi Sakaiemu. Nie widział w Japonii takiego Amerykanina. To mężczyzna zupełnie inny od spotykanych na ulicach band żołnierzy, których unikał i nigdy nie pozdrawiał.

– Niemniej jednak jest to osobliwe – rzekł z wahaniem.

– W tych czasach wszystko jest takie. Prawa zwyczajowe wciąż pozostają między państwami nieuregulowane.

Pochylił się i przekonywał:

– Proszę pana, miłuję pana córkę i pragnę ją poślubić. Chcę zabrać ją do mego domu i przedstawić rodzicom, by poznali ją taką, jaka jest. Teraz zabroniono mi ją zabrać, toteż będzie musiała tu zostać, dopóki nie uda mi się zorganizować jej przyjazdu. Nikomu o niczym nie mówiąc, podjąłem decyzję, że nie wrócę do Japonii, tylko zmienię swój przydział w Tokio i postaram się o coś w Waszyngtonie. Pragnę wieść życie z pana córką i myślę, że lepiej nam będzie w moim kraju niż tutaj. Żywię nadzieję, że oboje państwo będą nas odwiedzać oraz że i my będziemy mogli odwiedzać państwa. Lecz proszę pana, nim ją zostawię, Josui musi zostać moją żoną, gdyż łatwiej jej będzie do mnie dołączyć, jeśli stanie się to faktem dokonany.

Nie wiadomo, co odrzekłby doktor Sakai, ponieważ w tej chwili Josui rozsunała parawan, który upadł na podłogę, po czym weszła z impetem do pokoju i stanęła naprzeciw rodziców.

– Ojcze, matko, uczynię to, co powiedział Allen!

Cała aż lśniła w srebrnobiałym kimonie. Stała z rozpostartymi ramionami i przypominała pięknego ptaka, skrzydlate stworzenie z uniesioną głową. Jej policzki płonęły czerwienią, oczy zaś czernią. Allen nigdy nie widział takiej urody. Wstał i wpatrywał się w nią zachwycony.

Odwróciła się do niego i wyciągnęła ku niemu dłonie, a on podszedł do niej i czule je uściskał. To był jedynie moment, kierowana rozsądkiem chwila zawahania, lecz kiedy ujrzał w jej oczach całkowitą uległość, wziął ją w ramiona. Rodzice siedzieli za nimi nieruchomo – matka odwróciła wzrok, ojciec zaś nadal się w nich wpatrywał w bezruchu.

Odwróciła się w ramionach ukochanego.

– Ojcze, matko, jesteśmy gotowi.

Rodzice wstali, po czym doktor Sakai przemówił:

– Panie Kennedy, tego się spodziewaliśmy. Jesteśmy buddystami, toteż poczyniłem w świątyni buddyjskiej niezbędne przygotowania. Rozumie pan, to wszystko jest osobliwe i bezprecedensowe. Lecz *Hosshu* pojmuje dziwność tych czasów pod obcą okupacją. Przeprowadzi tu ceremonię, a do czasu uroczystości w Ameryce będziemy musieli zaufać pana honorowi.

Pochylił głowę i podszedł do drzwi, nie czekając na odpowiedź, a za nim podążyła pani Sakai i nie spoglądając na Allena, minęła go.

Josui patrzyła, jak odchodzą, po czym odwróciła się do niego, a on ujrzał w jej oczach łzy.

– Nie przejmuj się nimi – rzekła błagalnie. – To dla nich takie trudne. Nawet sobie tego nie wyobrazasz! Jestem ich jedynym dzieckiem, a mój mąż miał stać się ich synem.

– A ja nie mogę nim być? Pokręciła głową.

– Nie są w stanie cię zaakceptować... jeszcze nie teraz – powiedziała szczerze.

Na chwilę oparła głowę o jego pierś i poczuła bicie serca. Och, z pewnością mogła mu zaufać!

– Być może się tego nauczą. – Ujął w dłonie twarz tej ciemnowłosej dziewczyny i przytulił ją do piersi.

Któż zna okoliczności narodzin duszy dziecka, które jeszcze nie przyszło na świat? Budzi się w lekkim wiatku wśród kwiecia wisterii, czym dobywa jej woń. Lśni w poświęceniu pierwszych wiosennych światełek w sosnowym lasu, w pierwszym pocałunku w ogrodzie. Przyjmuje postać w rześkości skroplonym cierpieniu rozdzielonych serc, nadchodzi w ostatnim pocałunku i czeka na aprobatę bogów.

W wielkiej świątyni pod grubą strzechą wielowiekowej tradycji kilka osób czekało na uroczystość zaślubin. Za państwem Sakai stali świadkowie, Yumi i ogrodnik, którzy w swym oszołomieniu niczego nie pojmowali. Naprzeciw zakochanych stanęli czterej niżsi rangą kapłani z *Hosshu* pośrodku. *Hosshu* nie miał spokojnego sumienia, gdyż nie pochwalał tego małżeństwa, ale doktor Sakai przekonał go, przypominając, że nastały osobliwe czasy. – Nasza religia musi się przystosować, jeśli ma przetrwać – nalegał. Wyglądało na to, że *Hosshu* był pełen wątpliwości. Ten starszy człowiek był uczonym i samotnikiem. Nigdy nie zaakceptował naśladowców chrześcijaństwa, którzy wymyślali buddyjskie hymny, będące parodią chrześcijańskich. Nie lubił również Związku Buddyjskiej Młodzieży Męskiej. Bogom należało służyć w inny sposób.

– Trudno sobie wyobrazić moje cierpienie – rzeki srogo doktor Sakai. – Jedyne, co mam do wyboru, to albo stracić córkę, albo wymyślić jakiś sposób na doprowadzenie do tego ślubu.

– Dałeś jej zbyt dużo swobody – zasugerował *Hosshu*.

– Dawne błędy nie zmieniają teraźniejszości – bardzo rozsądnie zripostował doktor Sakai.

Złożenie w świątynnym skarbcu dużego daru przez doktora Sakaiego, przyrzeczenie lojalności i jego rosnące zniecierpliwienie – to wszystko miało uświadomić duchownemu, że co najmniej w tym jednym przypadku musi się nagiąć, toteż zgodził się poprowadzić czekającą go

teraz ceremonię. Wszedł dostojnie do sali świątynnej, uderzył w duży gong i zaczął czekać, aż dźwięk ucichnie pod wysokim sklepieniem. Odwrócił się do ołtarza i skinął na młodą parę, rodziców i świadków, by podeszli. Czekał wyprostowany, a w swej kapłańskiej szacie wydawał się wyższy. Amerykanin nie był ubrany w czarny strój, jak powinien, ale – jak to powiedział doktor Sakai – trwała okupacja i należało akceptować wszelakie osobliwości. Przynajmniej kobieta wdziała białe kimono.

Hosshu posłał długie spojrzenie stojącemu przed nim Amerykaninowi, po czym odwrócił wzrok, na kobietę zaś nawet nie zerknął. Rozpoczął ceremonię w języku japońskim, nawołując monotonnie wysokim, czystym głosem:

– Zebraliśmy się tu w obczu naszego Litościwego Buddy, by połączyć tych dwoje najdoskonalszym węzłem małżeńskim. Małżeństwo to najświętsze źródło wszelkiego życia, któremu kolejne pokolenia ludzi zawdzięczają swe istnienie i z którego wszystkie normy moralne biorą swój początek. Nic nie dzieje się bez powodu, wiedźcie zatem, że święty związek dwojga ludzi, który winien trwać całe życie, nie zdarza się przez przypadek. Zaiste jest to przesądzone następstwo istnienia wielu dawnych żywotów i owoc przewodnictwa łaskawego Buddy.

Pochylił głowę i szeptem zmówił modlitwę.

– Niechaj tych dwoje, którzy wchodzą w święty związek małżeński, zatrzymają w swych sercach tę świętą okoliczność. Niechaj bezustannie dotrzymują przysięgi, miłują się i szanują. Niechaj pomagają sobie w smutku i nieszczęściu, będą niepokalani zarówno ciałem, jak i myślą oraz wspierają się w propagowaniu wszelakich cnót. Są one podstawą szczęśliwego życia małżeńskiego i jedynym sposobem, by wieść życie zgodnie z naukami Buddy.

Uniósł głowę i spojrzał wprost na nich, po czym jego wzrok spoczął na Allenie.

– Zatem – rzekł apodyktycznym tonem – nim złożysz tę przysięgę, pamiętaj, że do obowiązków męża należy wspieranie żony, otaczanie jej czułą opieką, dochowywanie wierności myślą i uczynkiem, dodawanie otuchy w smutku i chorobie oraz pomaganie w wychowywaniu dzieci.

Do Josui zaś powiedział:

– Do obowiązków żony należy miłowanie męża, pomaganie mu, wykazywanie się cierpliwością i łagodnością oraz bezustanne dochowywanie wierności. Czy – przemawiał dalej, zwracając się do nich kolejno – czy uroczyście oświadczasz, że nie wiesz o żadnej przeszkodzie, która w oczach prawa mogłaby uniemożliwić wam połączenie się węzłem małżeńskim?

Josui spojrzała na Allena i wyszeptwała te słowa.

– Nie wiem o żadnej przeszkodzie – powtórzył po angielsku Allen.

– Uroczyście oświadczam, że nie wiem o żadnej przeszkodzie – Josui powiedziała stanowczo po japońsku, wszak pokonali wszystkie przeszkody...

Hosshu zwrócił się do Allena:

– Allenie Kennedy, czy bierzesz tę kobietę, Josui Sakai, za żonę? Ponownie na niego spojrzała.

– Tak. – Kiedy wypowiadał te słowa, zadrzał mu głos, pomimo że usiłował nad tym zapanować.

– A ty, Josui Sakai, czy bierzesz tego mężczyznę, Allena Kennedyego, za męża?

– Tak – powtórzyła po japońsku.

Nim weszli do świątyni, Allenowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Postanowił zdjąć z małego palca sygnet i dać go *Hosshu*. Ten z kolei wsunął go teraz na palec Josui, po czym połączył ich dłonie i położył na nich święty różaniec.

– Zdecydowaliście się – rzekł poważnie – na ślub według obrządku buddyjskiego, a zatem ogłaszam was mężem i żoną. Niechaj bezustannie otacza was wielka miłość i miłosierdzie.

Stał przez chwilę, po czym odwrócił się, podszedł do ołtarza i skinął na Allena. Ten włożył kadzidelka w popioły urny postawionej przed pochylonymi nad nimi bogami, a Josui dotknęła pachnącego słodyczą kadzidła płonącym patyczkiem.

Hosshu stanął pod wielkim złożonym Buddą, który górował nad pomniejszych bogami, i wypowiedział do Allena te oto słowa:

– Najświętszy Budda rzekł: „Wspieraj ojca i matkę, otaczaj czułą opieką żonę i dziecko, podążaj drogą pokoju. To największe błogosławieństwo”.

Na koniec ceremonii odwrócił się i stanął przed bogami, a za nim ustawili się czterej kapłani, tworząc jak gdyby parawan.

Hosshu począł przemawiać do Buddy tak cicho, że nie można było niczego usłyszeć. Tłumaczył się, błagał o wybaczenie i modlił o błogosławieństwo, o ile to możliwe, a jeśli nie, to o bezpieczny powrót tej młodej kobiety do swej ojczyzny i narodu.

Posąg Buddy, który złożono tak długo, aż w końcu wyglądał jak wykonany z czystego złota, jak zwykle stał nieruchomo. Jego dłonie złożone były w geście wiekuistego i wszechobecnego błogosławieństwa, oczy pozostawały nieporuszone i niewzruszone.

Osobliwa nierzeczywistość – pomyślał Allen. Stał z uniesioną głową i spoglądał na przygarbioną, odzianą w szaty sylwetkę *Hosshu* i na kapłanów oraz wznoszący się ponad nimi posąg. Bezustanna obecność Buddy wcale nie sprawiała, że był on bardziej rzeczywisty niż niewidzialne bóstwo Kościoła chrześcijańskiego, ale też nie mniej. W świątyni panował nastrój świętości, lecz nie za sprawą bogów, tylko modlitw i smutków ludzi, którzy przychodzili tu i prosili, błagali, szukali czegoś, czego nie sposób odnaleźć. Wypełniona ludzkimi uczuciami atmosfera sięgała nieosiągalnych zaświatów i prosiła o odpowiedź, która nigdy nie nadchodziła. Allen stał z Josui i w końcu powoli pochylił głowę. Dawno temu przestał się modlić, przestał wierzyć, jednak kiedy przebywał w domu, chadzał z rodzicami do kościoła, śpiewał hymny z dzieciństwa i pochylał głowę. Dziś odczuł wewnętrzne pragnienie i modlitwa pojawiła się sama. Zadrzał z powodu tej pilnej potrzeby i w niemej modlitwie syn, dziecko tego świata, zbliżył się do życia i narodzin.

Po ślubie Allen i Josui położyli się w pokoju, w którym dziewczyna spędziła swoje dzieciństwo. Nim rodzice zaszyli się gdzieś po powrocie z przeprowadzonej w świątyni

ceremonii, doktor Sakai wygłosił krótką mowę powitalną i oświadczył Allenowi, że oto przyjmuje go do swego domu. Akceptuje go, może więc bywać w nim, kiedy tylko zechce.

Wyszedł, nim Allen zdążył mu podziękować. Pani Sakai zniknęła z pola widzenia, a Yumi podała młodej parze obiad. Po posiłku, wciąż bez uśmiechu, pogrążona w milczeniu służąca rozłożyła na macie jedwabne narzuty, by pościć łóżko, po czym ukloniła się nisko obojgu, zasunęła parawan i zgasiła w korytarzu światło. Wreszcie zostali sam na sam i już nikt nie stał pomiędzy nimi.

Tej nocy nie myśleli o dziecku, wszak kochankowie nie myślą. Czują tylko miłość i tak wielki, tak mglisty początek, który przenika każdy zakątek świata. Jedyne, co dostrzegają i czują, to miłość. To, co tak bezkształtne przenika, przybiera kształt, lecz ich własny – formę mężczyzny i kobiety, formę ich samych, która zmniejsza i zwiększa potęgę i rytm, huk płynącej krwi, żądanie ciała. Poczuli czekające w najdalszym powiewie dziecię, lecz nie wiedzieli o tym. Matka to młoda dziewczica, a nie każda dziewczica zachodzi w ciążę z taką łatwością jak matki bogów. Jedna noc nie zawsze wystarcza. Problem może też tkwić w ojcu, wszak nie wszyscy są bogami. Tych dwoje nie marzyło o dziecięcej duszy, o mgławicy, która z każdą chwilą przybliży się ku pewnemu punktowi, o trwałej formie.

Nieświadomi rodzice nie myśleli o czekającym dziecku, dziecięciu tego świata. Skupiali się jedynie na sobie, na drżących dłoniach i dygoczących ciałach, dopóki nie zaspokoili objawionej miłości.

Odnosiło się wrażenie, jak gdyby wciąż byli sami w domu, tak dużym, że bez wątplenia gdzieś w zasłoniętych parawanami pokojach starsi ludzie wiedli oddzielne życie. Lecz dokądkolwiek Allen poszedł, nie spotkał nikogo prócz milczącej Yumi.

– To doprawdy cudowne ze strony twych rodziców – rzekł nazajutrz do Josui. – Lecz nie chcę, by czuli się skępowani. Możemy pójść do zajazdu.

– Och, nie – zawołała. – Mamy iść w obce miejsce? Nie mamy domu i rodzice pragną naszej obecności. Kiedyś będziemy musieli jakoś im się odwdziżyć.

Nie mówili o dzieciach. Naturalnie nie mogą teraz ich mieć. Za kilka godzin Allen musi wyjechać, a ona zostanie sama.

– Ukochana, to nie potrwa długo, może zaledwie kilka tygodni... Lecz tygodnie są jak całe lata, kiedy na miłość ma się jedynie kilka godzin, dzień czy dwa. Łkała nocą, w tę drugą noc i ostatnią, a miłość czekała na otuchę. Było to osobliwe, lecz miała złe przeczucie, intuicja mówiła jej, że nigdy więcej go nie ujrzy, że Allen zaginie na morzu albo że samolot rozbije się w górach, a może rozdzieli ich ktoś z jego rodziny. Czowała, że wiedzą teraz swe jedyne wspólne życie i innego już nie będzie. Tulił ją, a ona, drobna i zapłakana, przytuliła się skulona do jego nagiej piersi. Nie potrafił jej przekonać, by uwierzyła w jego obietnice. Trawił ją lęk. – Jutrzejsza nieuchronna rozłąka może nie mieć końca – upierała się. Zostaną rozdzieleni, by nigdy więcej się nie ujrzeć. Wiedziała o tym.

– Josui, jak możesz? – zapytał gwałtownie nieco rozdrażniony. – Dlaczegoż akurat ja

miałbym utonąć czy rozbić się w górach, z tych wszystkich setek, tysięcy ludzi, którzy latają samolotami ponad oceanem? I jakże możesz wątpić w moją rodzinę, skoro jej nie poznałaś, i we mnie, skoro nie znasz mnie pod tym względem? Musiał być okrutny.

– Josui, myślisz, że to było dla mnie łatwe? Czy byłbym tu teraz, gdybym cię nie miłował?

Istniała tylko jedna odpowiedź na te lęki i pytania. Bezustannie wskrzeszali swą miłość, ciałem i sercem, podczas gdy dziecię czekało...

Nazajutrz przyszedł czas na okrutne rozstanie. Nie chciał, by odprowadziła go do pociągu, również ona nie ośmieliłaby się tego uczynić. Rodzice pojawili się na kilka minut i uklonili, a mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, po czym młodzi znów zostali sami. Mógłby przysiąc, iż krwawi mu serce, kiedy tak niechętnie się z nią rozstawał. Gdy wypuścił ją z objęć, niemal poczuł ból otwartych ran.

– Będę codziennie pisał – obiecał.

– Ja również – wyszeptala, a na jej mokrej od łez twarzy malowała się rozpacz.

– O wszystkim sobie opowiemy – przyrzekł. – Kochanie, myśl o mnie i o tym, jak spieszę się całymi dniami i nocami, by zorganizować twój przyjazd do Ameryki. Ukochana, a teraz uśmiechnij się, choć przez ostatnią minutę! Pomyśl o zeszłej nocy. Ach, sama słodycz.

Oddalił się, lecz kiedy odwrócił się i zobaczył, jak stoi w drzwiach bliska omdlenia, ponownie do niej podszedł i raz jeszcze mocno ją przytulił.

– Nie mogę się oglądać – westchnął i zmusił się, by patrzeć przed siebie.

I tak oto ledwo zdążył na pociąg, który właśnie wytaczał się ze stacji...

Część druga

Pani Kennedy była przygotowana na powrót syna, gdyż żona pułkownika, której nigdy nie poznała, napisała do niej wyczerpujący list.

– Pozwól mi napisać do jego matki – rzekła do męża. – Jeśli ty to uczynisz, pomyśli, że miałam z nim romans i chcesz się go pozbyć.

Pisała zatem z punktu widzenia osoby na tyle dojrzałej, że mogłaby być matką Allena (o czym też poinformowała panią Kennedy), i postępowała jedynie w taki sposób, w jaki sama chciałaby zostać potraktowana, będąc na jej miejscu. Oświadczyła, że to błyskotliwy młody oficer, prawa ręka jej męża, osoba warta zatrzymania za wszelką cenę. Trudno dać mu urlop w chwili, kiedy testuje się tak wiele nowych strategii po zmianie ważnych wytycznych, lecz jej mąż gotów jest się poświęcić.

Pani syn jest tak niebywale ponadprzeciętny [napisała do pani Kennedy], że zwykle stosowane metody nic tu nie działają. Nie ma sensu rozprawiać na temat weekendów, życia na kocią łapę bądź też innego podobnego rozwiązania. Pani syn to dżentelmen z Południa, który nawet o Japonce myśli z galanterią. Naturalnie wierzy, że to wyjątkowe dziewczę, które nie zgodzi się na nic prócz małżeństwa. Zresztą wątpię, czy zaferował jej coś innego, a wyjazd do Stanów oczywiście sprawiłby w zachwyty każdą Japonkę. One myślą, że to raj na ziemi, i porównując ten kraj z ich ojczyzną, również tak sądzą.

Pani Kennedy to powściągliwa kobieta, toteż odpisała z należytą wdzięcznością, jednocześnie dając dowód swego całkowitego zaufania do dobrego gustu i rozsądku syna. Był to wymijający list, zatem przebywająca w Tokio żona pułkownika, która z kolei powściągliwością nie grzeszyła, a może nawet nie była damą, przeczytała go ze zdumieniem, po czym rzuciła go przez stół do pułkownika.

– Spójrz na to – rzekła apodyktycznym tonem. – Czy ona chce, by Japonka została jej synową?

Pułkownik uważnie przeczytał list.

– Nie mam zielonego pojęcia! Lepiej daj sobie z tym spokój. I tak Kennedy mówił coś o tym, że nie wróci. Zwolnię go.

Pani Kennedy pokazała list od żony pułkownika mężowi, a potem potajemnie Cynthii, pan Kennedy bowiem zakazał jej pokazywać go komukolwiek.

– To miasto jest dziurawe jak sito – oznajmił. – Na litość boską, złociutka, niechaj nasze sprawy rodzinne nie wychodzą poza dom. Zresztą nie znamy jeszcze stanowiska chłopca.

Cynthia powiedziała bardzo niewiele. Zapoznała się z treścią listu i wręczyła go pani Kennedy.

– Czy żony pułkowników aby nie są... – urwała.

– Jakie? – zapytała pani Kennedy.

– Rozplotkowane – rzekła w końcu Cynthia. Usiłowała znaleźć odpowiednie słowo, lecz nie bardzo jej się to udało.

– Być może – zgodziła się pani Kennedy. – Ale z drugiej strony Allen to już mężczyzna. Był

najsłodszym dzieckiem, toteż zwykłam myśleć, że zawsze będzie inny. Lecz myliłam się. Jest dokładnie taki, jak jego ojciec. I odcięto go od normalnego społeczeństwa. Cynthia, chciałabym, żebyś mi pomogła.

Cynthia szeroko otworzyła błękitne oczy.

– Ależ oczywiście, pani Kennedy. Dla Allena zrobię wszystko. Pani Kennedy stanęła na palcach i szybko ją pocałowała. Kiedy dziewczyna wyszła, przespacerowała się po ogromnym pięknym domu i stwierdziła, że dosłownie wszystko jest teraz ładniejsze niż dawniej. Ach, gdyby miała czas, pomalowałaby pokoje Allena, sypialnię i salon na piętrze. Spojrzała na przewietrzoną lnianą pościel, czyste pledy i stojące w wazonach na kominku i biurku niewielkie jasne chryzantemy. W ostatniej chwili uniosła żółtą różę i włożyła ją do małego srebrnego flakoniku na komodzie. W domu pełnym wszechobecnej, słodkiej tradycji i miłości, tak wiele oczekującej od jedynaka i spadkobiercy, panował dokładnie taki nastrój, jak chciała. Od dawna wiedziała, że stosowanie względem syna sprzeciwów i zakazów kończy się niepowodzeniem. Nie należy wzbudzać jego gniewu. Więcej już nie wspomniała o Japonce nawet przy mężu. Zapomni. To dziewczę nie istniało.

Kiedy Allen w końcu przybył, stanęła w przedpokoju z rozpostartymi ramionami odziana w srebrzystoszarą szyfonową sukienkę. Natychmiast do siebie przyłgnęli – oplótł ją długimi młodymi rękoma, a twarz przytulił do jej policzka. Jakże nisko musiał się pochylić ten niezwykle wysoki mężczyzna!

– Widzę, że naprawdę urosłeś – powiedziała w półśmiechu i jak zwykle odchyliła się od niego nieznacznie.

– A ty jak zawsze słodko pachniesz – oznajmił. Dzięki Bogu w swoim towarzystwie nigdy nie zachowywali się poważnie. Matka ze wszystkiego stroiła sobie żarty, a jej dotyk był delikatny niczym muśnięcie skrzydeł kolibra.

– Och, twoja twarz – zawołała i potarła policzek. – Nie goliłeś się, odkąd wyjechałeś z Japonii.

To prawda, delikatna skóra jej twarzy zaróżowiła się w miejscu, którego dotknął.

– Daj mi pięć minut – zawołał i energicznie wszedł po schodach. Ojciec schodził w tej chwili na dół, toteż wyściskali się na powitanie, nigdy bowiem nie pozwolił wyrosnąć synowi z tego sposobu okazywania miłości.

– Mama wysłała mnie na górę, bym się ogolił. No, wreszcie czuję się jak w domu.

– Zatem nie zatrzymuję cię – rzekł łagodnie ojciec.

Tak to właśnie wyglądało. Kiedy wracał do domu nawet po długiej nieobecności, zawsze byli tacy sami. Jak gdyby nigdy nie wyjechał. Pomknął do swych pokojów i począł upajać się ukochanym widokiem salonu, dużej sypialni z cudownym oknem na zachód i położonej za nią wspaniałej łazienki. Dom w domu. Mógłby w nim mieszkać z Josui. Być może ojciec postąpił rozsądnie, kiedy postanowił wieść tu życie wolne od znoju i zmartwień. Allen nigdy nie widział, by był nieszczęśliwy. To miejsce było niemalże rajem na tle okrutnego świata i nie było powodu,

dla którego nie miałby zamieszkać tu z Josui.

„Kochanie – napisał tej nocy do żony. – Siedzę w pokoju, który będziemy dzielić razem. Pozwól więc, że Ci go opiszę, byś czuła się tu jak u siebie, kiedy przeniosę Cię przez próg. Zastanawiam się, czy znasz ten zwyczaj... „.

Opisał pokoje, dom, wygląd swych rodziców oraz wzgórze i doliny widoczne z okna przy biurku nawet w księżycowej poświacie. Na biurku stały barwne i świeże chryzantemy, nie tak jednak okazałe jak te w Japonii. Allen zjadł obiad z rodzicami, lecz bez Cynthii – wspominał – Cynthii Levering, starej przyjaciółki z dzieciństwa, która była mu bliska niby siostra, pomimo że nosiła inne nazwisko. Również była jedynaczką, jej bracia bowiem zginęli na wojnie: jeden na Pacyfiku, drugi w Niemczech. – „Bardzo się zaprzyjaźnicie – napisał. – Jest to nade wszystko wielce życzliwa osoba, starsza od ciebie jedynie o dwa, może trzy lata”.

Był zaskoczony, kiedy zobaczył, że Cynthia wyrosła na bardzo ładną kobietę. Dość późno wypiękniała. Zapamiętał ją jako niezdarną, bladą, pełną pokory młodą dziewczynę o prostych blond włosach i nieśmiałej, skromnej twarzy, zbyt wysoką na tle swoich przyjaciół. Lecz teraz nie była już nieśmiała, a pokora przeistoczyła się w słodką wstydlivość. Miała krótkie lśniąca loczki, piękniejszą skórę i delikatne, niezbyt czerwone usta. Była smukła i pełna wdzięku, nauczyła się żyć ze sobą w zgodzie i wysoko trzymała głowę.

Z przyjemnością zauważył, że i ona cieszy się na jego widok, nawet bardzo, czego nie krępowała mu się okazać. Chciał jej natychmiast opowiedzieć o Josui, lecz nie poinformował jeszcze rodziców, a uznał, że to byłoby nieuczciwe, gdyby Cynthia dowiedziała się o niej pierwsza. Poza tym nie usiłowała się z nim umówić sam na sam, zatem to on musiałby zaproponować spotkanie.

Skończył pisać do Josui długi list i przez chwilę siedział z zamkniętymi oczyma, przypominając i wyobrażając ją sobie. Och, dobrze się stało, że ją posiadał przed wyjazdem! Teraz należała do niego – przyjedzie tu i już nikt ich nie rozdzieli. Widział oczyma wyobraźni, jak skrada się po tym dużym domu w małym japońskim kimonie – jeśli naturalnie jego ukochana tego zechce – tak odziana bowiem prezentowała się zjawiskowo. Nie chciał, by wyglądała zupełnie jak Amerykanka. Pragnął jej taką, jaką była. To jego orientalny skarb, z którym dzieliłby tamten rozdział życia, na co nie mógłby się zdobyć w obecności jakiegokolwiek innej osoby.

W tę księżycową noc podszedł do wychodzących na balkon dużych przeszklonych drzwi i patrzył w dal. Nie potrafił mówić o tych długich latach, latach wojny, kiedy jako bardzo młody chłopiec został w okrutny sposób oderwany od życia. W pamięć wryły mu się obrazy i doświadczenia, które ukształtowały go tak dogłębnie, że już nigdy nie będzie potrafił przed nimi uciec. Czuł teraz miazmaty wilgotnych dżungli, okropnego żywota węży i owadów, bezustannego niebezpieczeństwa śmierci czyhającego nie tylko ze strony wroga, ale i chorób oraz zgnilizny miejsc, gdzie nigdy nie świeci słońce. Nadal najbardziej zatrważające wspomnienie dotyczyło ostrza, które przebijało twardą ludzką skórę, by po chwili zanurzyć się w pełnym życia

miękkim wnętrzu. Tu, gdzie śmierć nigdy nie nadchodziła, wciąż nie potrafił o tym zapomnieć.

Odwrócił się raptownie, poszedł do łazienki i odkręcił równocześnie ciepłą i zimną wodę, która z hukiem napełniała wielką wannę. Postanowił wziąć długą kąpiel, po której położy się do łóżka.

– Co o nim sądzisz? – pani Kennedy zapytała męża.

– Wygląda bardzo dobrze... jakby był bardzo szczęśliwy. Szykowali się do snu w swoich osobnych, dużych pokojach. Ona stała w otwartych drzwiach w koronkowym bolerku narzuconym na jedwabną koszulę nocną, on przewiązywał się paskiem od piżamy.

– Nie powiem ani słowa – oświadczyła. – Niech myśli, że o niczym nie wiem.

– Bardzo rozsądnie. Nigdy nie wierzyłem w rozmowę. Podeszedł do drzwi i pocałował ją uprzejmie.

– Lepiej idź spać – poradził. – Miałaś dziś ekscytujący dzień. Ociągała się.

– Jest bardzo przystojny – rozwodziła się. – Wiesz, kiedy był małym chłopcem, nie sądziłam, że taki wyrośnie. Cieszę się, że jest do ciebie podobny.

– Nie opowiadaj – zripostował. – Nie wygląda tak jak ja. Ja jestem podobny do swojej matki i rodziny Lambertów, on zaś wygląda jak mój ojciec.

Raz jeszcze się pocałowali i poszli do osobnych łóżek, pomiędzy którymi znajdowały się otwarte drzwi. Czasami budziła się w nocy i podkładała, by je zamknąć. Nigdy nie wiedział, kiedy to robi, lecz o poranku były zamknięte. Nigdy też nie zapytał, coż to oznacza. Nie wierzył w rozmowę, jeśli można się było bez niej obejść.

– Oni wiedzą – rzekła Cynthia.

Następnego poranka spotkała Allena zupełnie przypadkowo, robiąc zakupy dla matki, która zawsze zapominała o podstawowym artykule potrzebnym do jakiejś prostej czynności. Cynthia od dziecka maszerowała do miasta, by coś dokupić. Nie miała daleko, do sklepu docierała bowiem po piętnastominutowym spacerze zacienioną drzewami ulicą. Chodziła na piechotę nawet wtedy, kiedy dorobiła się samochodu, dzięki czemu miała sposobność porozmawiać z ludźmi.

I tak oto spotkała Allena – szli teraz razem i rozmawiali. Był wysoki, wyższy nawet od niej.

Opowiedział jej o Josui, gdyż musiał to z siebie wyrzucić. Nie mógł bezustannie o niej myśleć i co noc do niej pisać, i nikomu się z tego nie zwierzyć. Wcześniej czy później będzie musiał poinformować rodziców, lecz winien to uczynić we właściwy sposób i w strategicznym momencie. Tłumaczył sobie, że matka nie przyjmie ze spokojem jego żony, kimkolwiek by była. Nie powita Josui mniej serdecznie niż inną kobietę, kiedy pojmie, że są małżeństwem, ale też nie powita jej przez to serdeczniej.

Nie chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą, ale wolał, by Cynthia dowiedziała się o tym dla swojego własnego dobra. Gardził mężczyznami, którzy uważają, że kobiety się w nich kochają, a jednak jego wrażliwy umysł podpowiadał mu, że gdyby nigdy nie ujrzał Josui, to być może łatwiej byłoby mu myśleć o powrocie do Cynthia. Przyjemna i najprawdziwsza słodycz

jej zachowania mogła być oznaką jednocześnie wszystkiego i niczego, lecz nigdy nie miał ochoty odkryć jej głębi. Niewykluczone, że dla każdego taka była.

Zatrzymał się.

– Wiedzą? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Żona pułkownika napisała do twojej matki – wyjaśniła spokojnym, słodkim głosem z lekkim południowym akcentem. Usiłowała zapanować nad przeciąganiem samogłosek, lecz miała to we krwi.

– Ale przecież nawet pułkownik o tym nie wie – zawołał.

– Allen, nie stój tak. Ludzie się gapią.

Ruszył raptownie, a ona usiłując dotrzymać mu kroku, się roześmiała.

– Ale też nie biegnijmy! O czym nie wie pułkownik? Zwolnił tempo.

– Poślubiłem Josui. Nikt o tym nie wie prócz ciebie. Chciałem, byś wiedziała, gdyż potrzebuję twojej pomocy. Natychmiast pojechałem do Kioto i poślubiłem ją, by nikt nie mógł nas rozdzielić. Dostałem ten urlop, żebym o niej zapomniał. Pułkownik i jego żona pomyśleli, że jeśli pojedę do domu, do tego wszystkiego... – omiótł długim spojrzeniem zacienioną drzewami ulicę, sklepy i odsunięte od chodników duże białe domy. – Pomyśleli, że zapomnę. A więc ta przekłeta kobieta napisała do mojej matki!

Zmarszczy! czoło, a Cynthia zerknęła na niego z ukosa z wściekłością, lecz od razu zrobiło się jej wstyd z powodu tej reakcji. Jakim prawem wyjechał do obcego kraju i znalazł sobie cudzoziemską żonę? A co z kobietami takimi jak ona, które starzeją się w małych miasteczkach i wioskach w całej Ameryce? Cudzoziemki winny poślubiać swoich mężczyzn. Allen był jej. Gdyby nie przymusili go do wyjazdu – czymże bowiem był pobór, jeśli nie przymusem? – już dawno zdążyliby się pobrać, to było nieuniknione, i pewnego dnia zamieszkałaby w domu państwa Kennedych, w którym czuła się jak u siebie, odkąd tylko przyszła na świat. Gdyby nie był tak przystojny i wyższy od niej o głowę – nigdy nie poślubiłaby niższego od siebie mężczyzny, a niemal wszyscy tacy byli – może nie podjęłaby decyzji, którą powzięła teraz tak niespodziewanie i tak instynktownie, jak gdyby nie była kulturalną kobietą żyjącą w cywilizowanym kraju. Nie sprzymierzy się z nim, lecz z jego matką, i zrobi wszystko, co w jej mocy, by zapobiec przyjazdowi Japonki...

Allen mówił szybko i cicho monotonnym głosem:

– Przyjedzie, jak tylko uda mi się wszystko załatwić. Na szczęście jest obywatelką amerykańską! To tutaj przyszła na świat. Cynthia, ona wyjechała do Japonii dopiero kiedy miała piętnaście lat. Uczęszczała tu nawet do szkoły. Znakomicie mówi po angielsku... no cóż, prawie znakomicie... Jeśli się zagalopuje i przez chwilę nie zastanowi, nazywa mnie Allennem Kennedym.

– Myślałam, że raczej trudno jest poślubić Japonkę – powiedziała Cynthia. Ocieniona rondem kremowego filcowego kapelusza bezustannie uśmiechała się, rozglądała po ulicy i od czasu do czasu machała do kogoś znajomego.

Co kilka minut zatrzymywał ich ktoś, kogo oboje znali, i nim Allen mógł jej teraz odpowiedzieć, znów mieli towarzystwo.

– Allen Kennedy, nieprawdaż?

Otoczyło ich stadko urodziwych dziewcząt, które w ten piątkowy poranek szły do klubu brydżowego.

– Cynthia, zapewne nie ujrzymy cię dziś w klubie!

– Zapewne nie możemy cię też o to obwiniać!

Ich wysokie słodkie głosy rozbrzmiewały w chłodnym jesiennym powietrzu. Odziane były w nowe, cieplejsze ubrania: jaskrawe kurteczki, zwiewne spódniczki i małe barwne dopasowane kapelusiki. Miały lśniąco włosy, młode błyszczące oczy o niezbyt bystrym spojrzeniu i roztańczone śliczne małe rączki, które oplatały Allena i Cynthię z niewinną, lecz jakże przebiegle kobiecą serdecznością. Przyglądały mu się z rozchylonymi czerwonymi ustami, a na każdym ślicznym umalowanym licu zagościło badawcze spojrzenie młodej samotnej łowczyni, która w każdej chwili gotowa jest zmienić swą naturę, kiedy w pobliżu pojawi się atrakcyjny mężczyzna. Każda dbała o własny interes, ale to Cynthia miała szczęście z nim spacerować. Jednak w jej zazwyczaj łagodnym sercu uporczywie tkwiła chęć zemsty, toteż uśmiechnęła się do wszystkich i rzekła miłutkim głosem:

– Allen właśnie przekazał mi wspaniałą wieść. Otóż przed powrotem do domu poślubił urodziwą Japonkę.

Żałosny był to widok, kiedy rzedły im miny i kiedy usiłowały to ukryć, gdy siliły się na opanowanie, nienaturalnie radosny wyraz twarzy oraz fałszywe gratulacje...

– Och, Allenie, jakże to cudowne!

– Opowiedz nam o niej.

– Masz jej fotografię? Spojrzał na Cynthię oburzony.

– No cóż, nie w taki sposób miałem zamiar to ogłosić – zdobył się na odpowiedź.

Istotnie miał przy sobie małe zdjęcie, które Josui dała mu przed rozstaniem, lecz nie była to dobra fotografia – miała na niej poważną minę, nietwarzowe szkolne ubranie i zwyczajnie uczesane włosy.

Dziewczęta chwyciły ją i podawały sobie z rąk do rąk, a kiedy ujrzały tę młodą dostojną twarz, zawołały z uczuciem ulgi i triumfalnego współczucia:

– Allenie, ona jest doprawdy słodka.

Podaly zdjęcie Cynthii, z uśmiechem kiwając głowami, i odeszły, toteż kiedy znów ruszyli, mogła się w końcu jej przyjrzeć. Miała osobliwe oczy.

– To niezbyt wierna podobizna. Wygląda naprawdę ślicznie, zwłaszcza w kimonie.

– Nie mogłaby tu nosić japońskich ubrań, prawda? – zasugerowała Cynthia. – Bardzo zwracałaby tym na siebie uwagę, nieprawdaż?

– Tak sędzę. – Wziął od niej fotografię i z powrotem włożył ją do portfela.

Szli razem przez kilka minut.

– Nie opowiedziałeś, jak się pobraliście.

– W świątyni buddyjskiej – rzekł szorstko. – Jej rodzina wyznaje buddyzm.

– Jakże to ciekawe. A powiedz, czy przypomina to nasze nabożeństwo?

– Nie, no cóż, tak... Jak sądzę, każda religia ma te same podstawy. Był duchowny, kapłani i bogowie.

– Bogowie?

– Wizerunki. Katolicy również je mają. Naturalnie nie oddają im czci. Służą jedynie po to, by pomóc się skupić na Bogu bądź na jakimś wielkim świętym.

– I przyrzekłeś ją miłować i powiedziałeś całą tę resztę?

– Złożyłem wszystkie przysięgi.

Zastanawiał się, czemu tak bardzo na niego naciska i czy aby na pewno jest do niego przyjaźnie nastawiona.

– Dlaczego u licha im powiedziałaś? – zapytał ostro. – Teraz całe miasto się o tym dowie.

– Właśnie dlatego to zrobiłam – rzekła spokojniej niż zwykle. – Im wcześniej każdy się dowie, tym lepiej. A teraz muszę się tu zatrzymać.

To sklep z kapeluszami i nie sądzę, byś chciał do niego wejść. Do widzenia, Allenie.

Zatem nie była jego przyjaciółką!

Do Josui przyszedł pierwszy list od Allena. Znów chodziła do szkoły, gdzie nikt o niczym nie wiedział. Ojciec oświadczył, że nie ogłosi jej ślubu, dopóki z Ameryki nie dotrą oficjalne dokumenty. List przyszedł, kiedy nie było jej w domu. Matka pokwitowała odbiór, sprawdziła nadawcę i wręczyła go mężowi. Ten włożył go do górnej szuflady biurka i przez dwa dni zwlekał z przekazaniem córce. Kiedy chodził do szpitala i zajmował się pacjentami, myślał o liście, lecz nawet go nie tknął. Ostatnio co dzień odwiedzał pana Matsuiego, miał on bowiem zapalenie pęcherzyka żółciowego, które zaostrzyło się po zjedzeniu krabów. Jego stary przyjaciel doprawdy znał miarę, lecz każdej jesieni czuł wewnętrzny przymus, by zjeść kilka krabów w zalewie winnej, była to bowiem potrawa, którą nadzwyczaj lubił. Czasami po krabach czuł się źle, czasami dobrze – wiele zależało od tego, czym one same się żywiły. Jednak tej jesieni okazały się złośliwe, gdyż poczuł się wyjątkowo fatalnie. Przez kilka dni doktor Sakai bardzo się niepokoił, Kobori zaś nie odchodził zbyt daleko od łóżka ojca. Kiedy chory w końcu poczuł się lepiej, syn nie tkwił już przy nim tak bezustannie, lecz przed wyjściem z domu pracował w gabinecie.

Pan Matsui był doprawdy wdzięczny, że nie umarł, i tak się wstydził z powodu swego corocznego nałogu, że oświadczył doktorowi Sakaiemu, iż dostał nauczkę i nigdy więcej nie zje krabów. W końcu poczuł się tak dobrze, że uprosił doktora Sakaiego, by przyszedł do niego w odwiedzinę tego dnia po pracy i spędził z nim trochę czasu na przyjacielskiej rozmowie. Doktor Sakai uczynił to pomimo zmęczenia, uważał bowiem, że i tak nigdy nie uda mu się odpokutować za to, jak jego córka postąpiła wobec rodziny Matsuich, i nie będzie w stanie okazać dość wdzięczności za ich wielkoduszność.

Kiedy usiłował o tym powiedzieć panu Matsuiemu, ten zaledwie uśmiechnął się i machnął prawą ręką.

– To nie są ważne sprawy – oświadczył. Nigdy nie pozwolił sobie na najmniejszy przejaw gniewu i mściwości w swym zachowaniu czy manierach. Być może kwestia ta nie była tak naprawdę istotna, niemniej jednak doktor Sakai był zbyt dumny, by o niej zapomnieć.

Tego dnia, kiedy późnym popołudniem siedział przy łóżku przyjaciela, poczuł nagłą chęć, by się zwierzyć. W domu panowała cisza, drzwi były pozamykane, a z powodu nasilającego się jesienno chłodu na środku pokoju stał opalany węglem drzewnym mosiężny piecyk na trzech nóżkach, który żarzył się i wydzieliał rozedrgane ciepło. Przez pomieszczenie z ledwie uchylonego okna płynął delikatny prąd powietrza i rozwiewał dym.

Pan Matsui leżał na materacu. Jego głowę i ramiona okrywała szara jedwabna krótka szata przewiązana pod pachami i spleciona na klatce piersiowej. Wyglądał prawie normalnie. Zniknął żółtawy odcień skóry, a jeszcze niedawno wykrzywiona z bólu twarz znów wyrażała spokój.

– Zawdzięczam ci życie.

– Wypełniłem jedynie swój obowiązek – odrzekł doktor Sakai.

– To coś więcej – upierał się pan Matsui. – Teraz spłacone są już wszystkie długi.

Doktor Sakai pojął te słowa i zrobiło mu się rażnie na sercu. Pochylił się i cicho przemówił:

– Muszę cię prosić o radę. Do mej córki przyszedł list, który leży teraz w moim biurku. Czy błędem będzie, jeśli go jej nie dam? Pragnę jej szczęścia, dlatego nadal żywię nadzieję, że odsunę ją od tego Amerykanina. Rozumiesz, dla jej własnego dobra. Jestem pewien, że w Ameryce będzie tak samo nieszczęśliwa jak ja.

Pan Matsui zastanowił się nad tym tylko przez wzgląd na ich przyjaźń. Już nie chciałby przyjąć do rodziny tej młodej kobiety, domyślał się bowiem, że małżeństwo zostało skonsumowane, a jedynie dziewica byłaby dla jego syna odpowiednią kandydatką na żonę.

– Uważam, że musisz dać jej ten list. Ostatecznie to twoja córka. Zgadzam się z tobą, lecz w rodzinie trzeba utrzymywać odpowiednie stosunki.

Doktor Sakai uklonił się dyskretnie, a pan Matsui natychmiast zmienił temat.

– Rozważam powiększenie holu w ceremonialnej herbaciarni. Wieczorem, kiedy Josui przyszła powiedzieć rodzicom dobranoc, doktor Sakai otworzył! szufladę biurka.

– To do ciebie. Przyszedł, kiedy nie było cię w domu.

Nie powiedział, kiedy dokładnie dotarł, lecz i ona o to nie zapytała. Ukłoniła się nisko ojcu, potem matce i pospieszyła do swojego pokoju. Och, list! Z początku nie mogła go otworzyć. Przyłożyła kopertę do policzków, piersi i ust. Dobrzeją obejrzała. Jej imię i nazwisko napisane było niezwykle wyraźnie: pani Allen Kennedy, a pod spodem: Josui Sakai (tak na wszelki wypadek), do tego adres: nazwa i numer ulicy, Kioto, Japonia, oraz połyskujące znaczki. Przyszedł pocztą lotniczą. A jaki drogi! Allen chciał, by błyskawicznie go otrzymała. Musi go uważnie przeczytać, lecz wpierw się umyje. Toteż list leżał na małej niskiej komódce, podczas gdy ona szykowała się do snu. Wdziała miękką jedwabną błękitnobiałą bieliznę nocną, uczesała i

splotła w warkocz włosy, nie wklepała jednak w skórę kremu z obawy przed zabrudzeniem listu. Wzięła nożyczki i ostrożnie przecięła kopertę, nie naruszając znaczków, po czym wyciągnęła kartki.

Czytała uważnie słowo po słowie, a każde było tak niezbędne, tak cenne. Usiłowała ujrzeć dokładnie to co on i uczyniła to na swój sposób – jej oczom ukazał się obraz złożony ze wspomnień o Los Angeles. Lecz w Wirginii wszystko było lepsze od tego, co pamiętała. Będzie musiała wysilić wyobraźnię, by ujrzeć faliste wzgórza, ogrody i pałac, który był jego domem, oraz najczulej pomyśleć o jego pokojach, gdzie pewnego dnia z nim zamieszka. Opisał jej wszystko – wielkie łóżko okryte atlasową narzutą w kolorze złocistego brązu oraz zasłony i pledy w identycznym odcieniu z odrobiną szkarłatu i jasnej żółci.

Mimo to twierdził, że to bardzo zwyczajny pokój, lecz jakże to możliwe? W salonie znajdował się kominek. Miał dla siebie – i dla niej – aż dwa pokoje, niebywale duże, niemal tak wielkie jak ogród państwa Sakaich. Było tam duże okno, całkowicie zapełnione książkami ściany obok kominka, fotele głębokie i tak szerokie – jak napisał – że zmieściliby się w jednym oboje naraz. Bezustannie czytała o pokojach, będą bowiem jej domem i musi je poznać, by po przeprowadzce czuła się jak u siebie. Jego rodzice mieli się dobrze. Jeszcze ich o niczym nie poinformował, jednak nie miała się czego lękać, gdyż byli dla niego życzliwsi niż kiedykolwiek. Powitają ją z radością, przede wszystkim przez wzgląd na niego, a dopiero potem przez wzgląd na nią. Musi zabrać ze sobą wiele pięknych kimon, naturalnie nie po to, by nosić je po ulicy, lecz w domu.

W końcu zgasiła światło i zwinęła się w kłębek pod kołdrą, po czym przycisnęła do piersi list i łkała cichutko przez długi czas, ponieważ była tak daleko, tak samotna i szczęśliwa.

Musiał powiedzieć rodzicom – teraz, natychmiast. Kiedy o nich myślał, miał na uwadze matkę, gdyż ojca, tego łagodnego mężczyznę, można było przekonać do każdej rozsądnej kwestii. Po rozstaniu z Cynthią wałęsał się bez celu. Pytanie zatem brzmiało: czy winien wpieryw poinformować ojca i liczyć na jego pomoc, czy też pójść do matki i opowiedzieć jej o wszystkim wprost i bez żadnych ceregieli, zakładając, że zaakceptuje to, co uczynił? Zastanawiał się nad relacjami, które łączyły rodziców, wiedział jednak intuicyjnie, jakie one są. Przez całe życie przy okazji mniejszych spraw dumał dokładnie nad pytaniem, które dziś sobie zadał. Kiedy był dzieckiem i poniekąd tchórzem, bądź też kiedy czegoś bardzo pragnął, a czuł, że nie zniesie odmowy, czasami szedł do ojca i razem rozmawiali z matką. W latach młodzieńczych dostrzegł, znów jedynie dzięki intuicji i doświadczeniu, że ojciec nie potrafił mu pomóc, ponieważ matka bywała wrogo nastawiona, jeśli prowadził rozmowę za jego pośrednictwem. Lepiej było – jak na przykład wtedy, kiedy jako student uniwersytetu w Charlottesville bardzo chciał mieć kabriolet – iść od razu do niej. Ojciec miał mnóstwo wątpliwości, przez co matka stała się niewzruszona.

– Uważam, że Allen powinien dostać ten samochód – oświadczyła wówczas. – Potrzebuje więcej niezależności.

Westchnął ciężko. No cóż, teraz również tego potrzebował. Pójdzie prosto do niej,

natychmiast, gdyż niebawem rozdzwonią się telefony, a jeśli nie zdąży jej o wszystkim sam opowiedzieć, jej stosunek do niego się ochłodzi.

Wbiegł po białych marmurowych schodach na dużą, podpartą filarami werandę, a stamtąd do domu, po czym zawołał:

– Matko, gdzie jesteś? – Lubiała, jak ją wołał.

– Tutaj! – Jej głos rozbrzmiał w oddali. – W szklarni.

Mieli staromodną ośmioboczną szklarnię, którą jego dziadek wybudował na tyłach lewego skrzydła domu. Obecnie łączyła się z jadalnią, która w tamtych czasach była częścią dawnej sali balowej. To zdaniem ojca niemodne i pretensjonalne pomieszczenie przebudowano później na bibliotekę i przedłużenie znajdujących się na dole salonów.

Matka pielila w kilku wielkich donicach z wysokimi paprociami, w jej odzianych w rękawiczki dłoniach lśniła mosiężna łopatka. Poranne promienie słoneczne oświetlały paprocie i posadzone w doniczkach chryzanterhy.

– Cóż za chryzantemy! – zawołał Allen. – Niemal tak duże jak w Japonii.

Nie okazała jednak zainteresowania tym krajem.

– Myślę, że powinniśmy urządzić potańcówkę. Każdy chce się z tobą spotkać. Co minuta dzwoni telefon.

Na wieść o tym natychmiast rzekł:

– Lepiej ci o czymś opowiem, nim to przekłete urządzenie zadzwoni po raz kolejny. Cynthia twierdzi, że już coś wiecie, lecz jak sądzę nie wszystko. Mówi, że żona pułkownika napisała do ciebie z potrzeby serca.

Matka wciąż starannie pielila ziemię pośród omszałych korzeni.

– Masz na myśli Japonkę?

– Tak.

– Och, nie bierz tego tak poważnie – rzekła najpogodniej, jak tylko potrafiła. – Wiem, jak to się stało. Byłeś bardzo daleko i jak sądzę, nie było tam żadnych miłych Amerykanek. Lecz teraz jesteś już w domu...

– Matko, poczekaj.

Spojrzała na niego i zobaczyła bladą twarz oraz ściągnięte i suche usta.

– Na co? Allenie, o co chodzi?

– Całkowicie mylisz się co do Josui. Tak ma na imię. To moja żona.

– Allenie Kennedy! – Wołała tak do niego od jego najmłodszych lat, zawsze wtedy kiedy był krnąbrny: gdy gryzł ją w pierś, kiedy rzucał zabawkami i błocił pierwsze ubranka, gdy wagarował w szkole i wyjął z jej portmonetki banknot jednodolarowy, wreszcie kiedy zapalił pierwszego papierosa i wrócił pijany z potańcówki.

– Matko, jesteśmy małżeństwem i chcę, by natychmiast tu przyjechała.

Odłożyła łopatkę i zdjęła rękawiczki.

– Chodź do biblioteki. Tam pomówimy.

– Matko, nie za bardzo jest o czym mówić. To fakt. – Mimo to podążył za nią i siedli po obu stronach kominka, w którym nie płonął ogień.

– Zatem mów – nalegała. Splotła dłonie, wysiliła się na pogodny ton głosu i na jej twarzy zagościł nieznaczny uśmiech, lecz w oczach... dostrzegł, że malowało się w nich rozczarowanie.

Opowiadał i wzbierał w nim gniew na siebie i na nią, że nawiedzają go upiory dawnego poczucia winy i dziecinnych grzechów, za które tak często rugała go właśnie w tym pomieszczeniu. Zawsze musiał przeproszać, mówić, że jest mu przykro, że to się już więcej nie powtórzy i że ją kocha. Procedura ta nigdy się nie zmieniała: wpierw następował wybuch jej gniewu i poczucie krzywdy, a potem akt przebaczenia i jego zapewnienie, że będzie dobrym chłopcem, ponieważ ją kocha.

Tym razem uparł się, że wybierze inną drogę – po prostu jej powie. Jeśli nie będzie chciała oglądać go więcej w swoim domu, zawsze może go o tym poinformować. Świat był wielki i nieraz już podróżował po jego odległych zakątkach.

Lecz ona zachowała się inaczej niż zwykle. Kiedy opowiadał jej o wszystkim, z wyjątkiem intymnych szczegółów tych najświętszych dwóch nocy spędzonych z Josui, musiał przyznać, że matka zachowuje się bardzo wielkodusznie. Słuchała i nie gniewała się, pomimo że była bardzo wstrząśnięta. Wyraźnie widział, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę, przez co niechętnie złagodniał. Już wolałby wybuch jej gniewu, by mógł utwierdzić się w słuszności własnego.

– Szybko pokochasz Josui – rzekł i wnet znienawidził dźwięk swego niemal błagalnego głosu. – Matko, ona tak naprawdę nie przypomina Japonki. Pięknie mówi po angielsku i zna nasze zwyczaje.

– Powiedziałaś, że w jej żyłach płynie tylko japońska krew?

– Tak, lecz na świat przysłała w Kalifornii. Mówiłem ci już o tym? Mówił, lecz chciał wspomnieć jeszcze raz.

– Zatem wygląda jak Japonka?

– Matko, oni nie mają ciemnej skóry. To znaczy, zupełnie nie przypominają tutejszych kolorowych.

– No, na pewno nie są biali – stwierdziła nieco szorstko. Nie potrafił na to odpowiedzieć, toteż na chwilę zapanowało między nimi milczenie, po czym matka przemówiła tym samym tonem:

– To takie osobliwe. Jeszcze nie tak dawno walczyliśmy z nimi, byli naszymi wrogami, a teraz prosisz mnie, bym przyjęła tu Japonkę.

– Matko, rozumiem, że tak to oceniasz, i przyznaję, ja również podchodziłem do tego w podobny sposób. Nim naprawdę poznałem Josui, czasami o tym myślałem i zastanawiałem się, dlaczego nie porównuję jej z... innymi. Oto odpowiedź: bo jej nie da się porównać z nikim, kogo kiedykolwiek poznałem. Ona jest po prostu sobą, kobietą, którą miłuję i którą uczyniłem swą żoną. Tak się składa, że jej przodkowie pochodzili z kilku wysp Wschodu, a nie Zachodu, lecz równie dobrze mogła przyjść na świat w Anglii.

– Nasi stamtąd pochodzili.

– Jedynie z kilku wysp – powtórzył, po czym coś mu się przypomniało i uśmiechnął się cierpko. – Matko, jej ojciec myślał dokładnie to co ty. Nie chciał mnie na zięcia, ponieważ jestem biały.

To jej jednak nie zainteresowało. Nie potrafiła wyobrazić sobie doktora Sakaiego, a Allen, wciąż zamyślony, patrzył na szkarłatny dywan.

– Pani Sakai to bardzo poczciwa kobieta – przemawiał dalej.

– Prawdziwa Japonka... jedna z tych uwiecznionych na fotografiach oblubienic...

Matka nagle uniosła głowę.

– Uwiecznionych na fotografiach oblubienic? Żałował, że o tym powiedział.

– Och, to było dawno temu. Nasze prawo imigracyjne zakazywało Azjatkom przyjazdu, toteż mężczyźni musieli wybierać sobie żony z fotografii kobiet przebywających w Japonii i żenić się per procura czy coś w tym rodzaju.

– Zatem nawet w Japonii nie mogła pochodzić z dobrej familii – rzekła chłodno, lecz nadal nie wykazywała zainteresowania.

Pochylił się, opierając łokcie na kolanach, i usiłował się uśmiechnąć, przyglądając się jej twarzy w poszukiwaniu promyka światłości.

– Cóż więc, matko?

Ich spojrzenia znów się spotkały.

– Skoro twierdzisz, że to fakt...

– To fakt – rzekł stanowczo.

– Problem w tym, że...

– W czym, matko?

Nie chciała jednak dokończyć.

– Nie, w niczym, to tylko absurdalna myśl.

– Ależ, matko...

W tej chwili zawołała z wielką pasją:

– Nie, Allenie, zostaw mnie na chwilę samą. Muszę powiedzieć ojcu. To będzie dla niego cios. Myśleliśmy, że ożenisz się z jakąś tutejszą kobietą, mieliśmy nadzieję, że z Cynthią. Marzyliśmy, że nasze wnuki będą biegały po tym domu, jest taki duży. Nigdy nie miałam tyle dzieci, ile bym chciała. Wiesz, że nie mogłam.

– Matko, ależ my będziemy tu mieli dzieci – powiedział na pocieszenie i wnet uświadomił sobie, że popełnił potworny błąd, gdyż dopiero teraz straciła nad sobą panowanie.

– Och nie, Allenie! – wykrzyczała i zerwała się na równe nogi.

– Matko! – zawołał zatrwożony i również się zerwał, by ją objąć. Wpadła w jego ramiona zapłakana i już żadne słowo nie powstrzymałoby jej przed tym strasznym szlochem. Nigdy nie widział, by płakała, nie wykorzystywała przeciwko niemu łez, i wiedział, że nie używa ich w swojej obronie. Trzymał ją za rękę i bezustannie szeptał:

– Matko, nie! Zobaczysz...

Lecz wyrwała się z jego objęć i pospiesznie wyszła z pokoju.

Kiedy pan Kennedy wracał przez miasto ze spokojnego spaceru, wiedział, że atmosfera w jego domu została zakłócona. Poranny spacer był nawykiem wyrobionym po śmierci jego ojca, który zostawił mu, jedynemu spadkobiercy, majątek pomnożony w handlu bawełną w Nashville, w stanie Tennessee, i hodowli koni w Kentucky. Każdego poranka tuż po zjedzeniu późnego śniadania pan Kennedy odwiedzał kilku przyjaciół, lecz nigdy tych samych dzień po dniu, i dzięki temu, że niewiele mówił i dużo słuchał, był najlepiej poinformowanym człowiekiem w hrabstwie. Kilka razy w roku wybierał się w podróż do rozmaitych części kraju, by dowiedzieć się, co mówią i myślą inni ludzie. Jego wiedza ogólna predestynowałaby go do kandydowania do Kongresu, a nawet senatu, jednak nie miał zamiaru wykorzystywać tych informacji bądź ich komukolwiek przekazywać. Gdyby wychował się w innej rodzinie, zostałby profesorem filozofii, lub – gdyby był ze słowem pisanym za pan brat – poetą. Tymczasem był on życzliwym człowiekiem, istną skarbnicą wiedzy, którą rzadko zgłębiano, a z której w głębi duszy niebawem się cieszył.

Jego chłonna natura była tak wrażliwa, że z chwilą, kiedy około południa tego przyjemnego dnia przekroczył próg domu, wyczuł, iż coś jest nie tak. Cicho podszedł do szafy wnekowej, powiesił szare palto i kapelusz, a laskę wrzucił do dużej błękitnej porcelanowej chińskiej wazy, która stała w rogu przedpokoju. Niemal natychmiast usłyszał dobiegający z góry odgłos kroków syna, który schodził teraz na dół.

– Cieszę się, że wróciłeś do domu – powiedział Allen, biorąc ostatni zakręt na ogromnych schodach. – Już sam nie wiedziałem, gdzie mam cię szukać. Obawiam się, że strasznie zdenerwowałem matkę, gdyż zamknęła się w pokoju na klucz.

Poszedł do pustego salonu i siadł.

– Spodziewałem się, że prędzej czy później to się stanie. Już od jakiegoś czasu wiedzieliśmy, że miałaś w Japonii osobiste sprawy. Pułkownik...

Rozpalony ze zniecierpliwienia Allen przerwał mu:

– Ojciec, matkę zdenerwowało to, że poślubiłem Josui Sakai. – Przysiadł na poręczu dużego aksamitnego fotela, nieświadomie łamiąc jedną z pierwszych poznanych w dzieciństwie zasad.

Duża blada twarz pana Kennedy'ego o obwisłych policzkach delikatnie poróżowiła. Miał piękną gładką cerę i jasno-piaskowy zarost, który gładko golił, zostawiając jedynie maleńką kosią bródkę pod obwisłą wargą. Powieki jego jasnoszarych oczu były woskowe i do połowy przymknięte, lecz uniósł je, kiedy Allen mu przerwał.

– Synu – rzekł z wyrzutem – trzeba było nas uprzedzić.

– Nie przypuszczałem, że ożenię się tak błyskawicznie. Nagle uznałem ten pomysł za bardzo słuszny, zresztą nadal tak uważam. Josui pochodzi z dobrej rodziny, ja zaś nie jestem typem mężczyzny, który mógłby zaoferować jej coś innego, przynajmniej tak sędzę. Być może moją uwagę za bardzo przykuła jakaś inna sprawa i odszedłem od zmysłów...

Pan Kennedy nie odpowiedział. Relacje między nim a synem były bliskie i zupełnie przyziemne i nie było w nich miejsca na sentymenty.

– Jaka ona jest? – Jego duże blade dłonie spoczywały na poręczach fotela i wyglądały osobliwie bezradnie, jak gdyby nigdy nie napracowały się zbyt dużo, co zresztą było prawdą.

– Matka polubi Josui, jeśli tylko zechce w to uwierzyć – Allen użył kolejnego argumentu. – Ojciec, prawda jest taka, że jestem szczęściarzem. Zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia. Mogła być jedynie śliczną dziewczyną, a okazała się kimś więcej.

– Jak długo ją znasz? – zapytał pan Kennedy.

– Krótko, lecz to wystarczy, by stwierdzić, że mamy przed sobą jeszcze wiele do odkrycia.

Allen wstał i począł spacerować po pokoju. Wtem, nie patrząc na ojca, rzekł:

– Nie potrafię ci powiedzieć, dlaczego i jak to się stało. W tym roku strasznie dużo pracowałem, zwłaszcza po zmianach w dowództwie. Pewnego dnia kilku kolegów oświadczyło, że zamierzają wziąć parę dni urlopu, by zwiedzić Kioto i Narę, a ja uświadomiłem sobie, że od miesięcy nie miałem wolnego dnia, toteż pojechałem z nimi. Przypadkiem zobaczyłem, jak Josui przechodzi przez szkolną bramę. Myślę po prostu, że spojrzeliśmy na siebie we właściwej chwili. Bóg raczy wiedzieć! Mogłem przejść, nie oglądając się za siebie, lecz nazajutrz wróciłem tam o tej samej porze i się spotkaliśmy. Mówię ci, tu chodzi nie tylko o to, że jest śliczna, lecz również o to, że ma w sobie tę odrobinę niezwykłości, która wpłynęła na moją świadomość. Jest inna niż wszystkie kobiety, jakie kiedykolwiek poznałem. Być może dlatego, że jest Azjatką, ale skąd mam to wiedzieć? Byłem tam trzy lata i wryło mi się to w duszę. Słyszałem, że to się zdarza i wówczas mężczyzna nie jest w stanie ożenić się z Amerykanką.

Z rozchylonymi dużymi bladymi ustami pan Kennedy wyglądał na bezsilnego, lecz bynajmniej taki nie był. Słuchał i myślał. Doskonale wiedział, co Josephine, jego mała cesarzowa, z tego wszystkiego pojęła. Rozumiał również, co mówił jego syn, bo czyż mężczyźni z Południa nie wiedzieli o tym od zawsze? Ich białe żony pozwalały im posuwać się bardzo daleko, lecz nie dalej niż do pewnej granicy, wszak ich wewnętrzna władza była równie niekontrolowana co pływy morza.

– Matce to się nigdy nie spodoba – rzekł bezbarwnym głosem. – Nie miałyby nic przeciwko tamtej sprawie. Myślę, że nasze kobiety do tego przywykły. Ale to jest naprawdę coś: młoda dziewczyna, która, co istotne, nie jest biała, ma przybyć tu jako jej synowa. Nie wiem, czy ona to zniesie. Lepiej pójdę na górę.

Dźwignął się na dużych, wiotkich dłoniach i ciężko podreptał ku schodom, po czym stąpając zdecydowanie, powoli wszedł na górę. Dotarł do drzwi sypialni żony i delikatnie szarpnął za klamkę.

– Złociutka, otwórz! – zawołał.

Zaczekał i po kilku chwilach usłyszał odgłos kroków, a kiedy drzwi się otworzyły, wszedł i przytulił ją z cierpliwą poufałością. Oparła mu głowę na ramieniu, a on pogłaskał ją po włosach.

– Powiedział ci? – wymamrotała prosto w jego marynarkę.

– Tak, złociutka.

– I cóż teraz poczniemy?

– Złociutka, zawsze mówię, że najlepszym wyjściem jest nic nie robić. Po prostu zostaw sprawy własnemu biegowi.

– Ale on ją tu sprowadzi!

– Będziemy musieli pozwolić na jej przyjazd.

– O nie!

– Cóż, skoro nie, to przynajmniej już coś mamy. Sądzę zatem, że Allen wyprowadzi się z domu i urzędzą się gdzieś indziej.

Westchnął, kiedy go odepchnęła i poczęła spacerować po pokoju, masując skronie chusteczką rzeświście skropioną wodą kolońską.

– Głowa mi pęka.

– Tego się obawiałem.

Ostrożnie siadł w niskim różowym fotelu obitym taftą, stanowczo dla niego zbyt małym. Było mu niewygodnie, lecz w tym pokoju był to jedyny fotel, w którym mógł spocząć.

Czekał, podczas gdy ona delikatnie pocierała skronie. Miłował ją, gdyż wiedział, że pomimo swej drażliwości, zaborczości i władczego zachowania jest dobrą kobietą i żoną i że w takich jak ona tkwi siła narodu. Gdyby wszyscy byli tacy jak on, zaginąłby wszelki ład, a może nawet przyzwoitość, w domu zaś panowałby bałagan i każdy używałby sobie na mieście. Żałował, że małżonka nie potrafi miłować go nieco namiętniej, lecz nie można mieć jednocześnie dobrej żony i kochanki. Gdyby był energiczniejszy, uległby pokusom tak jak inni mężczyźni, lecz było to zbyt kłopotliwe. Kochał spokój, który poniekąd odnajdował w domu.

– Złociutka – zaczął łagodnie – jesteś zbyt silną kobietą, by znosić to w ten sposób. Wiem, jak się czujesz. Sam czuję się podobnie. W sumie chciałem, by to Cynthia była matką naszych wnuków, lecz nasz chłopiec pragnie czegoś innego. Nie da się tego cofnąć. Musimy to zaakceptować. Zastanówmy się, cóż możemy począć, by nam się to udało.

Mięła chusteczkę, wiążąc na niej supelki i znów je rozwiązując, a jej zarumieniona, wciąż prześliczna twarz, okolona siwiejącymi nieco loczkami, pochylała się nad tą nerwową czynnością.

– Jakże może nam się to udać? – zapytała gwałtownie. – Tom, małżeństwo to coś więcej niż dwoje ludzi. To budowanie rodziny, a im nie wolno mieć dzieci. Po prostu nie wolno!

Nie odpowiedział, ale zdawał sobie sprawę z tego, co ma na myśli. Wizja biegających po ich domu małych dzieci, w których w połowie płynie japońska krew, naprawdę mogła wytrącić z równowagi.

– Być może nie zdecydują się na nie – rzekł mało przekonująco.

– Wiesz, że to nieprawda – zripostowała. – Nie czytałeś o ich przyroście naturalnym? Te wszystkie Azjatki mnożą się jak króliki. Nie, temu trzeba zapobiec.

Był zbyt delikatny wobec kobiet, by zapytać wprost, co ma na myśli, toteż nic nie

powiedział. Twarz tego przemęczonego postawnego mężczyzny była piaskowosrebrna jak jego kozia bródka, brwi i włosy.

– Trzeba Allenowi przemówić do rozsądku. Musi pojąć dla swojego własnego dobra, że tak być nie może.

– Ale skoro się ożenił... – zasugerował.

– No to niech się teraz rozwiedzie.

Opuściła chusteczkę i ujrzał na jej twarzy jaśniejące spojrzenie, promieniejącą nadzieję, pomysł.

– Tom, a może oni tak naprawdę się nie pobrali!

– Złociutka, on twierdzi zgoła co innego.

– A może jednak nie. W każdym razie czymże jest buddyizm? To nie jest prawdziwa religia, a świątynia to na pewno nie kościół... tam jest pełno bożków. Ci Japończycy prawdopodobnie go wykorzystali.

Teraz zaczął jej współczuć.

– To dla Allena nie będzie miało żadnego znaczenia, pragnie bowiem wierzyć, że się z nią ożenił.

– Jeszcze nie... ale czekaj. Kiedy pojmie, że tak dłużej być nie może... Och, Tom, jak możesz myśleć o skośnookiej kobiecie przechadzającej się po naszym domu czy mieście?! Któż ją zaprosi na przyjęcie? To będzie nasz koniec.

Była zdolna do wszystkiego – nieważne, czy to byłoby dobre, czy złe.

– Złociutka, nadal uważam, że jako tak wpływowa kobieta mogłabyś sobie z tym poradzić. Jeśli zrobisz dobrą minę do złej gry, w mieście przychylniej na ciebie spojrzą.

Pokręciła głową, zagryzła drżące wargi i poczęła poprawiać fryzurę, by nie mógł patrzeć jej w twarz.

– Tom, nie potrafię. Będę musiała udawać... a potem spróbuję przekonać Allena, by spojrzał na to z mojego punktu widzenia.

Wstał.

– No cóż, ja dałem ci radę, a ty rób, co chcesz, ale złociutka, powiem jeszcze jedno: nie zapominaj, jaki jest nasz syn.

Wyszedł powolnym krokiem. Czuł, że najbardziej na świecie pragnie teraz napić się mocnej szkockiej.

Przyrządził drinka, siadł na położonej od frontu werandzie i zaczął go powoli sączyć. Zastanawiał się nad problemami, które osaczały każdego, kto pozwał, by pragnienia, normy, opinia publiczna, pozycja społeczna i całe to powszechne domaganie się człowieczeństwa nabierały jakiegokolwiek osobistego znaczenia. Gdyby pojawiła się w domu mała japońska istotka, żyłby tak jak dotychczas. Nie mogła uczynić nic, co by go zdenerwowało. Skoro nie potrafił uszczęśliwić ani żony, ani syna, przynajmniej sam będzie szczęśliwy, a do tego wystarczy mu wartość duchowa smakowitych potraw, zregenerowana wątroba, najwygodniejsze

łóżko w kraju i umiejętność przesypiania całej nocy. Świadom był, że unika pewnych pobudzających emocji, lecz bynajmniej nie miał ochoty być teraz pobudzany.

Tymczasem cieszył się, że syn przekazał już złe wieści i że małżonka stawiała im czoła, pomimo że nie był jeszcze pewien, jakie będą tego konsekwencje. O ile ją znał, nie będzie chciała więcej o tym rozmawiać, tylko ułoży sobie jakiś plan i przystąpi do jego realizacji, on zaś pozna go prędzej czy później, lecz zapewne dopiero wtedy, kiedy będzie już za późno, by mógł cokolwiek uczynić. Zbyt dobrze ją wychowano, by tolerowała w domu atmosferę wrogości, toteż kiedy zejdzie wieczorem na obiad, znów będzie sobą, a że Allen wiele po niej odziedziczył, prawdopodobnie i on będzie zachowywał się tak jak zawsze. Czas szybko leczy rany i pomaga spojrzeć na problem innymi oczyma, zatem być może chwilowe obcowanie z nowym faktem przeistoczy się w oswojenie się z nim do końca życia. Kto wie? Może nawet przywykną do skośnych oczu...

Kiedy Allen wyszedł z domu, zobaczył pogrążonego w półśnie ojca i stojącą na podłodze pustą szklankę. Pan Kennedy zbudził się na dźwięk kroków i ujrzał syna z walizką w dłoni, kapeluszem na głowie i przewieszonym przez rękę paltem.

– Wyjeżdżam na kilka dni – rzeki do ojca. Ten ledwie otworzył senne powieki.

– Dokąd się wybierasz?

– Do Waszyngtonu.

– Po co jedziesz do tego piekła?

– Może popytam o pracę. I chcę się dowiedzieć, jak załatwić natychmiastowy przyjazd Josui.

– Mówiłeś matce?

– Nie, ale pożegnaj ją ode mnie, dobrze? Prawdopodobnie nie będzie mnie zaledwie kilka dni. Jeśli dostanę pracę, wrócę po swoje rzeczy.

– Dobrze, synu.

Pan Kennedy przymknął oczy, lecz Allen zawahał się.

– Jak się czuje matka?

– Dojdzie do siebie – odrzekł ojciec ospale. Whisky zawsze go usypiała.

Patrzył, jak syn wsiada do samochodu, o który skrupulatnie dbali przez te wszystkie lata, kiedy go nie było, po czym zapadł w głęboki sen.

Pani Kennedy nigdy nie godziła się na to, co nieuniknione – nie godziła się i nigdy w to nie wierzyła. Nie miała żadnej powiernicy wśród wielu przyjaciółek, z których każda uważała, że jest jej na tyle bliska, by wiedzieć o wszystkim, co Josephine myśli i robi. Z pewnością nigdy nie mówiła mężowi nic ponad to, co według niej powinien wiedzieć, a on był jej za to bardzo wdzięczny. Przeraziłaby go dogłębna znajomość serca i mentalności tej upartej kobiety. Pani Kennedy podejrzewała, że jej mąż jest zadowolony z tego, iż wie możliwie najmniej, i że być może solidaryzuje się z niewinną Japonką, która liczyła na to, że przyjedzie do jego domu. Skrywał w sobie tę solidarność – o ile w ogóle zwracał na nią uwagę – jak odrobinę przekory, nie bowiem nie mógł w tej kwestii począć prócz potajemnego wspierania Allena. Mężczyzn bardziej

kształtował bunt niż miłość. Czasami pani Kennedy myślała, że jest on silniejszy. No cóż, ona również mogła się zbuntować...

Kiedy nie było Allena, życie toczyło się w domu niemal tak jak zawsze, a pan Kennedy przywykł do przyjemnego głosu żony, która tak oto opowiadała przez telefon: „Och, moja droga, nie traktujemy tego poważnie! Sama wiesz, jak matki muszą liczyć się z wybrykami swych chłopców – nie można na to nic poradzić, a na domiar złego dochodzi jeszcze ten niefortunny aspekt wojny. Nie, tak naprawdę nie jest żonaty! Myślę, że wzięli udział w jakiejś ceremonii zaręczyn w świątyni buddyjskiej, ale szczerze wątpię, czy ma to tutaj jakiegokolwiek znaczenie. W każdym razie teraz o tym nie rozmawiamy”.

Piękne dni upływały jeden za drugim. W ogrodzie zakwitły ostatnie róże, które nigdy nie były tak duże ani tak barwne jak te wiosenne, roztaczały za to więcej woni. Od czasu do czasu Allen przysyłał kartki pocztowe, w których za każdym razem oznajmiał, że niebawem wróci do domu po resztę kufrów, jednak nie przyjeżdżał. Zupełnie nie pojmował, dlaczego wszędzie natyka się na przeszkody. Waszyngton to labirynt, w którym czuł się zagubiony. Na razie mógł żyć jedynie nadzieją, która być może rychło zostanie rozwiana.

Podczas posiłków pani Kennedy z obojętnym wyrazem twarzy czytała mężowi kartki. Wysłała pocztą lotniczą listy do przebywającej w Tokio żony pułkownika, w których wyrażała wdzięczność za przestrogi i prosiła o pomoc.

„Czy to możliwe – nalegała – by wysłano Allena do Europy? To byłoby najlepsze rozwiązanie. Gdyby dało się natychmiast go odesłać, nim zdąży załatwić dziewczynie przylot, wszyscy bylibyśmy uratowani”.

Dlatego w Waszyngtonie Allen natykał się na osobliwe i zagadkowe przeszkody, kiedy tak chodził od departamentu do departamentu. Niemal od razu załatwił, że nie musi wracać do Japonii – to było dość łatwe. Otrzymał również nieoczekiwaną propozycję wyjazdu do Europy, gdzie zająłby się dokładnie tym samym, co robił w Japonii.

Doceniono jego niezwykłą umiejętność sporządzania analiz sytuacji politycznej w innych państwach i wyglądało na to, że jakieś sąsiadujące z Niemcami kraje takich potrzebują.

Zachęcał go do tego przebiegły, lecz nieco niedouczony oficer:

– Potrafi pan klarownie pisać, a większość absolwentów college'u nie umie nawet tego. Kiedy czytam napisane przez pana dokumenty, od razu wiem, o co chodzi.

– Dziękuję – powiedział Allen i postanowił, że nigdy nie polecą do Europy, a przynajmniej nie przed przyjazdem Josui, która mogłaby mu towarzyszyć. Europa to inny świat, a on i tak żył w zbyt wielu.

Wrócił do domu gotów zawrzeć ugodę. To było zrozumiałe, że dano mu czas do namysłu i że w związku z tym dostał nieoficjalny urlop na tak długo, jak będzie tylko potrzebował. No cóż, wyglądało na to, że skoro nie chciał polecieć do Europy, nie było nic dla niego w Waszyngtonie. Przetrawił tę wiadomość z niedowierzaniem i podejrzliwością. Odnosił wrażenie, jakby ktoś działał przeciwko niemu, lecz nie posądzał o to pułkownika, który z pewnością chciałby go z

powrotem w Japonii. Z kolei nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek inny mógł dotrzeć aż do Waszyngtonu. W każdym razie kiedy jechał przez żyzne czerwone pola Wirginii, postanowił sobie, że natychmiast sprowadzi Josui. Przynajmniej tyle mógł uczynić, gdyż podczas pobytu w Waszyngtonie udało mu się załatwić sprawy związane z jej przylotem. Nic nie stało temu na przeszkodzie, ponieważ przyszła na świat w Ameryce. W jego głowie kołatały się głoszone przez proboszcza fragmenty zapomnianego Pisma Świętego, których jako niespokojny chłopiec tak niechętnie słuchał w kościele. Święty Paweł stanął przed wysokim rzymskim urzędnikiem jako wyrzutek i też się sprzeciwił. „Wielkim kosztem – rzekł wyniośle urzędnik – odkupiłem swą wolność. Ależ ja – powiedział święty Paweł i dumnie uniósł głowę – przyszedłem na świat jako wolny człowiek”.

Również Josui, tak jak Allen Kennedy, przyszła na świat jako wolny człowiek. W obliczu prawa była Amerykanką i zamierzał uparcie obstawać przy tym niezmiennym fakcie.

Kiedy pewnego wieczoru wrócił do domu, pora wciąż była na tyle wczesna, że zastał w salonie rodziców przy partyjce szachów. Oboje byli dobrymi szachistami, lecz matka grała nieco lepiej, ponieważ zawsze chciała wygrać, ojcu zaś niezbyt na tym zależało.

– Dzień dobry, mistrzowie – rzekł Allen, wchodząc.

Spojrzeni zdumieni i zadowoleni, jednak matka, jak zauważył, była pełna rezerwy. Mimo to nie pozwoliła, by jej odczucia niekorzystnie wpłynęły na serdeczność powitania. Wstała impulsywnie, pocałowała go w policzki i obiema dłońmi uczepiła się jego ręki.

– Och, cieszę się, że już wróciłeś. Kochanie, mam nadzieję, że nie udało ci się znaleźć pracy... przynajmniej na razie! Dom wydaje się bez ciebie taki pusty.

– Cóż, nie udało się, a raczej odrzuciłem pewną propozycję. Wyobraź sobie, że zaproponowano mi wyjazd do Europy! Dlaczegoż miałbym tam polecieć i zmarnować wszystko, czego nauczyłem się w Azji? Kto wygrywa? Założę się, że ty!

– Usiądź – rzekł ojciec – i powiedz, co mam robić. Królowa jak zwykle mnie osaczyła.

– Och, sza – zawołała matka. – Allen jest głodny. Synu, jadłeś obiad?

– Ani kęsa. – Poweselał, spostrzegłszy, że nie zamierzają być dla niego surowi. Matka usiłowała mu to przekazać na swój zawaolowany sposób. Nigdy nie mówiła, że jest jej przykro, nie potrafiła, lecz miała na to inną metodę. Odprężył się i nagle poczuł przemęczenie. Na świecie wszystko było skomplikowane i zawile i miało jednocześnie sto rozwiązań, ale przynajmniej tutaj życie toczyło się tak jak zawsze. Mała Josui wcale by go nie zakłóciła, gdyby wśliznęła się tu przez drzwi. Dopóki żyli rodzice, dzierżyli władzę i stali na straży spokoju, lecz to on zajmie ich miejsce, kiedy odejdą. Dzięki silnej woli i determinacji zachowa ten dom takim, jaki jest i zawsze był. Świat bez końca, amen...

Josui czytała list tak jak zawsze: wpierv go przekartkowała, zastanawiając się nad każdym miłosnym słowem, to one były bowiem najistotniejsze, następnie go przeanalizowała, by zrozumieć wszystkie fragmenty wiadomości, każdy opis i wskazówkę, po czym jeszcze kilkakrotnie w ciągu dnia oddawała się lekturze, by czuć bliskość Allena. Ich umysły

porozumiewały się, serca zaś dotykały. To dzięki listom go poznała. Osobliwe, jak bliskość ciał stała na przeszkodzie wzajemnemu poznaniu się! Kiedy była w jego ramionach, ba, wystarczyło zaledwie, że szedł ku niej, jej umysł zamierał, a myśli pierzchały. Lecz to dzięki umysłowi mogli być ze sobą pomimo dzielącego ich morza. Ich myśli swobodnie płynęły, a oni coraz lepiej się znali.

Przez te wszystkie tygodnie rozłąki poczęła widzieć go takim, jaki był naprawdę. Okazał się nie tak silny, jak z początku sądziła, i poniekąd był zależny od rodziców. To ją zdumiało, gdyż dotąd uważała, że młodzi Amerykanie są zupełnie wolni od swych rodzin i czynią to, na co mają ochotę. Nie wymagano ani nie okazywano posłuszeństwa. Pomimo to pojęła, że stawia się przed nimi jakieś wymagania. To matka miała decydujący głos u niego w domu, a nie – jak u niej – ojciec. Dużo nad tym rozmyślała. To nie ojcu Allena musi się spodobać, lecz jego matce. Cóż, to było zrozumiałe, gdyż nawet w Japonii teściowa mogła uszczęśliwić bądź zasmucić młodą żonę. Mąż przysłał jej niewielkie fotografie domu i rodziców, którym często i długo się przyglądała. Siegała po lupę przyniesioną z lekcji biologii i przypatrywała się rysom i wyrazom twarzy dwojga starszych ludzi. Należała do starego narodu i odziedziczyła pewną mądrość, toteż dzięki tym długim medytacjom poznała jego rodziców zdumiewająco dobrze. Niepokoiła ją dziewczyna o imieniu Cynthia, która jako pierwsza dowiedziała się o ich ślubie. Niegdyś Allen żywił nadzieję, że zostaną przyjaciółkami, lecz teraz nie przysłał jej zdjęcia ani o niej nie wspomniał.

Jego listy dotyczyły jedynie przyjazdu Josui, lecz dopiero w ostatnim wyraźnie napisał, by przyleciała, i przede wszystkim dołączył do niego bilet lotniczy. To był skarb. Dokładnie obejrzała każdy jego fragment i przeczytała każde słowo. Był tak prosty i zarazem tak cenny. Zezwolenie na przekroczenie bram rajy. Wskazówki Allena były klarowne. To nic trudnego. Paszport już miała i musi załatwić jeszcze wizę, po czym wsiądzie w Tokio do samolotu. Allen zaś przyjedzie po nią samochodem do San Francisco i spędzą swą podróż poślubną na przemierzaniu jego wielkiego kraju.

Przeczytała list kilka razy i poszła poszukać matki, a kiedy wieczorem ojciec wróci do domu, razem mu o wszystkim opowiedzą. Zobaczyła, jak dokarmia pływające w niewielkiej sadzawce złote rybki o wachlarzowatych ogonach i powoli mąci wodę bambusowym patykiem, by je delikatnie zbudzić. Zachowywały się niemrawo z powodu zimna, było jednak jeszcze zbyt wczesnie, by skryły się w błocie.

Odziana w srebrzysto-błękitne kimono matka kuciała w ogrodzie, oświetlona promieniami słonecznymi mglistego poranka. Ten widok oczarował Josui niczym niespodziewanie znaleziona rycina. Jakże będzie tęsknić za tą drobną istotą! Jakoś nie pomyślała o tym, kiedy tak bardzo pragnęła być z Allenem. Jej nieśmiała matka nierzadko milczała, a jej obecność częstokroć była niezauważana, lecz kiedy Josui pomyślała o życiu z dala od niej, poczuła opór, który niemal zadawał jej ból. Uklękła przy niej na obumierającej trawie i postanowiła chwilowo nie wyjmować listu z zanadza.

Rybki wymykały się spod kamieni i machały szerokimi, pokrytymi puszkami ogonami i

płetwami, nie dbając o pożywienie.

– Są śpiące – rzekła Josui.

– Wiedzą, że niebawem nadejdzie zima.

Pochłonięta karmieniem rybek matka nie patrzyła na Josui, lecz po chwili podniosła wzrok na wpeł przestraszona, jak gdyby wiedziała, że córka przyszła do niej w jakimś celu.

– Coś się stało?

– Tak – powiedziała Josui i wyjęła list. – Przesyła bilet i chce, bym przyleciała. – Wyciągnęła go i wręczyła matce, a ta obracała go, nie będąc w stanie nic przeczytać, po czym oddała wszystko wraz z kopertą. – Cóż powie ojciec? Nigdy do końca w to nie wierzył.

– Teraz będzie musiał. – Pani Sakai wstała i mocno zakręciła mały słoik z pokarmem dla rybek.

Patrzyły na wodę. Nagle rybki ożywiły się, kiedy skosztowały pożywienia. Zdążyły już o nim dawno zapomnieć, lecz teraz przypomniały sobie, jak bardzo je lubią. Miały jeszcze trochę czasu na posiłek, nim zapadną w sen zimowy.

– Upłynie dużo czasu, nim znów cię ujrzę – rzekła matka. – Być może widzę cię po raz ostatni. Ojciec powiedział, że nigdy nie poleci do Ameryki.

– Odwiedzę was – obiecała Josui i wsunęła piąstkę w jej dłoń, jak to zwykła czynić, kiedy była mała.

– Jeśli dziecko przyjdzie na świat... – zaczęła matka i przerwała. Dziecko! Jakie ono będzie? To nieuniknione, że przyjdzie na świat, lecz czy tego pragnęli? Każda kobieta zadawała sobie to pytanie. Czy ludzie, którzy się miłują, mogą nie mieć dziecka? Pani Sakai wiedziała, że jest pewien rodzaj miłości, której sama nigdy nie doświadczyła, a której magię widziała w Josui. To dzięki niej odczuwała jej potęgę, zmienną energię, która przeistoczyła jej córkę w kobietę gotową opuścić swych rodziców. Sama jej nie odczuwała, a jednak kiedy rodzice posłali ją do Ameryki, by poślubiła mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie widziała, pojechała bez słowa sprzeciwu. Takie było jej przeznaczenie. Josui miała większe szczęście niż ona, poleci bowiem do mężczyzny, którego zna. Lecz czy Japonka mogła tak naprawdę poznać Amerykanina? Czas pokaże. Ostatecznie Sakai był Japończykiem takim jak inni (choć okazał się od nich lepszy), toteż wiedziała, że jej dzieci również będą czarnowłosymi i czarnookimi Japończykami o złocistej skórze. Lecz skąd Josui mogła wiedzieć, jakie będzie jej dziecko? Mogło nawet mieć jasne oczy po ojcu. Cóż zatem począć? Zdumiała ją taka możliwość, co Josui natychmiast wyczytała z jej twarzy.

– Matko, o co chodzi?

– Przyszła mi do głowy pewna myśl – odrzekła oszołomiona pani Sakai. – Josui, właśnie sobie o czymś pomyślałam!

– O czym, matko?

– O Amerykankach... one nigdy nie wiedzą, jaki kolor oczu i włosów będą miały ich dzieci! Czyż to nie kłopotliwa sytuacja?

– Matko, czy to powinno mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie?

– Myślę, że tak – z ogromną troską powiedziała pani Sakai. – Josui, dla mnie miałyby to znaczenie, gdybym cię ujrzała, a twoje oczy nie byłyby czarne. Jakże mogę czuć, że to mój wnuk, skoro nie będzie miał czarnych oczu?

– Och, matko...

Josui usiłowała się roześmiać, lecz i ją przez chwilę ogarnął smutek. Czy poczuje się dziwnie, jeśli dziecko będzie miało błękitne oczy? Jednak Allen również mógłby się tak czuć, gdyby wyglądało zupełnie tak jak ona. Jej matka miała rację – to doprawdy kłopotliwa sytuacja.

– Mogę nie mieć dziecka. Matka pokręciła głową.

– Nie możesz tak mówić – oświadczyła rozsądnie. – Jeśli przyjdzie odpowiednia pora, poczniecie dziecko i nic nie wstrzyma jego życia. Jego dusza czeka u progu na wyznaczony czas. Kiedy nadchodzi czas życia, żyjemy, kiedy zaś pora śmierci, umieramy. Tego cyklu nie można przyspieszyć ani zatrzymać. Jedni wiodą krótki żywot, inni długi. To wszystko jest kwestią przeznaczenia.

To wyjaśniło matczyną cierpliwość, bierne posłuszeństwo, akceptację oraz źródło ogromnej i zarazem prostej siły. Josui nie potrafiła na to nic odpowiedzieć, toteż czując jej dostojeństwo, ukłoniła się i odeszła.

Z tą chwilą, w której dogłębnie zrozumiała matczyne serce, po raz pierwszy poczuła, że posiadanie dziecka jest nieuniknione.

Ojciec zupełnie nie protestował przeciwko jej wyjazdowi, co ją bardzo zdumiało, a może raczej poczuła, że powinno ją zdumieć.

Najwidoczniej jego reakcja wiązała się przekonaniem o nieuchronności tego faktu. Towarzyszył jej w odpowiednim tokijskim urzędzie, gdzie załatwił jej wizę. Rzekł również, że ma w banku oszczędnościowym w San Francisco trochę pieniędzy, które zostawił Kensanowi, a których nie wycofał po jego śmierci, toteż przepisze je teraz na nią.

Wszystko przebiegało z taką łatwością, że odnosiła wrażenie, jak gdyby bogowie uwijali się, by zrobić dla niej przejście. Sprawdzano teraz jej nową fotografię, metrykę, która stwierdzała, że urodziła się w Los Angeles, oraz paszport połączony z dokumentami jej rodziców, który należało jedynie oddzielić. Jedyne kłopot, który zresztą sama sobie stworzyła, polegał na tym, że pragnęła podać do paszportu nowe dane, pani Allen Kennedy.

Ojciec jej tego zabronił.

– Nie, nie pozwolę na to. Josui Sakai, musisz podać nasze nazwisko, gdyż być może będziesz go jeszcze kiedyś potrzebowała.

Rozgniewała się na niego.

– Ojcze, jakże możesz tak mówić? Nie chcesz we mnie uwierzyć. Nie ufasz mi.

– Nie ufam życiu.

Ustąpiła. Zatem życie będzie musiało dowieść, że to ona ma rację. Ojciec jeszcze to pojmie, kiedy wszystko potoczy się tak, jak tego oczekiwała. Starsi ludzie nigdy nie dowierzali. Kiedy

wszystko pozafatwiali, wrócili do domu. Wzruszyło ją to, że usiłował być dla niej życzliwy. Nie chciał mówić o jej wyjeździe i w pociągu zwracał jej uwagę na niektórych ludzi: na mężczyznę z rozwijającym się na szyi nowotworem i dziecko z chorymi oczyma. Otworzył okno i krzyknął do bagażowego:

– Ej, panie z guzem na szyi! To można usunąć. Może przyjedzie pan do szpitala w Tokio? Albo do mnie, do Kioto?

Nieświadomy mężczyzna odkrzyknął:

– W tym guzie tkwi całe moje życie. Naprawdę mam mu położyć kres?

Doktor Sakai westchnął, zamykając okno. Ciężka jest praca medyka. Wpierw należy powiedzieć człowiekowi, że można go wyleczyć, po czym trzeba go jeszcze przekonać, by w to uwierzył, proces leczenia zaś jest ostatnim i najłatwiejszym etapem.

Przez jakiś czas rozmawiał z córką na temat uporu ludzkiego umysłu, zwłaszcza takiego niedouczzonego. Według niego problem ten dotyczył większości ludzi, a w szczególności – pomyślała Josui – młodzieży i kobiet.

Lecz nic nie mogło osłabić jej szczęścia. Teraz, kiedy wyznaczono dzień i poznała dokładną godzinę, czas płynął jak szalony. Niebawem nastał poranek i godziny leciały na skrzydłach szczęścia. Ogarnęła ją taka radość, że poczęła zachowywać się okrutnie, z czego zupełnie nie zdawała sobie sprawy. Nie dostrzegła w ogrodzie czerwonych jagód, które co roku dawały ojcu tak niesamowitą przyjemność, i dwukrotnie zapomniała zadbać o tokonomę. Jednak rodzice nie zganili jej za to, gdyż czuli, że i tak już ją stracili.

Była świadoma ich smutku, lecz wiedziała, że nie potrafi go dzielić, wypełniała ją bowiem miłość i radosne podniecenie. Sercem była już za morzem, sercem, które niecierpliwie czekało kolejnego brzegu...

Toteż z powodu tej radości nadal czuła otepienie, kiedy nadeszła chwila wyjazdu i pożegnania z domem i ogrodem, Yumi i wreszcie z matką, kiedy wyruszyła z ojcem na lotnisko i wiedziała, że od Allena dzieli ją zaledwie kilka godzin. Nie potrafiła myśleć wyłącznie o rodzicach ani o tym, co tutaj zostawia.

Kilka dni przed wyjazdem listonosz przyniósł jej krótki list od Koboriego Matsuiego. Był przyjazny i uprzejmy, życzył jej szczęścia i obiecał, że wyśle im do Ameryki skromny prezent ślubny. Być może nawet tam poleci w przyszłym roku, o ile spełnią się nadzieje jego i ojca i firma rozpocznie działalność. Jeżeli będzie chciała, chętnie ją odwiedzi i pozna jej nową rodzinę. Zawsze będzie cenił sobie jej przyjaźń, a i ona może liczyć na jego, czy będzie jej potrzebowała, czy też nie. Przeczytała list – wiedziała, że przysłał go w odruchu dobroci, jednak sama nie potrafiła się na nią zdobyć. Spaliła go w urnie do kadzideł, gdyż ani nie chciała go ze sobą zabierać, ani zostawiać w domu.

Kiedy samolot startował, przez chwilę miała przebłysk świadomości swego czynu. Patrzyła przez małe okienko i ujrzała ojca, który stał w oddali na ziemi, wysoki, wyprostowany, w powiewającym na wietrze luźnym płaszczu. Splótł na lasce dłonie, rozstawił stopy i uniósł w jej

kierunku głowę. Nie była pewna, czy ją widzi, lecz w tej chwili ona widziała go naprawdę dobrze. Był piękny dzień, a na jego przystojne, pokryte zmarszczkami oblicze spływały promienie słoneczne, przenikliwie jaskrawe po trzech dniach deszczu i burz. Za zasłoną stanowczego opanowania ujrzała na jego twarzy majestatyczny smutek, dostojny żal i niesłabnące przygnębienie, a jej serce przeszło ukłucie zrozumienia.

Nie trwało ono jednak długo. Wielkie lśniące skrzydła uniosły ją ku niebu, a ziemia stawała się coraz mniejsza. Po krótkim czasie Josui była wysoko ponad morzem, a jej myśli i marzenia odleciały hen w dal.

Część trzecia

Na lotnisku w San Francisco Allen ujrzał ją w momencie, kiedy akurat z wahaniem poczęła go wypatrywać, rozglądając się to w lewo, to w prawo. Przepchnął się ku niej przez niewielki tłum. Było mu wstyd, że się chwilę spóźnił, wstyd, że właśnie tego poranka zaspał.

– Josui! – zawołał.

Uśmiechnęła się na jego widok, a jej twarz wnet nabrała innego wyrazu. W pierwszej chwili, kiedy zobaczył na niej ów wielki lęk, poczuł drobne lecz gwałtowne rozczarowanie. Wydawało mu się, że zapamiętał ją naprawdę dobrze, jednak teraz nie była tak śliczna jak w jego wspomnieniach – a może to tylko kwestia szarego kostiumu, w który się ubrała? Lecz dzięki uroczemu powściągliwemu uśmiechowi oraz nieśmiałoemu wdziękowi, z jakim teraz ku niemu szła, znów stała się tamtą dystygowaną dziewczyną. Wziął ją w ramiona i wnet poczuli się bezpiecznie wśród tylu nieznamymych. Jednak natychmiast Allen dostrzegł wścibskie spojrzenia; ludzie patrzyli na wysokiego młodego Amerykanina, który tulił Japonkę. Nikt nie powiedział ani słowa i wszyscy zajęli się swoimi sprawami, ponieważ zbyt się spieszyli, by poświęcić na wścibstwo więcej niż sekundę czy dwie. Allen prowadził ją, nie zwracając na nich uwagi, a jej ręka tkwiła w zgięciu jego łokcia. Również ona zauważyła rzucane im zdumione spojrzenia, toteż odchyliła się delikatnie, ale pozwoliła mu trzymać się za rękę.

– Pojedziemy prosto do hotelu, gdzie wynająłem dla nas apartament. Kochanie, zostaniemy tu kilka dni, nie ma pośpiechu.

Potrzebuję czasu... czasu... czasu spędzonego z tobą, a droga do domu sporo nam go zabierze.

Wówczas zdążą zdecydować, cóż dalej począć. Opowie jej dokładnie wszystko, co działo się w domu. To znaczy tyle, ile wie, a niemal nic nie wiedział, lecz za to dużo przeczuwał. O ile dobrze zrozumiał, matka postanowiła wszystko ignorować, lecz jakże mogłaby zignorować Josui stojącą w progu u jego boku?

Takie myśli odsuwał na bok. Przez najbliższe tygodnie będą sam na sam. Żałował, że Cynthia postanowiła spędzić tę porę roku w Nowym Jorku. Mogłaby się bardzo przydać. Choć właściwie nie potrzebował jej pomocy!

– Kochanie, dużo dziś milczysz.

– Rozglądam się po nowym miejscu. Doszli do samochodu i wsiedli do niego.

– Allennie, to twój?

– Nasz, kochanie. Co moje, to i twoje. Uśmiechnęła się, a on ujął jej dłoń.

– Lepiej jedź ostrożnie – rzekła po pełnej niepokoju chwili.

Roześmiał się.

– Josui, to Ameryka, zapomniałaś o tym?

Jechał jednak powoli, by głaskać jej drobną dłoń ozdobioną złotym sygnetem, który wsunął na jej palec podczas ceremonii w świątyni. Tej nocy, kiedy już byli sami w pięknym zacienionym pokoju – oboje z dala od swych domów – zdjął sygnet i ponownie go włożył, po czym powtórzył święte słowa:

– Przyjmij tę obrączkę na znak mojej miłości i wierności. Nie do końca pojęła, lecz za chwilę jej to wyjaśni.

Kiedy dotarli do hotelu, Josui była wciąż milcząca i, jak przypuszczał Allen, bardzo oszołomiona. Podał boyowi hotelowemu jej torby i wjechali windą na szesnaste piętro. Ich okna wychodziły na morze. Allen wręczył chłopakowi napiwek i zamknął drzwi na klucz. Zdjął Josui mały kapelusik, według niego niezbyt twarzowy, zsunął z jej ramion płaszcz i przytulił ją. Och, poczuł woń jej skóry, słodycz zagłębienia szyi i dotyk drobnych piersi! Nie mógł się doczekać. A dlaczegóż miałby czekać? Widział jej ciemne błyszczące oczy i miękkie młode usta. Znała... zrozumiała jego potrzebę. Była esencją kobiecości, kobietą Orientu, która w pragnieniach serca kierowała się instynktem.

– Czy nadal mnie miłujesz? – Żądał tak wiele, lecz teraz zapragnął chociaż usłyszeć te słowa.

– Bardzo cię kocham – rzekła, lecz nie szeptem, tylko wyraźnie i rozkosznie. – Allennie, to z miłości do ciebie przebyłam tak długą drogę.

Kiedy nastąpił początek śmiertelnego życia dziecka? Nie wiedzieli, w której chwili blasku dnia czy mroku nocy jego dusza zstąpiła z wieczności przed przyjściem na świat życia. Czy zdarzyło się to w pierwszym, zasłoniętym parawanem pokoju, który znajdował się teraz za morzem, czy też w tym wysokim apartamencie wychodzącym na zachód? A może w górskiej chacie, gdzie spędzili kilka dni, niechętni by pożegnać oproszone śniegiem szczyty, a może w pokoju na piętrze małego hoteliku w miasteczku na bezkresnej równinie, bądź na falistych wzgórzach Środkowego Zachodu? Tego nie wiedzieli. Gdzieś w ciągu tych cudownych miesięcy, w jakimś miejscu miłości, w łańcuchu miłosnych dni i nocy, żyło dziecię tego świata, lecz oni nadal o tym nie wiedzieli. Nie o nim myśleli, lecz o sobie.

– Musimy powiedzieć twoim rodzicom, kiedy dokładnie przyjedziemy.

Oboje o tym myśleli – każde w tajemnicy przed drugim, nie chcąc przyznać, że pewnego dnia ta niezwykła podróż będzie musiała się skończyć i niebawem przeminą cudowne dnie i pełne blasku noce. Niebiosa były dla nich łaskawe, gdyż podczas podróży i odpoczynków towarzyszyła im niesamowita aura, którą tworzyło jesienne ciepło. To musiało się skończyć, wiedzieli o tym; to nie życie, a jedynie miłość, i gdzieś będzie musiało nastąpić ich połączenie – tak ostatniego dnia zasugerowała praktyczniej sza Josui. Wrażliwa na każdą zmianę widoczną na jego twarzy wiedziała, że się tego lęka. Coś majaczyło na horyzoncie, nie wiedziała co, lecz przygotowała się na to najlepiej, jak tylko potrafiła. Jeśli będzie bardzo ostrożna, oddana i uczynna, jeżeli zawsze będzie pamiętała o jego rodzicach w pierwszej kolejności, może uda im się razem zaznać szczęścia. Pojęła, że jest bardzo ważną postacią. W nocy, kiedy spał, rozmyślała o tym, że zna tego mężczyznę coraz lepiej, coraz bardziej go miłuje i całkowicie mu ulega, a mimo to zaczynała mgliście pojmować, że kobieta nie może ulec bardziej, niż chce tego mężczyzna. Zdolność brania musi równać się zdolności dawania. Czy pragnął jej całkowicie? Tego nie była pewna.

– O ile nie zatrzymamy się gdzieś na kilka dni, to dotrzemy do domu pojutrze.

– A nie chcesz tego?

– Och, oczywiście, że chcę. Musimy się ustatkować. Powiniennem pomyśleć, co zrobić z pracą. Być może zupełnie rzucę wojsko, wszak mój czas minął już wiele lat temu. Albo po prostu pójdę w ślady ojca i zostanę właścicielem ziemskim.

Słuchała każdego jego słowa niezwykle uważnie, lecz nie zawsze wszystko rozumiała, jak na przykład podwójne znaczenie czy aluzyjne idiomy, dla niej bowiem angielskie wyrazy nie zawierały w sobie nic poza słownikową definicją.

– Musimy im podać godzinę, o której przyjedziemy – rzekła, powracając do pojęcia obowiązku.

– Pojutrze około osiemnastej.

– Allennie, zatem proszę, zatelefonuj jutro do rodziców – powiedziała łagodnie.

Usiłowała go kontrolować, co uznał za tak urocze jak rozkazy dziecka. Pomimo że go miłowała i była mu podporządkowana, niebywale słodko pragnęła nim kierować. Widział w jej oczach tę potrzebę, toteż zawsze zachowywał się najlepiej, jak tylko potrafił, przynajmniej w stosunku do innych. Śmiała się, kiedy był względem niej „krnąbrny”, jak to określała – czyli gdy nie chciał wstać o poranku i rzucał piżamę na podłogę, kiedy mierzwił jej gładkie włosy bądź miał czystą sukienkę, gdy drażnił się z nią, by sprowokować sprzeczkę, w którą wdawała się z taką powagą i żarliwością, aż w końcu zdradzały go oczy. Widząc w nich wesołe iskierki, krzyczała na niego: „Ty krnąbrny Allennie!” i zakrywała usta prawą dłonią, by zakryć własny uśmiech. Wiedział, że nieprzyzwoicie go rozpieszczą. W miejscach, w których się zatrzymywali, nie oczekiwała od niego żadnej pomocy w drobnych codziennych obowiązkach i – ma się rozumieć – usługiwała mu, a to podając czysty ręcznik po kąpieli, a to płuczac przybory po goleniu.

Z początku sprzeciwiał się takiej obsłudze i wołał:

– Ej, maleństwo, jesteś moją żoną, a nie niewolnicą!

Lecz nie ustawała, a on uległ, gdyż taki był jej sposób okazywania miłości. To było przyjemne – przyznał – bardzo przyjemne, że nie musiał się sobą zajmować, dzięki czemu wolny od błahostek mógł się relaksować. Z natury okazała się prawdziwą Japonką – Amerykanka nigdy by mu tak nie usługiwała. Zaczął pojmować, dlaczego mężczyzna nie jest w stanie miłować Amerykanki, jeśli poznał kobietę Orientu.

– Zatem dziś rano zatelefonujesz do rodziców? – zasugerowała słodko następnego poranka.

– Och, może – rzekł beztrosko. W mglistej purpurze ponad górami Allegheny nastał kolejny niebywały dzień i Allen nie chciał myśleć o jego końcu.

Lecz niebawem zobaczył, że Josui czymś się martwi. Siedziała przy nim niespokojnie powściągliwa, a on wyczuł jej zaniepokojenie.

– Josui, spokojnie, zrobię to.

– Dobrze – zgodziła się. – Miło byłoby zrobić to teraz, nieprawdaż? Roześmiał się.

– No dobrze, zatrzymamy się przy następnej budce telefonicznej, tylko wypatruj jej.

W ciągu dziesięciu minut pierwsza ją dostrzegła w skupisku domów, które ledwie można było nazwać wioską.

– Tam, tam! – zawołała, wskazując ją palcem prawej dłoni. Cóż, musiał to uczynić, toteż zatrzymał samochód.

– Poczekał tu – rzekł apodyktycznym tonem. Kiedy nadeszła ta chwila, zmartwił się i nie miał na to ochoty, lecz nie był dzieckiem, by się lękać, cokolwiek miało się zdarzyć. Mógłby ją zabrać hen daleko i żyliby, gdzie tylko by zechcieli, jednak wołał nie opuszczać domu. Lata za granicą pogłębiły jego miłość do własnego kraju, stanu i miasta oraz dużego białego domu, który wybudował jego dziadek jako schronienie dla przyszłych pokoleń. To styl życia, który wydawał się z góry skazany na zgubę, ale on przetrwa, przynajmniej w Ameryce. Allen chciał tak żyć i być takim człowiekiem jak jego ojciec: mądrym, spokojnym i zadowolonym.

Stał w kabinie i tak sobie rozmyślał. Czy Josui mogłaby zająć miejsce jego matki?

– Rozmowa na linii – w słuchawce zaszczebiotał głos telefonistki.

– Halo, tata? Tu Allen. – Zadzwoił do ojca, zamawiając rozmowę z przywołaniem, gdyż lękał się, że mimo dzielącej ich odległości matka przeżyje wstrząs.

– Tak, synu? – Głos ojca rozbrzmiał w jego uszach zdumiewająco wyraźnie i dźwięcznie. – Gdzie jesteście?

– W górach Allegheny. Chciałem ci powiedzieć, że prawdopodobnie dotrzemy do domu jutro wieczorem, może pojutrze, jeśli będziemy się wlec, co jest możliwe.

– Dobrze, no cóż... – ojciec się zawahał. – Allenie, chyba byłoby lepiej, gdybyście na pierwszą noc zatrzymali się w hotelu. Synu, lepiej będzie, jeśli porozmawiamy w cztery oczy.

– O co chodzi? – zapytał ostro Allen.

– Nie mogę ci teraz powiedzieć. Lepiej będzie, jeśli ze sobą porozmawiamy. Zatrzymajcie się na przykład w Richmond. Przyjadę tam po południu i poczekam na was. Zadzwoń do mnie do klubu, kiedy przyjedziecie.

– Dobrze, będziemy tam. – Chciał tam pojechać. Musieli o czymś porozmawiać i cokolwiek to było, chciał się o tym dowiedzieć i stawić temu czoła.

– Do widzenia, tato, do jutra.

– Do zobaczenia, synu.

Odłożył słuchawkę, po czym guzdrał się jeszcze chwilę w małym sklepiku wielobranżowym, gdzie kupił kilka tabliczek czekolady. Czekał teraz na resztę, dzięki czemu miał czas, by wyzbyć się zaniepokojonego wyrazu twarzy. Josui miała tak bystre oczy, że potrafiła czytać w jego myślach i wyczuwać nastrój jego duszy. Nie chciał nic przed nią ukrywać, a jedynie oszczędzić jej przykrości. On również zaczynał ją poznawać i zauważył w niej dno błyskawicznej rozpaczki i gotowości porzucenia nadziei i uwierzenia w najgorsze, co uznał za cechę charakterystyczną dla natury Japończyków. Lecz teraz, kiedy byli na samym początku, nie wolno jej było porzucić nadziei.

Kiedy wrócił do samochodu, uśmiechnął się i zaproponował czekoladę.

– Och, dziękuję – zawołała. Lubił dawać jej drobne prezenty, by usłyszeć tę płynącą z głębi serca słodczych uprzejmej wdzięczności i słowa podziękii wypowiedziane melodyjnym uległym głosem. – A rozmawiałaś z rodzicami?

– Tak, z ojcem. W pierwszą noc zatrzymamy się w Richmond w jakimś dobrym hotelu. Poprosił, byśmy się tam spotkali.

– Och, jakże on miły i życzliwy – zawołała i wnet do oczu napłynęły jej łzy. – Mam nadzieję, że nie jest zbyt stary, wszak to duży kłopot! A twoja matka?

Allen improwizował. .

– Zostanie w domu i go przygotowuje.

Teraz Josui była bardzo szczęśliwa. Kiedy prowadził samochód, karmiła go kostkami czekolady, sama zaś zjadła bardzo niewiele. To, co zostało, starannie zawinęła w sreberko i kawałek gazety i odłożyła do schowka – jej oszczędność wzruszyła go. Przywiązywała dużą wagę do resztek pożywienia, ubrań, zapisanych do połowy kartek papieru listowego, jednopensowych znaczków i wszelkich drobnych przedmiotów, które częstokroć ulegały zmarnowaniu. Żyła wśród ludzi nauczonych oszczędzania i najkorzystniejszego spożytkowania wszystkiego, co materialne. Zastanawiał się, jak przyjmie ogromne marnotrawstwo w jego dużym domu: czteroosobową służbę, kosze kupowanego i wyrzucanego pożywienia oraz nonszalancję w zarządzaniu pieniędzmi, obchodzeniu się z ubraniami i traktowaniu wszelakich dóbr materialnych, które wymieniali z taką łatwością. Bardzo się zatroskał, kiedy tak o tym rozmyślał. Było w niej coś niezłomnego – pod całą tą na pozór łagodną uległością wyznawała pewne zasady, których nie sposób było zmienić. W jej jasnym, lecz stanowczym młodym umyśle dobro było prawdą absolutną i pomimo wypełniającej miłości nadal w nie wierzyła. Miała zapal do wszystkiego, co uznawała za właściwe w kwestii poglądów, retoryki i zachowania, lecz nie oczekiwała tego od niego, w stosunku zaś do samej siebie była nieprzejednana. Widział oczyma wyobraźni ich przyszłość – jak go chroni i sumiennie dba o jego szczęście, pieniądze i pożywienie. Nie potrafiłby jej przekonać, że marnotrawstwo może być dobre ani że drobne podkradanie przez starych służących to nie kradzież. Naturalnie to wszystko byłoby dla jego własnego dobra, lecz miał świadomość, że jej miłość również będzie nieugięta pomimo swej namiętnej kruchości.

Postanowił zatrzymać się w małym hoteliku położonym przy spokojnej ulicy. Był na tyle szczerzy, by przyznać, że uczynił to, by mniej się rzucać w oczy, kiedy wejdzie tam z Josui. Musi przywyknąć do wścibskich spojrzeń i niewypowiedzianych pytań, do których powstawania zapewne również w Japonii się przyczyniał, najwyraźniej tego nie dostrzegając. Zastanawiał się, czy ona je dostrzegła, nic mu jednak o nich nie mówiąc? Na razie jej o to nie zapyta, gdyż być może niczego teraz nie zauważała, a poza tym nie chciał zadać jej ciosu, przed którym można było ją uchronić.

Hotel był przyjemny, a unosząca się w nim staromodna cisza raczej jej się podobała. Kiedy znaleźli się w niewielkim apartamencie z oknami wychodzącymi na mały kwadratowy park, w

którym kilka drzew wciąż lśniło jesiennymi barwami, Allen zadzwonił do przebywającego w klubie ojca.

Pan Kennedy oczekiwał tego telefonu. Przyjechał tam dzień wcześniej i odwiedził w pracy kilku starych przyjaciół – nigdy nie chodził do nich do domu, jeśli mógł tego uniknąć. Każdy z nich sprawiał wrażenie, jak gdyby miał dużo wolnego czasu i cieszył się z tego spotkania, Tom Kennedy bowiem niósł ze sobą wielki bagaż wiedzy i był stokroć lepszy niż gazeta.

– Za chwilę będę, synu – powiedział przez telefon.

Odłożył słuchawkę i przeszedł przez duży przyjemny pokój, który regularnie wynajmował w klubie. Włożył luźne szarawo-brązowe tweedowe palto oraz nieco bezkształtny brązowy filcowy kapelusz, po czym zszedł po szerokich krętych schodach. Nie było tu windy, a nawet gdyby była, i tak by z niej nie skorzystał.

Było bardzo parno – panował wilgotny skwar, który powinien był nadejść już dawno temu. Pan Kennedy zatrzymał taksówkę i zadysponował:

– Do Mansfield, proszę.

Siedział roztargniony, podczas gdy taksówka jechała zygzakiem przez miasto. Nie miał zamiaru ukrywać przed synem długiej rozmowy, którą przeprowadził z Josephine. Im wcześniej Allen dowie się, czemu musi stawić czoła, tym lepiej. Upłynie trochę czasu, nim ktokolwiek dowie się, jak to wszystko się skończy. Wysiadł przy hotelu, uregulował opłatę za przejazd i na widok snującego się przy drzwiach drobnego czarnoskórego boya hotelowego pokręcił głową.

– Nie przyjechałem, by się u państwa zatrzymać. Chcę się jedynie z kimś spotkać.

Zdumiała go własna wypowiedź – dlaczegoż nie oświadczył: „Chcę się spotkać z synem”? Czy również on czuł jakąś przeklętą niechęć?

Jeśli tak, to ją wykorzeni, gdyż gardził wszelakimi uprzedzeniami. W skrytości ducha wierzył, że nieuchronne jest nadejście dnia – a im szybciej to nastąpi, tym lepiej – kiedy wszyscy ludzie będą tego samego koloru. Niechaj każdy ma brudnawo-ciemną barwę skóry! Jakie to miało znaczenie? A dzięki temu pewien rodzaj problemów szybciej wypłacze się z gmatwaniny ludzkich spraw. Kiedy był w Nowym Jorku, poznał na obiedzie pewną poważną zbawczynię narodu.

– Panie Kennedy, lecz cóż pocniemy z problemem ras? – zapytała go nieustępliwa kobieta.

Czując się pewnie wśród tych obcych ludzi, z dala od znajomych i ojczystego Południa, zabrał się do najtwardszego smażonego kurczaka, jakiego kiedykolwiek miał na talerzu, i rzekł pogodnie:

– Rozjaśnić ich, rozjaśnić. – Kobieta więcej się do niego nie odezwała.

Podszedł teraz do recepcji.

– Proszę powiedzieć panu Allenowi Kennedy'emu, że jego ojciec idzie już na górę – rzekł apodyktycznym tonem do bladej recepcjonistki.

– Dobrze, proszę pana – odpowiedziała, wpatrując się w niego. A zatem ludzie gapili się, lecz nie chciał tego dostrzec.

– Proszę pana, tędy do windy – zawołała.

– Przejdę się.

To tylko jedno piętro. Wprawdzie nienawidził ruchu, ale na schodach uspokajał swe sumienie. Były szerokie i łagodne. Na górze korytarz starannie wyłożono wykładziną, toteż jego kroki nie wydawały żadnego dźwięku. Mocno zapukał do drzwi numer dwadzieścia dwa – zgodnie ze wskazówkami Allena – i przez otwarte naświetle usłyszał słaby okrzyk, głos dziewczyny, a po nim odpowiedź syna:

– To ojciec.

Drzwi natychmiast się otworzyły. W pokoju nie było nikogo prócz Allena uśmiechającego się do niego.

– Josui poszła do sypialni poprawić włosy. Bardzo jej zależy, by wyglądać najładniej, jak to tylko możliwe. Wejdz, tato.

– Chyba wszystkie kobiety pedantycznie dbają o włosy – rzekł pan Kennedy.

Wszedł, a syn pomógł mu zdjąć płaszcz i wziął od niego kapelusz i laskę. Siadł w najwygodniejszym fotelu i rozejrzał się po małym saloniku. Nie powinien dłużej zwlekać, lecz pozwolił sobie jeszcze zapalić cygaro.

– Synu, dopóki jesteśmy sam na sam, muszę ci powiedzieć, że matka nie czuje się najlepiej. Nie chcę rozmawiać o tym w obecności twojej żony, ale będziemy musieli coś wymyślić.

Allen stał, sparaliżowany malującymi się na twarzy ojca przygnębieniem i powagą.

– To znaczy nie chce, byśmy przyjechali do domu? – zażądał odpowiedzi.

Pan Kennedy wyglądał na nieszczęśliwego. Odwrócił głowę i zaciągnął się cygarem.

– Obawiam się, że tak, synu. W każdym razie nie jest jeszcze gotowa na przybycie twojej żony. Naturalnie z tobą zawsze chętnie się spotka. Szczególnie kazała ci przekazać, że zawsze będziesz u nas mile widziany. Utrzyma twój pokój dokładnie w takim stanie, w jakim jest teraz, zawsze będzie na ciebie czekał.

– Daj mi chwilę.

Allen pognął do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Nastąpiło długie milczenie i długie oczekiwanie. Cygaro, którym zaciągał się pan Kennedy, było długie i cienkie, podobnie jak wydobywająca się z niego strużka dymu. Żywił nadzieję, że syn nie przekazuje teraz nowin dziewczynie. Znacznie łatwiej dochodziło się do pewnych rozwiązań, jeśli kobiety o niczym nie wiedziały. Lecz jak większość młodych mężów, Allen prawdopodobnie pomyślał, że musi o wszystkim opowiedzieć żonie. Trochę to trwa, nim mężczyzna się czegoś nauczy, a i ojciec nie potrafił wszystkiego wpoić swemu synowi.

Myślamy powrócił do własnej małżonki i wspólnie spędzonego paskudnego wieczoru, kiedy to powiedział jej prawdę, że jedzie do Richmond na spotkanie z Allenem i jego żoną, a Josephine zamiast mu podziękować, z rozgoryczeniem obwiniła go – jak się zdaje – o to, na co z pewnością nie mógł nic poradzić.

– Musimy uczynić to, co najlepsze – przekonywał. – W przeciwnym wypadku kto na tym źle

wyjdzie? Tylko i wyłącznie my. Młodzi odejdą i ułożą sobie życie gdzieś indziej. To my zostaniemy sami w tym domu. Złociutka, nie możemy wyrzec się naszego jedyne go syna.

– Nie o to proszę – zripostowała. – Od samego początku mówię tylko, że nie wolno mu przyprowadzić tu tej dziewczyny.

– Złociutka, oni są małżeństwem – przypomniał jej.

Na jej pięknej twarzy malowało się coś, co już dawno temu uznał za szyderczy uśmieszek. Po raz pierwszy ujrzał go podczas miesiąca miodowego, ale już zapomniał, z jakiego powodu. Pamiętał jedynie, jaki przeżył wstrząs, kiedy zobaczył, jak te śliczne stworzone do pocałunków usta wykrzywiły się w kształt, który odepchnął jego miłość. Wówczas nie wiedział, że uczucie to nie zmieni ukochanej. Potem, przez te wszystkie lata, nie przestał jej miłować, lecz już nie kochał jej w pełni. Nadeszły godziny i dnie, a z pewnością przeżył wiele takich chwil, kiedy wołał o niej nie myśleć, a jego miłość czekała.

– Nie są małżeństwem – oświadczyła lakonicznie. Jeśli tylko chciała, potrafiła być najsubtelniejszą kobietą, słodko przeciągającą samogłoski z nieco południowym akcentem. Lecz teraz usłyszał te ostre lakoniczne słowa, których tak bardzo się lękał.

– Złociutka, dlaczego znowu to mówisz? Wszak powiedziałem ci, że świątynia jest dokładnie tym samym co kościół...

– Nie obchodzi mnie świątynia.

W ogóle mu się nie podobał ten goszczący na jej twarzy triumf. Widział go już wcześniej dwa, może trzy razy, jak na przykład wtedy kiedy zgłosiła Allena do szkoły wojskowej wbrew woli ich obu. Gdyby nalegał na wypisanie z niej syna, wywołałoby to powszechne poruszenie, dlatego pozwolił żonie postawić na swoim.

– To bez znaczenia, co cię obchodzi... – zaczął.

Nie miała ochoty wysłuchiwać jego marudzenia, toteż przerwała mu krzykiem ostrym niby smagnięcie biczem:

– Masz rację! To bez znaczenia, co o tym myślę ja, a co ty. To kwestia prawa, a prawo w tym stanie zabrania białym zawierać małżeństwa z kolorowymi.

Zwróciła ku niemu twarz, czując na sobie jego przenikliwe spojrzenie.

– Josephine! – rzekł głośno. – Wiesz, że prawo ustanowiono na niekorzyść Murzynów!

– Ale jest takie, a nie inne – podkreśliła.

Wstał i wyszedł, ale przed snem zadzwonił jeszcze do swojego prawnika, Bancrofta Haynesa. To prawda – prawo stanowe zabraniało jego synowi zawrzeć małżeństwo, w żyłach dziewczyny płynęła bowiem azjatycka krew. A teraz musiał to jeszcze jakoś powiedzieć chłopcu.

Otworzyły się drzwi i pojawił się Allen z Josui. Oto nadeszła chwila, której pan Kennedy tak bardzo się obawiał. Wstał powoli, wpatrując się w dziewczę, które jego syn trzymał za rękę, śliczne nieśmiałe dziewczę o zarumienionej kremowobiałej skórze i wielkich ciemnych wilgotnych złęknionych oczach. – A niech mnie! – pomyślał – cóż za słodka buzia, cóż za wstydlive dziecię, któremu tak zależy, by się spodobać, pełne cierpienia dziecię, które błaga o

zrozumienie! – Zadrżał, przepelniony współczuciem dla niej.

– To jest Josui – oznajmił Allen.

Pan Kennedy ciężko przeszedł przez pokój i wyciągnął dużą, wiotką prawicę.

– Cieszę się, że mogę panią poznać – powiedział z najwytworniejszą kurtuazją. – Przebyła pani tak długą drogę. Serdecznie panią witam. – Dotknął jej drobnej, lecz silnej dłoni i delikatnie ją uściskał. – Zapewne jest pani zmęczona i być może nieco tęskni za ojczyzną.

– Och, dziękuję, ale nie – odrzekła nieco głośniejszym niż szeptem. Obezwładniła ją jego postura. Taki postawny mężczyzna, a jaki życzliwy! Uśmiechnęła się drżącymi wargami, a gdy na niego patrzyła, jej oczy zrobiły się większe niż kiedykolwiek.

Pan Kennedy wpatrywał się w nią niemal z czułością i odczuwał ulgę, że wcale nie jest tak bardzo kolorowa. Na Południu było mnóstwo dziewcząt, które pochodziły z najlepszych rodzin, a były od niej o wiele ciemniejsze. Z pewnością opowie o tym Josephine.

– Jest pani taka drobniotka, nieprawdaż? – Zwrócił się do syna.

– Czy one wszystkie takie są?

– Tato, Josui nie jest taka drobna – odrzekł Allen. To go podniosło na duchu. Ojciec natychmiast zareagował na jej subtelny, niemal zniewalający urok. Allen był z Josui bardzo dumny. Ojciec zrozumie, że można się w niej zakochać, i będzie po ich stronie.

Stojąca pomiędzy dwoma wysokimi mężczyznami Josui nagle zdobyła się na uśmiech i przestała się lękać. Ten postawny dobry człowiek – jej teść – pomoże im i wszystko będzie dobrze. Polubiła go i nigdy nie mogłaby się go obawiać, a życie w jego domu wypełni ją szczęściem. Nic dziwnego, że Allen był tak cudowny, skoro miał takiego ojca, lecz i ona będzie idealną synową.

Odsunęła się od Allena.

– Proszę, ojczy, usiądź – zawołała. – Allenie, nie mamy żadnej herbaty. Proszę, zadzwoń na dół i powiedz, by przynieśli herbatę i jakieś przekąski.

– Nie mam ochoty na nic do jedzenia – pan Kennedy mówił tym samym czułym głosem. Była takim milutkim maleństwem! – Właśnie zjadłem śniadanie i niech ci Allen powie, jaki mam o poranku wilczy apetyt. Lecz w ciągu dnia jadam bardzo niewiele i dopiero wieczorem jem obiad.

Siedział, a ona stała przy nim.

– Może whisky z wodą sodową? – zachęcała. – Albo chociaż colę?

– Podczas podróży nauczyła się ją pić i wymawiać jej nazwę, gdyż nie lubiła alkoholu.

– No cóż, może whisky z wodą sodową – zgodził się pan Kennedy, by sprawić jej przyjemność.

Toteż Allen zamówił ją, a Josui nie czuła się swobodnie, dopóki nie przyniesiono trunku na tacy. Nie pozwoliła mu dotknąć szklanki ani lodu, gdyż sama chciała wszystko zrobić. Poczowała się dobrze dopiero wtedy, kiedy obsłużyła pana Kennedy'ego – gdy przysunęła mu mały stolik, wszystko starannie na nim poustawiała i zobaczyła go ze szklanką w dłoni. Zatraskana czekała na

stojąco, aż upił pierwszy łyczek.

– Dobra?

– Wyborna – rzeki serdecznie. Chciał powiedzieć cokolwiek, by ją uradować. – Kochanie, teraz ty usiądź i odpocznij sobie. Chcę, byś coś powiedziała. Chcę się dowiedzieć, jak traktuje cię mój syn. Lepiej, żeby był dla ciebie miły!

– Josui, usiądź – rzekł Allen apodyktycznym tonem. Natychmiast usiadła bez słowa. Ta drobna i pełna gracji dziewczyna nadal się nie odprężyła i zerknęła to na jednego, to na drugiego.

– Rozpieszcza cię tak przez cały czas? – pan Kennedy zwrócił się do syna.

– Według Japończyków tak powinna zachowywać się kobieta – powiedział Allen z uśmiechem.

– Jacy cudowni ludzie – skwitował ojciec.

Nagle przypomniał sobie cel wizyty. Jego stary nawyk ułatwiał mu zapominanie o tym, co smutne, trudne bądź kłopotliwe, toteż chwilowo mu się to udało. Naturalnie nie mógł rozmawiać na ten temat w obecności tej małej istotki, gdyż złamie jej to serce, a do tego nie mógł dopuścić. Musieli we dwóch coś wymyślić, musiał pomóc synowi postąpić słusznie, lecz cóż to dokładnie oznaczało?

Spowaźniał, a Josui, tak niesłuchanie czuła na nastroje przebywających w jej towarzystwie ludzi, zerknęła na Allena i ponownie ogarnął ją lęk. Żałowała, że jej mąż nie potrafi mówić po japońsku, gdyż mogłaby go wówczas zapytać, cóż złego uczyniła, lecz on nie patrzył na nią. Nie potrafiła dłużej znieść tego milczenia i niemal smutnego spojrzenia ojca utkwionego nie w niej, nie w Allenie, lecz w szklance, dywanie u jego stóp, oknie... Podeszła bezszelestnie do Allena i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Czy zrobiłem coś złego? – zapytała szeptem.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedział Allen normalnym tonem. – Josui, myślę, że ojciec chce pomówić ze mną w cztery oczy. Może pójdziesz do drugiego pokoju?

Od razu wiedziała, że coś jest nie tak, lecz podporządkowała się jak dziecko. Poszła do sypialni i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Wówczas pan Kennedy zdał sobie sprawę, że musi stawić temu czoła – nie było innego wyjścia. Odstawił szklankę.

– Synu, mam złe, bardzo złe wieści. Allen czekał bez słowa.

– Mam mówić wprost?

– Naturalnie, tato.

– Spodziewałem się, że tak właśnie odpowiesz.

Pochylił się w fotelu i oparł łokcie na kolanach. Splótł i wygiął palce.

– Synu, myślę, że twoja matka ma rację. To małżeństwo jest niezgodne z prawem.

– Co masz na myśli? – zapytał ostro Allen.

– Prawo w naszym stanie – rzekł pan Kennedy dobitnie. – To stare prawo, które zabrania przedstawicielom jednej rasy zawierać małżeństwa z przedstawicielami innej. Matka jakoś się o

tym dowiedziała. Myślę, że kilka znajomych pań gdzieś to usłyszało. Być może przez cały czas o tym wiedziała, ale nie sądzę.

– Ustanowiono je z myślą o kolorowych – powiedział Allen chłodno.

– To prawda – przyznał ojciec. Strasznie się pocił, na jego wysokim czole pojawiały się duże krople i spływały mu po policzkach tuż przy uszach. – Wybacz, synu, ale odnoszę wrażenie, że dotyczy ono każdego, kto nie jest biały.

– A któż tak powiedział?

– Bancroft Haynes. Zapytałem go o to. – Powiedziawszy to, wstał, podszedł do okna i wyglądał przez nie kilka minut, by Allen jakoś doszedł do siebie.

– Nie musimy żyć w tym stanie.

– Oczywiście, że nie. – Na te słowa syna odczuł ulgę i się odwrócił. – Zatem udajcie się do innego stanu, gdzie weźmiecie ślub cywilny. Wówczas będziesz miał pewność, o ile jesteś przekonany, że chcesz to uczynić.

– O ile jestem przekonany? A dlaczegóż tak mówisz? – Allen zapytał gwałtownie i wnet rozgniewał się na ojca. Oburzyła go sugestia, że ma jakiegokolwiek wątpliwości.

Pan Kennedy spokojnie odrzekł:

– Tak tylko mówię. Synu, sam wiesz, co czujesz.

– Z pewnością udamy się do innego stanu. – Allen wciąż przemawiał tym samym rozgniewanym głosem. – Do Nowego Jorku. Znajdę tam pracę. Możesz powiedzieć matce, że nigdy więcej nie przyjadę do domu.

– Nie zamierzam jej nic takiego mówić – rzekł ojciec z dezaprobatą, po czym siadł i wypił pół szklanki whisky. – Nawet tak nie myśl. Żywię nadzieję, że będziesz często przyjeżdżał do domu. Jesteś jej jedynym synem.

– Ale nie traktuje mnie tak – zripostował Allen.

– Zachowujesz się jak dziecko – zauważył ojciec. – Myślę, że za bardzo cię kocha i nie potrafi się z tobą rozstać. Oto jej problem. Pępownina nadal nie została przecięta. I nie chodzi tu jedynie o ciebie, lecz o całe twoje życie, jakiego dla ciebie oczekuje. Kiedy dowiedziała się, że nie może mieć więcej dzieci, myślałem, że te wszystkie wyplakiwane przez nią łzy ją zabiją, że nigdy nie dojdzie do siebie. Siedzieliśmy do późna w moim pokoju, w starym fotelu, i przez całą noc ją tuliłem, lecz nie mogliśmy zasnąć. Myślę, że nigdy nie wybaczyła tego Bogu. Nie modli się wieczorami, nie robiła tego od lat, pomimo że do kościoła chodzi co niedziela. Tłamsi to w sobie, tłamsi wbrew mnie w sposób, którego nie pojmuję. Bóg wie, że to nie moja wina.

– Cholera, zawsze chce postawić na swoim – warknął Allen. Pan Kennedy zignorował to.

– To budząca litość, cudowna i dziecinna istota – rzekł czule rozmarzony. Po raz pierwszy przemawiał do syna jak do mężczyzny. – Jest tak silna, zdolna, zaradna i apodyktyczna, że czasami ledwie mogę z nią wytrzymać, lecz wówczas przypominam sobie jej drugą naturę dotkniętego nieszczęściem dziecka. Synu, chyba nie mogę oczekiwać, że to pojmiesz, lecz ja ją rozumiem. Ma wiele twarzy, a ja uznałem to za interesujące i nie umiałbym pokochać kobiety,

która taka nie jest.

Zerknął na syna nieśmiało i niemal uspokajająco, a jego wyznanie skrywało milczące błaganie. Allen był wzruszony i skrepowany. Nie potrafił wyobrazić sobie matki w roli żony. To nagość, którą natychmiast trzeba było zasłonić. Wolał to zignorować, toteż wstał dziarsko i oznajmił:

– Widzę, że uczyniłeś dla nas wszystko, co w twojej mocy. Tato, teraz moja kolej. Zjesz z nami lunch, prawda? Myślę, że wyruszymy w drogę dziś po południu. Przyślę kogoś po ubrania i książki.

– Muszę odmówić. – Pan Kennedy był bardzo znużony i niezbyt pewien, czy chce ujrzeć to śliczne dziewczę raz jeszcze. – Przyjadę do was w odwiedziny, kiedy się urządzicie.

– Dam ci znać – obiecał Allen i mocno uściśnił sobie dłonie. Oparł się naglej chęci położenia głowy na potężnym, przygarbionym starym ramieniu ojca, po czym rzekł stanowczo i dobitnie: – Cieszę się, że mówiłeś wprost. To wiele wyjaśniło i wiem, na czym stoję.

Pan Kennedy odchrząknął i usiłował wymyślić coś, co warto powiedzieć. Czuł, jak trzęsą mu się kolana, i żałował, że nie może się na chwilę położyć.

– No cóż, synu, do widzenia. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, przyjdź do mnie. Ja się nigdy nie zmieniam.

– Wiem. – W tym znajomym zwrocie tkwiły wzruszające wspomnienia. Ojciec wymawiał te słowa przy każdym rozstaniu, a jednak tak naprawdę nigdy nie mógł nic uczynić.

Allen uśmiechał się bezustannie, dopóki nie zamknął za wychodzącym ojcem drzwi, po czym usiadł i wsparł głowę na dłoniach.

W pokoju obok czekała Josui, której honor zabraniał przyglądać się i przysłuchiwać rozmowie ojca z synem. Niemniej jednak wiedziała, że padły jakieś słowa i nakazy, które stanowiły dla niej zagrożenie. Stała nieruchomo pośrodku hotelowej sypialni. Była zmęczona nie tylko podróżą – upłynęło wiele lat, odkąd siadywała w fotelach i sypiała na uniesionych nad podłogą łóżkach. W nadwreżonych mięśniach nóg czuła ból, a od miękkich materaców bolały ją plecy. Znużyła ją również determinacja, by nie być bezustannie zdumiona, a już z pewnością na taką nie wyglądać. Jakże niewiele znali się z Allenem! Ciężkie brzemie przygniata miłość, kiedy musi się na niej opierać także zrozumienie. Jej miłość była wystarczająco silna, ale czy jego również? Zawsze tak myślała i nadal nie przestawała w to wierzyć.

Usłyszała, jak w pokoju obok zamknęły się drzwi, a kiedy jej nie zawołał, chwyciła delikatnie klamkę i zajrzała. Siedział, trzymając się za głowę – cóż to za straszne zmartwienie na niego spadło?

– Allennie!

Podskoczył na dźwięk jej głosu, jak gdyby zapomniał, że tam jest, a następnie opuścił dłonie.

– Allennie, co się dzieje? – zawołała, po czym prędko weszła i klękała przy nim. – Allennie, powiedz! Jak poszło?

Wstydił się jej powiedzieć. Jakże mógłby jej wyjaśnić, dlaczego prawo zabrania im być

razem, co – jak zresztą podejrzewał – było prawdą? Jak wyjaśnić coś niewytłumaczalnego, a mianowicie to, że wpadła w sieć zarzuconą na innych? Jakże wyjaśnić fakt, że siatka zawieszona przeciwko osom separowała również od motyla!?

– Matka nie czuje się najlepiej – rzekł z zakłopotaniem. – Ojciec mówi, że musimy poczekać, dopóki nie wydobrzeje. W każdym razie musimy znaleźć jakieś miejsce, gdzie ułożymy sobie życie.

Kiedy zobaczył, że zmienia się wyraz jej twarzy, pospiesznie dodał:

– Wiesz, Dzióbeczku – tak ją żartobliwie nazywał – w Ameryce nie mieszka się z rodzicami, zapewniam cię. Tutaj większość młodych ludzi nie zniosłaby tego i nie sądzę, by starsi również tego chcieli na dłuższą metę. Być może do świąt Bożego Narodzenia pojedziemy do nich, tymczasem...

Wstał i włożył ręce do kieszeni, po czym zaczął chodzić po pokoju. Klęczała i patrzyła na niego. Wodziła za nim wielkimi, czarnymi pozbawionymi wyrazu oczyma, a na jej białej twarzy malował się spokój.

– Nowy Jork to miejsce dla nas, wielkie miasto, gdzie żyją najrozmaitsi ludzie i to razem. Spójrz, Dzióbeczku, moje miasto rodzinne jest takie małe, każdy żyje tam od pokoleń... Jakiś tuzin rodzin, ich służba i satelity, że tak powiem. Myślę, że nigdy nie widzieli Japonki.

– Ale to jestem ja...

Zbyt dużo mu umknęło. Zatrzymał się przed nią i usiłował się uśmiechnąć, kiedy patrzył na jej zwróconą ku niemu twarz.

– Pamiętasz, co myślał o mnie twój ojciec, prawda?!

– Ale żeby w Ameryce... ?

– Och, tak, kochanie, w Ameryce! Zwłaszcza tutaj! Zapomniałaś? Kiedy byłaś dziewczynką, żyłaś w Los Angeles. Nie pamiętasz? – rzekł rozgoryczony.

O tak, pamiętała. Pochyliła głowę i na jej długich prostych rzęsach zawisły łzy.

– Myślałam, że to się zmieniło – wyszeptowała.

– Być może się zmienia – przyznał. – Ja jestem częścią tej zmiany i ty również.

Na słowa te uniosła głowę i złęczona spojrzała mu w oczy.

– Czuję się przez to taka samotna – powiedziała cicho.

– Dwie błąkające się gwiazdy – zgodził się – które usiłują stworzyć swój własny wszechświat. Dzióbeczku, to jest możliwe.

Ujął jej dłonie i podniósł ją z kolan.

– Pani Kennedy, proszę więcej nie klękać. I chyba już przestanę nazywać cię Dzióbeczku. To było dobre podczas podróży poślubnej.

Lecz maleńka, koniec miesiąca miodowego. Czas zacząć normalne życie. Będę nazywał cię Jo Kennedy. Niezłe. Brzmi amerykańsko, nie?

Odważnie się gniewał i dzielnie buntował. – Do diabła – pomyślał – z przeszłością i z tym, co stare. – Wystąpi z wojska, pojedzie do Nowego Jorku i znajdzie pracę. Będzie dobrym mężem

i żywicielem rodziny. Ojcem? Wzdrygnął się na samą myśl. No cóż, jeśli tak, znajdą nierzucające się w oczy miejsce bez żadnych sąsiadów, skrawek w ulu, gdzie nikt nikogo o nic nie zapyta, małe mieszkanko...

– Chodź, Jo – zawołał i mocno ją przytulił. Był to uścisk pełen gniewu, a nie namiętności. – Pozbieraj swoje rzeczy. Jedziemy na północ.

Na pozór zmiany zachodziły szybko. Bez trudu udało mu się znaleźć pracę w redakcji tygodnika, kiedy okazał autentyczne świadectwo pracy z sił zbrojnych. Miał znakomite referencje, atrakcyjny wygląd i doświadczenie. Jego zarobki wystarczyły na opłacanie małego mieszkanka, które znalazł przy Riverside Drive. Josui zdążyła poznać nowych przyjaciół: Chinkę i jej męża, studenta Uniwersytetu Columbia, oraz parę Japończyków, którzy studiowali pedagogikę i psychologię dziecięcą.

Również między nią a Allenem coś się zmieniło. Pomimo że każde z nich zaczęło wieść w samotności sekretne życie, uparcie trwali przy sobie w wielkiej miłości, w której raz na jakiś czas pojawiała się namiętność intensywniejsza, niż kiedykolwiek doświadczyli. Nie byli dziećmi slumsów, dla których to małe zadbane mieszkanko byłoby rajem. Nie byli nawet dziećmi bloków, wind, małych tarasików i wysokich, czarnych od sadzy dachów. Byli dziećmi przestrzeni i dostatku. Josui sprzątała maleńką kuchenkę i myślała o panoramach swojego domu w Kioto, rozsuniętych parawanach z płatów papieru i pokojach otwierających się jeden na drugi jak okiem sięgnąć. Allen zaś wieszał ubrania w szafie wnękowej o powierzchni jednego metra kwadratowego i myślał o swych pokojach w dużym podpartym filarami domu, który otrzyma kiedyś w spadku, o własności, której nikt mu nie odbierze, gdyż był jej prawowitym spadkobiercą. W tajemnicy przed sobą myśleli o ogrodach i sadzawkach, a Josui śniła nocami o szumie oddalonego o tysiące kilometrów wodospadu. On również do niej należał, a do tego sadzawki, dom w płatach papieru i skarby tokonomy. Żadne z nich ani na chwilę nie zrezygnowało z miłości, lecz każde marzyło o tym, czego nie mieli i być może nigdy mieć nie będą.

Trzymali również w tajemnicy przed sobą narastającą nienawiść do miasta. To był przejściowy etap ich życia. Któż potrafi żyć na skrawku struktury przypominającej plaster miodu i jeszcze nazywać to życiem? Być może embrion, ale nie żywa, poruszająca się i odczuwająca istota ludzka – myślała Josui w swoim sekretnym życiu, którego pilnie strzegła przed Allenem. Nigdy by nie pomyślał, że jego żona takowe prowadzi, podczas gdy sam opętany był własnymi tajemnymi myślami. Doprawdy nie mógłby porzucić swych nadziei i determinacji, by znaleźć sposób na powrót do domu.

Coraz bardziej złościł się z powodu udaremnionej miłości do domu, czasów dzieciństwa i rodziców. Bezustannie o nich myślał... że mieszkają w jego ukochanym domu, i gniewał się na ojca nawet bardziej niż na matkę. Mężczyzna powinien żądać i upierać się, powinien narzucić kobiecie swą wolę, a jeśli tego nie czynił, był słaby. Nie wiedział, że tak bardzo różni się od ojca. Pomimo że był zbyt wybredny, by cieszyć się prostytutką, którą mógł mieć każdy,

podporządkowanie podbitego kraju zmieniło go tak jak wszystkich mężczyzn. Są tacy, którzy nie potrafią się obejść bez zmuszania zdobytych kobiet do uległości – to ostatni etap wojny, zwieńczenie osobistego zwycięstwa. Zaprzeczyłby, że jest jednym z nich, a jednak był. W odróżnieniu od ojca był arogancki i stanowczy, należał do pokolenia, które fizycznie dominuje i podbija siłą, i tym się właśnie od siebie różnili, ojciec bowiem nie miał ochoty nikogo zdominować ani kontrolować.

Kiedy tak myślał dzień za dniem, nieświadomie stał się bardziej stanowczy, wymagający i nieprzejednany nawet w stosunku do Josui.

Zdumiewało ją to i nie pojmowała, dlaczego tak często nie podoba mu się to, co robi. Była perfekcjonistką, osobą, której tak bardzo zależało, by postępować tylko i wyłącznie dobrze, że godzinami potrafiła układać kwiaty w stojącym na stole wazonie w rogu małego saloniku, który służył również jako jadalnia. Jednakże uwaga poświęcona nawet najdrobniejszym szczegółom nie powstrzymywała jej determinacji, by skończyć wszystko przed jego powrotem do domu. Nie miała służącej i nawet nie chciała mieć, pamiętała bowiem, że w Ameryce niewiele kobiet ma służbę. Zresztą czym wypełniłaby sobie czas? Zaplanowała, że kiedy nadejdzie zima i nie będzie mogła chadzać do parków, zacznie uczęszczać do jakiejś szkoły. W mieście było ich pełno, toteż zamówiła informatory i analizowała je, czekając w nocy na pracującego do późna Allena. Zdarzało się to kilka razy na tydzień, lecz to ostatnia noc była szalona, kiedy „zamykali numer”, jak to nazywał. Czasami przychodził o świcie, lecz ona zawsze na niego czekała.

Gdyby chodziła do szkoły, mogłaby się w tym czasie uczyć, tymczasem czytała książki, które wypożyczała z pobliskiej biblioteki. Niektóre były dobre, a inne złe. Nie wybierała ich według jakiegoś klucza, a jedynie grzecznie prosiła starszą bibliotekarkę o takie, które opowiadały o życiu w Ameryce. Czytała je z coraz większym zdumieniem i konsternacją. Gdzie było jej miejsce wśród tych kobiet z tyloma problemami? Jej życie, które wiodła ze swym ukochanym, ograniczało się do tego małego mieszkanka.

Lecz czy to mogło trwać wiecznie? Zdarzało się, że dom wydawał się ciasną klatką, że jej dobre myśli stawały się niespokojne. Czy to naprawdę było już wszystko?

– Allennie – powiedziała jednego z takich dni – nie masz żadnych przyjaciół, mój drogi?

Podawała mu małą porcyjkę docenianej przez niego smakowitej potrawy sukiyaki ze stertą lekkiego jak piórko ryżu.

– Przyjaciół? – powtórzył.

– Z którymi moglibyśmy się spotkać – wytłumaczyła. – Mogłabym zrobić taki smaczny obiad, może dla czterech osób, i byśmy sobie przy nim porozmawiali.

– Jo, nie mam czasu dla nikogo spoza biura, ale może kiedyś... Zaprosiła małżeństwo, które pewnego dnia poznała w parku, dwoje młodych Amerykanów japońskiego pochodzenia urodzonych i wychowanych w Seattle, obecnie studentów Uniwersytetu Columbia. Byli mili, lecz powściągliwi. – Mąż Josui – pomyśleli – nadal jest młodym amerykańskim oficerem. – Trudno im było zapomnieć, że żyli za drutem kolczastym w wypalonym słońcem obozie w

Arizonie. Mimo to wieczór był przyjemny. Pasją więzionych młodych Japończyków stało się rzeźbienie poskręcanych korzeni pustynnej bylicy, toteż za namową Josui przynieśli kilka najlepszych dzieł, ale żadne z nich nie było na sprzedaż.

– Trzymamy je, by nie zapomnieć – rzekła krępa kobieta. Prowadzili serdeczną, lecz wymuszoną rozmowę, podczas której obsypano Josui wieloma pochwałami za kulinarne umiejętności, jednak dość wcześnie poszli do domu. Więcej ich nie zaprosiła.

– Allennie, nie są w twoim typie? – zapytała po ich wyjściu.

– To nie ma znaczenia – powiedział naprawdę życzliwie. – Są bardzo mili. Chcę, byś miała przyjaciół.

I wtedy nagle cały niepokój zniknął. Pewnego dnia, kiedy wróciła z rynku, gdzie co dzień robiła zakupy, poczuła duże znużenie i położyła się do łóżka. Wystąpiło kilka oznak, których się lękała, spóźnienie, drobne zmiany w organizmie, które uznała za urojone. Jej comiesięczna niedyspozycja nigdy nie była regularna. Powodem był wstrząs – tak orzekł niegdyś pewien medyk w Japonii – po wyjeździe z Ameryki, utrata wszystkiego, co знаła, kiedy z dziecka przeistaczała się w kobietę, i zerwanie głębokich więzi uczuciowych nie tylko z przyjaciółmi, lecz również ze znajomymi krajobrazami. Konieczność dostosowania się do japońskiego środowiska, zarazem obcego i znajomego, narzuciła pewne ograniczenia jej duszy i bez wątpienia jej umysłowi, a to odbiło się na jej organizmie. Kilka tygodni temu zastanawiała się, czy jest w ciąży. Lękała się, nie dowierzała i własną niechęcią usiłowała zapobiec poczęciu dziecka, wszak czyż ich dom się dla niego nadawał? Chodziło tu nie tylko o zamieszkiwane przez nich pudełko bez ogrodu, w którym dziecko mogłoby się bawić, lecz również o park, gdzie widziała, jak białe kobiety strzegą swe pociechy przed dziećmi o ciemniejszym kolorze skóry. Nie zabrałaby tam dziecka. Dziecka!

– Nie, nie – wymamrotała.

Dzisiaj, kiedy tak leżała, odpoczywając, nagle poczuła w sobie drgnięcie, ruchy lekkie jak piórko, lecz niezależne od niej. Oznaki, których nie chciała dostrzec, nieodwołalnie zajęły swe miejsce. Poczuła w ciele siłę innego życia. Tkwiło tam, rozpoczęło się i było już za późno. Dziecię żyło.

Zatrwożona leżała nieruchomo, po czym położyła się na brzuchu i poczęła łkać w poduszkę.

Na szczęście nienarodzone dziecko nie wie, kiedy matka płacze. Chciano czy też nie, zaczyna radosne życie, a cierpienie matki go nie dotyczy. Bardzo dobrze, że żyje w oddali i samotności, przygotowuje się na świat własnych wyobrażeń, chciwie rośnie i śpi głębokim snem nienarodzonych, któremu w kwestii spokoju i niepamięci dorównać może jedynie ten ostatni, jakim jest śmierć. Lecz co dzień nieco bardziej się rozbudza i nieco mniej śpi, prostuje nogi i wyciąga ręce, czym przygotowuje się na przełom narodzin, pierwsze wielkie rozstanie z wiecznością. Dla niego czas dopiero się zaczyna.

I tak też było z dziećciem tego świata, Lenniem. Nie miał pojęcia, że jego matka często łka, pochłonał go bowiem własny rozwój. Nie myślał, a jednak rósł. Nie wiedział, ani nawet nie dbał

o to, w kogo się wrodzi, wszak nie był świadom tego potężnego połączenia w swym nikłym ciałku. Spał, odżywiał się przez pępownię i od czasu do czasu poruszał się coraz bardziej nerwowo, nie wiedząc jednak, że jego istnienie jest wielką tajemnicą pomiędzy nim a matką.

Josui nie chciała powiedzieć Allenowi o tym, że jest w ciąży. Dostrzegła, że mężczyzna, którego poślubiła z taką namiętnością i którego nadal najnamiętniej miłowała, nie jest szczęśliwy. Bardzo ciężko pracował, ale był dla niej życzliwy i jak ufała, kochał ją, nadchodziły bowiem godziny największej czułości, kiedy leżała uległa w jego ramionach, a miłość stapała ich w jedność, gdy wszelkie myśli cichły, a uczucia wirowały w nieziemskim połączeniu ich ciał. A jednak już zawsze będzie świadoma istnienia tej sekretnej trzeciej istotki. Czy radowała się tym połączeniem? Czy zastanawiała się... czy czuła, jak odległe sztormy zakłócają jej spokojne morze?

– Co się z tobą dzieje? O czym myślisz? Jesteś gdzieś hen daleko. Wracaj tu do mnie natychmiast.

– Jestem. – Wyciągnęła ręce. – Spójrz, jestem tu z tobą.

Nie, nie powie mu, gdyż nie była dla niego wszystkim. Od dawna wiedziała, że ma przed nią tajemnice i wiedzie osobne życie. Myślał o sprawach, którymi nie mógł się z nią podzielić. Nie dotyczyły one jedynie domu, rodziny, z którą rozstał się przez nią, i dzieciństwa, którego z nim nie przeżyła, lecz w dużej mierze niezrozumiałych dla niej kwestii związanych z jego światem. Interesował się polityką, lecz ona nie pojmowała tego zainteresowania, czytywał książki, których ona nie mogła przeczytać, marszczył czoło nad gazetami i czasami bardzo się gniewał, kiedy słuchał wiadomości przez małe radyjko. To wszystko nie miało dla niej znaczenia, lecz skoro dla niego było tak istotne, czy nie powinno interesować również jej? Kiedy usiłowała to zrozumieć i zadawała mu wiele pytań – dla kogo bowiem miała się uczyć, jeśli nie dla niego? – odpowiadał jej zniecierpliwiony, czego starał się unikać; wszak nic nie łamało jej serca bardziej niż jego ledwie kontrolowane zniecierpliwienie, które uwidaczniało się coraz bardziej.

– Jest tego zbyt wiele, byś mnie uczył – zdecydowała głośno pewnego dnia.

– Nie, nie o to chodzi – przekonywał. – Po prostu kiedy wracam do domu, jestem zmęczony.

Lecz właśnie o to chodziło. Gdyby uczęszczała do szkoły, jak to zaplanowała, mogłaby się uczyć o Ameryce. Jednak nie było na to najmniejszej szansy i nie miałyby to sensu teraz, kiedy dziecię było w drodze. Nie potrafiła się go pozbyć, pomimo że niegdyś próbowała. Opowiedziała o wszystkim zaprzyjaźnionej Japonce i razem udały się do lekarza. Według niego było za późno i już teraz musi urodzić, poza tym on nie wykonywał tego typu zabiegów. Nawet się ucieszyła, gdyż uśmiercanie dziecka przed jego narodzinami nie było według niej sprawiedliwe. To nie jego wina, że stało się dziecięciem tego świata – wszak takie było jego przeznaczenie.

Minęła jesień i nastąpiła wczesna zima. Josui zamartwiała się swą tajemnicą i bardzo przez to schudła. Wielokrotnie nieomal wyznała ją Allenowi – było naprawdę blisko. Pomimo że czuła na języku ciężar słów, nie odważyła się ich wypowiedzieć nie dlatego, że się go lękała (bo wcale tak nie było), lecz dlatego, że wiedli niestabilne życie. Podpisywali zaledwie miesięczną umowę

najmu tego małego mieszkanka, a jakże można żyć z miesiąca na miesiąc?

– Pewnego dnia pojedziemy do domu, jeszcze nadejdzie taki czas. Nawet jeśli matka odmówi, to przecież kiedyś umrze. Ale nie martw się, nie odmówi.

– Allennie! – zawołała zatrwożona. – Nie mów tak o matce, bo spotka cię za to kara.

Był osobliwie bezduszny.

– Śmierć to coś naturalnego. Dobrze, że starzy umierają, gdyż dopóki żyją, nie ma postępu.

– Allennie, to twoja matka! – zakryła mu usta delikatną dłonią.

– To ograniczona kobieta – zripostował i odepchnął jej rękę. – Urodziła się i wychowała w tym małym miasteczku i nie potrafi bądź nie chce pojąć, że wszystko się zmienia.

– Przecież kochasz to miejsce.

– Tak, wiem, toteż trudno mi wybaczyć, że nie pozwala mi w nim żyć.

– Nie chcę, by umarła – rzekła stanowczo. – Nie potrafię nikomu życzyć śmierci i lękałabym się to uczynić.

Nadal przemawiał osobliwie:

– To dlatego, że nigdy nikogo nie zabiłaś. Ależ Josui, spójrz mi w oczy... Nauczono mnie tego, to nic trudnego. Czasami, kiedy słucham naszego redaktora naczelnego, nie potrafię uwolnić się od myśli, w jaki sposób bym go zabił, gdyby był wrogiem. Znam czułe miejsca w jego ciężkiej masie i doskonale bym wiedział, jak się przed nim bronić: czułe miejsca na szyi, pod żebrami... i wnet zatopiłbym bagnet w jego tłuszczu.

Patrzyła na niego sparaliżowana coraz większą trwogą. Ubrana w przewiązywany w talii mały różowy fartuszek, wycierała szklany półmisek, i przy tych słowach mocno go ścisnęła.

Roześmiał się.

– Jo, nie martw się, nigdy tego nie uczynię. Tak tylko wyglądała część mojego szkolenia. Mówię o tym, by wyjaśnić, dlaczego śmierć nie jest już dla mnie taka straszna.

Nic nie odrzekła, tylko odwróciła się do zlewu i ponownie zaczęła zmywać naczynia w ciepłej wodzie z mydłem.

Naturalnie bardzo kochał swą matkę, w przeciwnym wypadku nie gniewałby się tak na nią.

Powinam odejść – pokornie pomyślała Josui. – To przeze mnie żyje z dala od wszystkiego, co najbardziej miłuje.

Jakże jednak mogłaby odejść? Miała trochę pieniędzy w banku w San Francisco, ale nie miała dokąd pójść. Gdyby napisała do ojca, być może przysłałby jej więcej pieniędzy, lecz przecież powiedział, by nie wracała. Zresztą jakie życie czekałoby ją w jego domu? A dziecię? Och, któż zecheałby je prócz niej? To niemożliwe, by ojciec mieszkał z nim pod jednym dachem. Zawsze będzie ich przed sobą ochraniać. Widziała oczyma wyobraźni tę małą istotkę bez wątpienia podobną do Allena, słyszała bowiem, że biała krew zawsze dominuje i nie sposób jej ukryć. Czy takie dzieciątko mogłoby szczęśliwie dorastać w kraju, gdzie wszyscy mają złocistą skórę oraz czarne oczy i włosy?

Czyż nie byłoby tam zbyt nieszczęśliwe? Musi zostać tu, pośród takich jak on. Zatem jakże

mogłaby odejść?

Trudno jej było nawet przebywać z zaprzyjaźnionymi Japończykami, zaczęła się stopniowo od nich oddalać. Nie mogła powiedzieć przyjaciółce, o czym myśli dniami i nocami, toteż znajdowała wymówki, a to że nie czuje się dobrze, a to potrzebuje dużo odpoczynku. Oboje byli zajęci szkołą, tak więc z czasem w ogóle przestała się z kimkolwiek widywać.

Pewnego dnia Allen zatelefonował i zapowiedział, że przyprowdzi swoją przyjaciółkę, Cynthię, towarzyszkę zabaw z dzieciństwa, jak się o niej wyraził. Odwiedziła go w biurze i poprosiła o spotkanie z Josui, toteż przyjdzie z nią dziś wieczorem, a Josui ugotuje z tej okazji wyborne sukiyaki. Jego głos brzmiał przez telefon radośnie, co bardzo ją ucieszyło, gdyż nie zdarzało się to od miesięcy.

Posprzątała małe mieszkanko i kupiła naręczę chryzantem, ale dała się jeszcze skusić na kupno trzech, wielkich i żółtych, takich, jakich jesienią ojciec miał w ogrodzie setki. Spędziła dwie godziny na przygotowaniach, by wyczarować przestrzeń w pokojach, w których w ogóle jej nie było, po czym w końcu otworzyła okno i zaczerpnęła ją ze skrawka nieba i kilku dachów w tle.

Och, i bardzo starannie przygotowała potrawę. Kilkakrotnie płukała ryż, dopóki nie pozbyła się każdej drobinie białej skrobi, by był kleisty, i perfekcyjnie gotowała go na parze. Wycięła z rzodkwi kwiatuszki, a rzeżuchę i endywię przeznaczyła na ugarniowanie klarownego bulionu z kurczaka oraz ryby w całości. Nie potrafiła znieść bezgłowych kawałków, jakie proponowali jej Amerykanie – ryba była piękna, lecz bez głowy szkaradna – czy nikt tego nie widział? Polerowała czarki i półmiski i sprzątała kuchnię, dopóki nie zaprotestowało dziecię i musiała się położyć, by je uspokoić.

Wymyśliła dla niego imię, wszak trzeba jakoś się zwracać do dziecka, nim przyjdzie na świat. Dużo rozmyślała nad tym problemem. Jak powinna nazwać dziecię tego świata? Z pewnością inaczej niż nazywają się ojciec i matka. Znała amerykańskie imię Joseph, jednak nie podobało jej się. Rozważała imię zmarłego brata, Kensana, lecz czy jej dziecię miało do niego prawo? Nie chciała używać go bez pozwolenia, a nie było nikogo, kto by go udzielił. Wyobrażała sobie małą buzię dziecka niepodobnego do nikogo znajomego, a zarazem podobnego do wszystkich. Prawdziwe dziecię tego świata. Nie nazwałaby go po ojcu, skoro matka Allena nie chciała go uznać. Allenn, Allenn! A może chociaż częściowo po nim i niechaj ma na imię Lennie? Wymówiła je i tak już zostało. Widziała małą, pełną życia buzię i duże oczy, których barwy nie potrafiła rozpoznać, a mimo to wyraźnie widziała dziecko, do którego pasowałoby to imię, toteż nie myślała już nad innym i zwracała się do niego Lennie. Kiedy niecierpliwił się jej bieganiem po mieszkaniu, sprzątaniem, odkurzaniem i pucowaniem, kiedy zbyt długo kroila na stojąco gotowe do sukiyaki warzywa, słodko go karciała:

– Lennie, mogę usiąść, doprawdy mogę to uczynić, lecz nigdy nie widziałam, by jakakolwiek kobieta siekała warzywa na siedząco. Zawsze stoimy, bądź więc łaskaw się uspokoić.

Jednak nie zrobił tego, zatem położyła się, by odpocząć.

Czy ta kobieta, ta Cynthia, dostrzeże to, czego Allen nie zauważył? Czy będzie przyjaciółką, czy wrogiem?

Kiedy tylko ją ujrzała, wiedziała, że to przyjaciółka. Jej mąż wszedł do pokoju z wysoką śliczną dziewczyną tak jasnowłosą i tak pełną gracji, że Josui od razu spojrzęła na nią z pełnym pokory zachwytem. Oczywiście to ona była dziewczyną, którą powinien był poślubić – natychmiast to dostrzegła i wnet całkowicie zrozumiała jego matkę. Och, naturalnie to Cynthia była tą jedyną i gdyby Josui wiedziała, że istnieje taka kobieta, odmówiłaby mu, ponieważ tak bardzo go miłowała.

Niezdolna nic powiedzieć wyciągnęła rękę, a Cynthia ujęła ją obiema dłońmi i entuzjastycznie rzekła ciepłym głosem:

– Tak bardzo pragnęłam cię poznać. Znamy się z Allenem całe życie i jesteśmy dla siebie jak rodzeństwo. Żywię nadzieję, że tak ci właśnie powiedział.

– Tak – potwierdziła Josui.

Zawahała się. Nie potrafiła oderwać wzroku od tej ślicznej, cudownej dziewczyny, jej najbłękitniejszych oczu, tak białej i gładkiej skóry oraz słodkich pełnych ust.

– Cynthia, zdejmij kapelusz – zaproponował Allen. Zachowywał się jak gapa, jednak cieszył się, że ją widzi. – Poczuj się jak u siebie. Ubogo tu, ale to nasz własny kąt. Josui, a gdzie twe maniery?

– Jestem taka zdumiona – wyszeptała bezradnie.

– Czym? – zapytał.

– Jest taka śliczna – rzekła bezradnie. – Nie spodziewałam się, nie uprzedziłeś mnie...

Na słowa te roześmiali się i spojrzeli na siebie z radosną wyrozumiałością.

– Och, jesteś takim miłutkim maleństwem – powiedziała z przejęciem Cynthia. – Allenie, nie mówiłeś, że jest taka miłutka. Nie dziwię się, że za nią szalejesz. Mogłabym wpiąć ją w klapę zakietu jak kwiatek.

Och, Josui również się roześmiała. Zauroczona bardzo się ucieszyła, że ta życzliwa i postawna, a mimo to prześliczna dziewczyna, jest właśnie taka, a nie inna.

– Proszę, siadź – rzekła, dochodząc do siebie. – Przyniosę herbatę. Allenn powiedział, że dzisiaj wszystko ma być po japońsku. Przepraszam was na chwilkę.

Wyszła do maleńkiej kuchenki, zamknęła za sobą drzwi i na minutę siadła na taborecie, by spokojnie pooddychać.

– Lennie – cicho skarciła nienarodzone dziecię. – Proszę nie podskakiwać. Fartuch coś tam zakrywa, ale nie wszystko. Ty nie jesteś zaproszony. Proszę, pomóż matce!

Uspokoił się, kiedy tylko uspokoiło się jej serce. Josui wstała, zrobiła herbatę i nalęła ją do czarek.

W pokoju za zamkniętymi drzwiami również było bardzo cicho. Słyszała ich głosy, ale nie słowa. Być może rozmawiali o domu, matce i sprawach, których nie poruszyliby przy niej. To normalne, choć czuła się nieco samotna. Ociągała się przy robieniu herbaty, by dać im trochę

czasu.

– ... Allenie, ona jest zachwycająca – odezwała się Cynthia. – Gdyby twoja matka ujrzała ją choć raz, ufam, że wiele by to zmieniło.

– Pomyślałem, że być może na święta Bożego Narodzenia... – przerwał.

– Też tak pomyślałam – powiedziała zatroskana. Bardzo im współczuła, co widać było w jej oczach, półuśmiechu i zapale, z jakim się ku niemu pochylała w fotelu. Nie była tego świadoma, lecz on to dostrzegał. Trochę smutny zastanawiał się, a starał się być obiektywny, czy Cynthia miłowałaby go, bądź on ją, gdyby nigdy nie poznał Josui. Jeśli matka zechciałaby uwierzyć, że nigdy by się nie pokochali, być może byłyby dzięki temu mniej zawzięta.

– Czuję, że mogę ci o wszystkim opowiedzieć.

– Bo taka jest prawda, Allenie.

– Wiesz, jakie nadzieje zawsze żywiła moja matka w związku z tobą i mną...

– Och, tak – rzekła natychmiast. Nie zarumieniła się, a jej błyszczące oczy były jak zawsze spokojne.

– A gdybym nigdy nie poznał Josui?

– Och, nigdy nie myślałam o tobie w ten sposób – rzekła zdecydowanie. – Allenie, strasznie cię lubię, wiesz o tym. Ojej, nie potrafiłabym wyobrazić sobie życia bez ciebie, ani kiedyś, ani teraz, lecz nie sądzę, by ten rodzaj sympatii prowadził do miłości zwieńczonej ślubem. A ty? Tak szczerze...

– Nie wydaje mi się – powiedział dość niechętnie.

– Dlaczegoż o tym mówisz?

– Gdyby udało ci się przekonać moją matkę – zasugerował. – Być może to by pomogło?

Zamyśliła się i splotła na kolanie śliczne białe dłonie.

– Rozumiem, o co ci chodzi. – Wczuła się w rolę. – Dlaczegoż by nie? Uczynię wszystko, co w mojej mocy. Wpłynę na twą matkę wbrew jej woli i powiem, że ta mała istotka jest taka kochana... Josui... dobrze wymawiam jej imię? I zobaczmy... zobaczmy...

– Cynthia, gdybyś mogła...

– Mogę – zapewniła serdecznie. – Allenie, cóż za oczy! Takie duże i czarne, a jakie proste rzęsy! Czy wszystkie takie są... czy każda... ?

– Josui jest znacznie piękniejsza od wszystkich dziewczyn, jakie kiedykolwiek widziałem w Japonii – powiedział z właściwą mężowi powściągliwością.

– Piękniejsza niż wszystkie dziewczyny, jakie kiedykolwiek widziałam w Ameryce – dodała wielkodusznie. – Nie obwiniam cię o tę miłość. Jestem całkowicie po twojej stronie, przeciwnikom zaś wypowiadam wojnę!

– Cynthia, daję ci wolną rękę – powiedział z entuzjazmem. Usprawiedliwiła jego czyny i być może naprawdę dokona tego, czego nie udało się osiągnąć jemu i jego ojcu.

– Jeśli twoja matka nie ulegnie, zaproszę do siebie Josui i wyprawię dla wszystkich przyjęcie, a potem zobaczmy...

– Och, sam nie wiem... – zaczął zatrwożony.

– Allenie, nie bądź tchórzem! Przyprzemy ją do muru. Przyjedziecie na święta.

Zdumiały go jej determinacja, optymizm i pełna entuzjazmu energia. A może jednak, może jednak!?

W tej chwili weszła Josui z czarkami. Cynthia wypytała ją o ceremonię picia herbaty, o której słyszała i czytała, lecz której nie pojmowała, a Josui wszystko jej wyjaśniła, tym razem bez cienia nieśmiałości. Nikt nigdy nie pytał jej o Japonię, a ona lubiła rozmawiać o domu, ojcu, matce, kwiatach i tokonomie. Allen dostrzegł zdumiony, że Cynthia jest czarująco zaciekawiona i okazuje prawdziwie szczere i entuzjastyczne zainteresowanie. Wiedział, co Josui ma na myśli, mówiąc, że nikt nigdy o to nie pytał. Nie przyszło im do głowy, że Amerykanie z natury niewiele pytają, za to dużo mówią, lecz tacy właśnie byli. Słuchał jej słodkiego, dość niepewnego głosu, kiedy to całkiem o nim zapomniała i uradowana rozmawiała jedynie z Cynthią. Czy czuła się samotna? Obserwował ją z czułością i miał wyrzuty sumienia, że tak często bywał ponury. Czy pojmowała, że cierpiał katusze z powodu nachodzących go wątpliwości co do swych czynów? Być może Cynthią im pomoże. To mogłoby, to musi się dobrze skończyć.

Jej obecność roztoczyła woń, która unosiła się długo jeszcze po jej wyjściu. Szczerość Cynthii rozpałała w Allenie czułość i po raz pierwszy od wielu miesięcy zwrócił się do Josui niemal z pokorą, jakiej nigdy dotąd w sobie nie czuł:

– Byłaś słodka, a sukiyaki było smakowitsze niż kiedykolwiek. Cynthią stwierdziła, że mamy śliczne kwiaty, a ja powiedziałem, że nikt nie potrafi układać ich w takie kompozycje jak ty. Mała Jo, jesteś taka śliczna... Cynthią tak orzekła.

Znów widział ją taką, jaka naprawdę była. Wcześniej zaćmiły go wątpliwości, lecz teraz widział ją oczami Cynthii. Josui była śliczna, miała urok kociaka, drobną sylwetkę oraz maleńkie dłonie, tak smukłe w precyzyjnych ruchach, i niezmiernie pochłaniało ją wszystko, czym się zajmowała. Teraz znów wszystko było urocze. Mógł liczyć na Cynthię. To zaledwie kwestia czasu. Matka uwierzy w to, co ona powie.

Znów byli całkiem szczęśliwi. Allen był tak życzliwy, że Josui o mało nie powiedziała mu o Lenniem. Uczyniłaby to, lecz dostrzegła, że uczucie szczęścia, które go ogarnęło, nadal związane jest z jego domem, rodziną, miastem i tym wszystkim, co w dzieciństwie dało mu schronienie. Nie potrafiła zaufać temu szczęściu, dopóki nie uda mu się stworzyć dla nich oddzielnego świata. Powie mu dopiero wtedy, kiedy będzie pewna, że przesiedlił się z przeszłości do teraźniejszości, gdy opuszczą to zamieszkiwane przez nich pudełko i znajdą gdzieś mały domek z ogrodem, który Allen uzna za swój własny. Lecz czy to wszystko zdąży się zdarzyć?

– Za dużo jem – rzekła Josui, próbując się roześmiać. – Robię się taka gruba. Amerykańskie powietrze służy mi aż za dobrze.

Stwarzała pozory i kryła się za nimi w oczekiwaniu, lecz jak długo to jeszcze potrwa? Cynthia napisała do Allena list, który leżał teraz na stole przy drzwiach, jednak Josui nie miała śmiałości go otworzyć. Tych dwoje coś łączyło... tyle wspólnych przeżyć z dzieciństwa... Nie

miała prawa stanąć między nimi. Ufała Cynthii z całego serca, lecz mieli tak wiele wspomnień. Kiedy Allen przyszedł do domu, wniosła list i powiedziała:

– Allennie, to do ciebie, dzisiaj przyszedł.

Wnet go rozerwał, a ona obserwowała, jak jego oczy suną po dużych kartkach z grubego kremowego papieru. To był ważny list – widziała to po jego twarzy. Nagle zgniótł go i wyrzucił do kosza na śmieci, po czym poszedł do sypialni zamaszystym krokiem.

– Nie mogę zobaczyć? – zawołała, kiedy odwrócił się od niej i wyszedł.

– Przeczytaj, jeśli chcesz – odrzekł, nawet na nią nie zerkając. Pomyślał rozgoryczony, że i tak będzie musiała się kiedyś dowiedzieć.

Wyjęła list z kosza i rozprostowała przed przeczytaniem, starannie wygładzając papier. Był tak śliczny, taki delikatny, jak gdyby wykonano go ręcznie, lecz wiedziała, że w Ameryce niczego nie robi się w ten sposób.

Drogi Allennie... [napisała Cynthia dużymi niepołączonymi ze sobą literami, które spływały po kartce ciemnofioletowym atramentem]. Zgodnie z obietnicą odwiedziłam twą matkę. Opowiedziałam jej o naszej małej kochanej Josui, opisałam ją i wyjawiałam wszystko, co myślę. Nie pozwoliłam jej wtrącić ani słówka – wiesz, jaka ona jest – jej głos potrafi płynąć niczym srebrny potok i przegada każdego, jeśli tylko zechce. Mówiłam, a ona słuchała. Myślałam, że błyskawicznie posuwam się do przodu, i już planowałam w głowie wspólne świąteczne przyjęcie. Pozwoliła mi skończyć i ani razu nie przerwała, lecz powinnam była podejrzewać, że przez cały czas ma w ręku atut. Znasz ten jej wyraz twarzy, tę niewzruszoną, jasną niczym diament pewność, kiedy – a niech to wszystko diabli wezmą – ma rację.

Allenie, dlaczegoś nie powiedziałaś mi o naszym prawie? Prawo – oto jej atut. „Moja droga – rzekła – nawet gdybym uczyniła to, o co mnie prosisz, to jest niezgodne z prawem”.

Nie uwierzyłabym w to, gdybym nie pomówiła z twym ojcem. Czyż to nie osobliwe? Dorastaliście w świecie prawa, a w ogóle się nim nie przejmujecie? Allenie, takie jest prawo. W naszym stanie nie możesz być mężem Josui. Twój ojciec powiedział, że nie da się tego zmienić, że ludzie muszą się na taką zmianę przygotować. To odczucia ustanawiają prawo, a zatem to odczucie musi się zmienić, lecz w naszym mieście nic się nie zmieniło od dwustu lat, czyli odkąd istnieje.

Bezustannie myślę o Josui. Jesteś mężczyzną na własnym terenie. Allenie, myślę, że będzie lepiej, jeśli osiedzicie gdzieś indziej. Ależ na tym świecie panuje bałagan!

Twoja na zawsze, Cynthia Josui przeczytała uważnie każde słowo, a w jej umyśle wzbierało zrozumienie i przesączało się przez nią niczym trucizna. Znów zamknięto przed nią bramy Ameryki. Nie była żoną Allena i nigdy nią nie będzie – prawo im tego zabraniało. Lennie, Lennie!

Włożywszy list do szuflady małego biurka, poszła do kuchni. Polała sosem kupioną o poranku niewielką smakowitą pieczeń i zdjęła pokrywki z dwóch garnków, w których na parze gotowały się jarzyny. Dlaczegoś Allen jej nie powiedział? Wiedziała, że nie potrafiłby tego

uczynić. Więc i on miał swą tajemnicę, straszną tajemnicę. Teraz wszystko pojęła: dlaczego był taki smutny, tak często niecierpliwy i taki niespokojny. Bywał tak bardzo podenerwowany, że zastanawiała się, czy wszyscy Amerykanie tacy są. Wieczorami nie potrafił spokojnie usiedzieć, nawet z nią. Jego zniecierpliwienie to narastająca energia, która w końcu wybuchała niemal dziką burzą namiętności, po czym zasypiał wyczerpany. Lecz ten cykl ponownie się zacznie. Tyle razy się zastanawiała, dlaczegoż w jego miłości nie ma spokoju. Teraz wiedziała. Jej oczy załśniły łzami, które już po chwili kapąły na podłogę. Miłość przeobraziła się w cierpienie. Cóż poczną?

Kiedy wyszedł z sypialni przebrany w spodnie, starą koszulę i skórzane ranne pantofle, podbiegła do niego z rozpostartymi ramionami.

– Och, biedny Allen – zaszlochała. – Tak mi przykro. To moja wina, że się pobraliśmy. Unieszczęśliwiam cię, choć chcę uszczęśliwiać. Cóż mogę zrobić?

Mocno ją przytulił i rzekł dzielnie:

– Dzióbeczku, zamieszkamy gdzieś indziej. – Och, ostatnio nazwał ją tym cudownym głupiutkim słowem wiele tygodni temu. – Zbudujemy nowy dom, a o tym starym w Wirginii zapomnimy.

– Ale twoi przodkowie postawili go dla ciebie. – Bolała nad jego stratą. Przodkowie to jak bogowie, a czy można zapomnieć o bogach?

Pogłaskał ją po plecach, po czym szybko i nerwowo pogłodził jej ramię.

– Myślę, że uczynili to dla siebie, toteż my możemy zbudować sobie nowy. Będę zamożny. Postawię większy dom i wszystkich ich zawstydzę.

Czuła, jak łomocze mu serce. Był wzburzony i zraniony, chciał postawić na swoim. W jego sercu narastał gniew nie na nią, lecz na samego siebie. Josui uspokoiła się, a jej łzy przestały płynąć. Ostatecznie musi dochować tajemnicy, nie można bowiem zbudować na gniewie świata spokoju i bezpieczeństwa. Nie, powinna pomyśleć, poczekać i rozważyć, coż począć, wszak dziecię przyjdzie na świat wbrew prawu. Miłość zrobiła z niego małego przestępcę, pomimo że był niewinny. Oni wszyscy byli niewinni, jednak to jego sięgnie kara. Mogli się rozstać, mogliby nawet zapomnieć, lecz to Lennie ***

nie będzie miał miejsca, gdzie by mógł oprzeć głowę. Och, ileż będzie musiała o tym myśleć!

– Chodź – rzekła i odsunęła się od łomoczącego rozgniewanego serca. Otarła łzy krótkim marszczonym fartuszkim, którego jakoś nigdy nie zdejmowała. Wydawało się, że jej śliczne małe ozdobione koronkowymi frędzelkami fartuszki służyły jedynie do upiększania sukienek. – Allennie, przyrządziłam smaczną pieczeń wołową. Z pewnością po posiłku poczujemy się lepiej. Chodź, chodź.

Postawiła na stole gorącą potrawę i wplotła palce w jego dłoń, po czym usiedli. Lubiała gotować, a każde podane przez nią danie świadczyło o jej wrodzonym poczuciu harmonii: garniowała brzegi talerzy owocami bądź jarzynami, dodawała szczyptę barwnika, układała składniki w taką kompozycję, by wpiętych zachwycił oko. Dostrzegł to teraz, chociaż rzadko mu

się to zdarzało, i przytulił ją.

– Josui, przysięgam, że to niczego nie zmieni!

Delikatnie zaprotestowała, jak zwykle zakrywając jego usta kwadratową, lecz drobną ciepłą dłonią.

– Proszę, nie przysięgaj, po prostu żyjmy, to wszystko.

Ku jego zdumieniu zachowywała się tak jak zawsze, toteż nie mógł uwierzyć, że w pełni pojęła sedno listu od Cynthii. Nigdy nie był pewien, jak wiele rozumie, i nigdy nie zgłębił braków w jej wiedzy na temat amerykańskich zwyczajów. Odnosił wrażenie, że wszystkie je zna i akceptuje, gdy wtem okazywało się, że nie pojęła jakiejś ważnej kwestii i odrzuciła ją jako nieistotną. Jeśli wziąć pod uwagę jej wielką wiarę w sens życia, być może nawet prawo tu niczego nie zmieniało. Nagle jego duszę opanował spokój, cieszył się, że Josui wie. Teraz poczeka, pożyje – jak powiedziała – i popracuje, a życie samo podsunie im jakieś rozwiązanie. Po zjedzonym z apetytem posiłku ogarnęła go senność.

– Dzióbeczku, ugotowałeś wspaniały obiad – wyszeptał, po czym padł na kanapę i zasnął.

Josui nigdy go nie zapytała, co zamierza począć, ani nie wspomniała więcej o złym dniu i liście od Cynthii. Dostrzegł, że nadal jest niewzruszona i pragnie go zadowalać, że już się nie zdumiewa i zdawało się, że zaznała spokoju. Czuł ogromną ulgę, gdyż zrozumiała ten problem na swój japoński sposób. Była mu wdzięczna i niczego nie żądała. Kiedy zbliżały się święta Bożego Narodzenia, jego ojciec napisał, że byliby szczęśliwi, gdyby przyjechał do rodzinnego domu choćby na jeden dzień.

„Myślę, że twoja żona jako buddystka nie będzie odczuwała tego dnia tak jak my – napisał ojciec w przeproszającym tonie. – Przyjechałbym do was, gdybym był sam, jednak twoja wizyta uraduje matkę. Nie ona to zaproponowała, to mój pomysł”.

Allen wręczył list Josui, a kiedy go przeczytała, wyraz jej twarzy się nie zmienił.

– Naturalnie – rzekła natychmiast. – To twój obowiązek, musisz pojechać. Będzie mi tu całkiem dobrze. Może poproszę państwa Sato, by zaprosili mnie na obiad. Allennie, proszę, będę szczęśliwa, jeśli okażesz ojcu posłuszeństwo.

Nie poszła jednak do państwa Sato, pomimo że nie było go już kolejny dzień. Nikt jej nie odwiedzał, przebywała jedynie w towarzystwie Lenniego. Poświęciła ten czas na wspólne rozmowy od serca, podczas których tłumaczyła mu, że nie wie, co powinna dla niego uczynić. Na kolanach prosiła go o wybaczenie, jak gdyby już przyszedł na świat, jakby był dorosły i stał przed nią jako mężczyzna.

– Mój Lennie, zrozum, nie jest tak, jak bym sobie tego życzyła. – Porozumiewali się w ciszy swych dusz, a jej czułe słowa pełzły ku jego uśpionemu umysłowi. – Na świecie istnieją dwa dobre domy i w obu masz prawo się urodzić: dom mego ojca i dom ojca twego ojca, lecz nie potrafię ci teraz wyjaśnić, dlaczego nie ma w nich dla ciebie miejsca. W Japonii gniewa się na mnie mój ojciec, czyli twój dziadek Sakai, a jeśli się dowie, że buddyzm nie ma tutaj, w państwie prawa, żadnej wartości, z pewnością jeszcze bardziej się rozgniewa. Nie będę miała mu nic do

powiedzenia, to on bowiem ma rację, a nie ja. Myślałam, że się myli, wszak urodziłam się w tym kraju jako jego obywatelka, lecz prawo jest przeciwko mnie i tobie, Lennie. Ani ja, ani twój ojciec go nie zmienimy, dlatego nie mogę mu o tobie powiedzieć. Nie pytaj mnie dlaczego i proszę, wybacz mi.

Niemal co dzień w ciszy wypowiadała do niego te słowa. Prawo było wielkim głazem stojącym na drodze, utrudnieniem, nieruchomą przeszkodą, której nawet miłość nie mogła zniszczyć. Pojęła już, że Allen kocha nie tylko ją, ale i swoich przodków, rodziców, dom i miejsce, w którym przyszedł na świat. To były dobre stare miłości i nie potrafiła go o nie obwiniać, lecz oddalały ich od siebie, gdyż była im obca. Musiał kochać własną rodzinę, Josui niestety była nieznajomą. Teraz wiedziała, że nie jest na tyle silny, by pozostawić to co stare i wiernie pozostać jedynie przy niej, by stworzyli razem świat, którego wcześniej nie znali. W odróżnieniu od niego potrafiłaby to uczynić, lecz nie wolno go obwiniać, co również wyjaśniła Lenniemu.

Przez cały ten czas w ogóle nie czuła się samotna. Pamiętała, że Lennie wyrasta w niej teraz na silne dziecko, toteż bardzo dużo jadła. Lecz cóż pocnie, kiedy wróci Allen? Wszak nie mogła się przed nim bezustannie ukrywać. Nie potrafiła wymyślić na to pytanie żadnej odpowiedzi, zatem po prostu żyła dalej.

Lecz on nadal nie wracał. W sylwestra Josui usłyszała pukanie do drzwi i nieufnie poszła na palcach je otworzyć. Była nieco zaniepokojona, choć mogli to być jedynie państwo Sato ze skromnym prezentem świątecznym. Kiedy je ostrożnie uchyliła, ujrzała Koboriego! Oto stał przed nią dobry, wysoki mężczyzna odziany w stosowne zachodnie ubranie – miał kapelusz, rękawiczki i laskę, oraz skrzynkę kwiatów w dłoni i uśmiech na dużej gładkiej twarzy.

– Kobori! – zawołała z niedowierzaniem, nagle uszczęśliwiona.

– Mówiłem ci, że przyjadę do Nowego Jorku w interesach.

– Och, wejź, wejź – zawołała. Cieszyła się, że ma na sobie japońskie kimono, które zaczęła wkładać od wyjazdu Allena, posłuszna jakiejś nagłej chęci, której nie usiłowała pojąć. Tuż wcześniej zdążyła wyszczotkować włosy, gdyż spała przez większość popołudnia, lecz w mieszkaniu nie było nic do jedzenia, nawet słodyczy.

W pokoju Kobori zdjął płaszcz i odłożył kapelusz, rękawiczki i laskę.

– Jesteś sama? – zapytał życzliwie.

– Allenn pojechał na kilka dni do domu rodzinnego – rzekła swobodnie.

– A ty?

– Och, mam się dobrze – odpowiedziała zdecydowanie. – Bardzo dobrze!

– Ale nie jeździsz z nim? – Był postawnym, spokojnym mężczyzną. Pokręciła głową.

– Jeszcze nie.

– Ach – rzekł i siadł, po czym również ona osunęła się na niewielką kanapę. – A więc – wyszeptał i nadal wpatrywał się w nią życzliwie. – Josui, proszę, powiedz prawdę, wszak jesteśmy starymi przyjaciółmi.

– Wpierw wstawię kwiaty do wody. – Wzięła skrzynkę, która wciąż tkwiła w jego dłoniach. Okazało się, że przyniósł jej chińską odmianę zjawiskowo wonnych lilii. W Kioto o tej porze roku można było kupić wielkie supły cebulkowych korzeni z wypuszczonymi grubymi kremowobiałymi blaszkami o zielonkawych koniuszkach.

– Już się lękałam, że to czerwone róże – wyznała. Pokręcił głową.

– Czy byłbym aż takim głupcem?

Naturalnie ujrzał to, czego Allen nie zdołał: dziecię.

– A więc – powiedział cichutko – nie jesteś sama. Jest tu jeszcze trzecia mała istotka.

Pochyliła się nad kwiatami i zaczęła je układać.

– Allen nie wie.

Wyglądał na bardzo zdumionego. Otworzył szeroko oczy i zacisnął pełne wargi.

– Jakże mąż może nie wiedzieć? Nie pragnie dziecka?

Siadła przy stole, na którym stała misa z kwiatami, i wdychając ich woń, opowiedziała mu o amerykańskim prawie. Wszystko streściła w zaledwie kilku słowach – to było łatwe, proste i niezmiennie. Okazało się, że wszystko potrafi powiedzieć swobodnie i nie uroniwszy ani jednej łyzy. Rozumiał, słuchał i nie przerywał jej, a jedynie jego duża spokojna twarz poruszała się nieco od czasu do czasu.

Kiedy skończyła, westchnął ciężko i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Ale czy to uczciwe nie powiedzieć mężowi? Być może dziecię całkowicie go zmieni.

– Och, nie – zaprotestowała błyskawicznie. – Nie rozumiesz. Tutaj dzieci nie są tak istotne. Nie zmieniają wszystkiego, tak jak u nas. Tutaj pokolenia nie są od siebie zależne.

– Niemniej jednak...

– Nie – powiedziała gwałtownie i stanowczo. Oto podjęła decyzję: nigdy nie powie Allenowi o Lenniem.

– Josui, cóż poczniesz? – zapytał łagodnie. Był do głębi poruszony i zatrwożony tym, o czym się tutaj dowiedział.

Niegdyś bardzo ją miłował w typowy dla siebie spokojny sposób i cierpiał po jej utracie, lecz niezbyt długo i gniewnie. Teraz ten dogasający ból przeistoczył się w niechęć do zawarcia małżeństwa, jednak spodziewał się, że to również minie. Naprawdę myślał, że jeśli jeszcze raz ujrzy ją szczęśliwą, uwolni swe serce i ożeni się z rozsądku z jakąś młodą porządną kobietą, którą być może wybiorą dla niego rodzice, i da im wnuki, a sobie nową rodzinę. Mężczyzna musi mieć dzieci.

Lecz tą rozmową Josui natychmiast zburzyła jego plany, nigdy bowiem nie był bardziej poruszony.

– Nie wiem, co powinnam począć. – Ponownie pochyliła się nad liliami. – Wiem tylko, czego nie uczynię.

Westchnął i powiedział:

– Lepiej będzie, jeśli powrócisz do domu ojca. Przynajmniej pozwól, by dziecię przyszło na

świat w Japonii. Zrozum, w sierocińcach jest wiele dzieci splodzonych przez Amerykanów, a twoje mogłoby być kolejnym...

– Nie.

– To też nie? – wyszeptał.

Siedzieli w milczeniu i oboje czuli straszny ciężar nieuchronnych narodzin. Widziała, jak Kobori wystawia na próbę swą duszę, jak szamocze się jego serce.

– A ty, moja droga – powiedział cicho po chwili – nadal miłujesz tego Amerykanina?

Na to pytanie gwałtownie uniosła głowę. To on zapytał, jednak sama również wielokrotnie je sobie zadawała. Tak, bardzo kochała Allena, lecz była to miłość wypalona, i zawsze będzie go kochać, lecz już bez żadnej nadziei. Nie powinni byli się spotkać. Urodzili się z dala od siebie, toteż powinni żyć i umrzeć po przeciwległych stronach świata. Nie był jej połówką ani ona jego. Bogowie rozdzielili ich, a mimo to Allen i Josui postanowili złamać ich odwieczne prawa. Nie czuła w sobie buntu i prawie w ogóle rozpacz, a jedynie smutek niezgłębiony niczym jej życie.

– Moja miłość do niego nie ma sensu – rzekła wprost.

Znów siedzieli długo w milczeniu i oboje rozmyślali, po czym z pewnym wahaniem Kobori niezwykle delikatnie przemówił:

– Pragnę ci coś powiedzieć, tylko nie wiem jak. Wybacz mi, jeśli uznasz, że powinienem był milczeć.

– Proszę, mów – odrzekła, lecz nie odwróciła głowy. Zwilżył wargi.

– Jeśli kiedykolwiek zapragniesz wrócić do Japonii sama, proszę, wróc do mnie.

Nagle woń lilii wydała się jej zbyt słodka i odepchnęła misę. Natychmiast pojęła. Gdyby nie miała dziecka... to znaczy, chciał ją za żonę.

– Ale ja mam dziecko.

Nie spojrział jej w oczy, tylko patrzył na swe duże blade dłonie splecione na kolanach.

– Żałuję, że nie mogę wziąć tego dziecka. Naprawdę chciałbym, by to było możliwe. Uczyniłbym to, gdybym był sam, bez przodków i rodziców, na których mam wzgląd. Przynajmniej tak sądzę...

Był uczciwy i zatroskany, bardzo pragnął być wielkoduszny i życzliwy. Wszystko to pojęła, lecz jej smutek nie zelżał.

– Dziękuję ci. Być może kiedyś wspomnę, co powiedziałeś. Sama nie wiem...

Wstała stanowczo. Jeszcze chwila i nie wytrzyma. Jej duszę wypełniał smutek. Załamie się, jeśli padnie choćby jedno słowo.

– Zrobię herbatę – rzekła pogodnie i ruszyła w stronę kuchni. – Przynajmniej to mam. Jestem taka leniwa, że nie chciało mi się nawet pójść do sklepu po słodycze.

Zgodził się i obserwował ją przez otwarte drzwi. Nie przyszło mu do głowy, by jej pomóc, przywykł bowiem do tego, że jest obsługiwany, a i ona nie oczekiwała od niego pomocy. Przyniosła lśniący dzbanek i dwie czarki ze świeżą zieloną herbatą. Nadal pozwalała sobie na ten mały luksus. Japońska zielona herbata miała w sobie wiele witamin, toteż piła jej dużo. Kiedy

obsłużyła Koboriego, sięgnęła po czarno-złotą czarękę.

– Opowiedz mi o moich rodzicach. Nie napisali do mnie, pomimo że wysłałam do nich dwa listy.

– Wiem. Przed wypłynięciem odwiedziłem twego ojca. Rzekł, że nadal jest rozgoryczony, i wciąż nie może uwierzyć, że go nie posłuchałaś.

Odstawiła czarękę.

– Proszę – powiedziała dzielnie – proszę, powiedz mu, że miał rację. To go bardzo zdumiało.

– I mówi to taka dumna kobieta jak ty? Josui!

– Już nie jestem dumna – oznajmiła pokornie. – Nie mogę walczyć z amerykańskim prawem. Ono tkwi w sercach ludzi, jest odczuciem. To ich serca je ustanawiają, a te odczucia są takie, a nie inne. Cóż mogę począć? Dokąd pójść? Gdzie mogę urodzić me dziecię? Nie ma miejsca, gdzie by mogło oprzeć głowę.

Och, po tych słowach natychmiast straciła całą dumę i opanowanie. Z jej serca wymknął się wygasły spokój, w którym ostatnio żyła, i zaczęła głośno i rozpaczliwie łkać. Skryła twarz w dłoniach i kiwała się bezustannie.

Kobori był bardzo strapiony, niemal wzburzony. Odstawił czarękę, wstał i załamał ręce. Nie przyszło mu do głowy, by jej dotknąć.

– No już, to jest dla ciebie niebezpieczne. Josui, proszę, przestań dla swojego własnego dobra. Tak nie można.

Czekał, wzdychał i szeptał, gdy wtem uspokoiła się zawstydzona. Otarła rękawami łzy i spytała rozsądnie:

– Zostajesz w Ameryce?

– Na kilka miesięcy – odparł z ulgą. – Naturalnie zostanę również teraz, dopóki nie postanowisz, co począć. Proszę, powiedz, zrób chociaż tyle. Oto mój adres. Jeśli mnie nie będzie, to znaczy, że wyjechałem na kilka dni do pobliskiego miasta w interesach. Zostawię jego nazwę, byś mogła się ze mną skontaktować.

Wzięła wizytówkę i włożyła ją pod małe puste pudełko na niskim dostawionym stole.

– Jeśli nie otrzymasz ode mnie żadnych wieści, to znaczy, że nie mam o czym pisać.

– Ale naprawdę musisz dać mi znać – nalegał. Zorientowała się, że nie wyjdzie bez obietnicy.

– No dobrze, Kobori, napiszę do ciebie o moich postanowieniach, lecz to może trochę potrwać.

– Najważniejsze, że obiecałaś.

Kobori ostrożnie sięgnął po kapelusz, rękawiczki oraz laskę i wyszedł. Przy drzwiach ukłonili się sobie nisko, a ona stała, dopóki nie przyjechała winda. Wymienili się jeszcze kilkoma głębokimi ukłonami, podczas gdy wpatrywał się w nich mężczyzna obsługujący windę. Wróciła do mieszkania i zamknęła drzwi na klucz. Doskonale wiedziała, co musi uczynić, i zrobi to tylko i wyłącznie dla dobra Lenniego. Na tym świecie naprawdę nie było dla niego miejsca. – '

Josui z rumieńcem nieśmiałości na twarzy powiedziała:

– Allennie, nie napiszę do ciebie, kiedy będziesz w domu rodzinnym.

Właśnie miał włożyć do walizki czystą koszulę frakową.

– A dlaczegoż by nie?

– Myślę, że potajemne wchodzenie do domu, który twoja matka przede mną zamknęła, byłoby oznaką nieposłuszeństwa wobec niej.

Zaprotestował.

– Zachowujesz się nedorzecznie. Czy aby na pewno nie gniewasz się, że jadę?

– Och, nie, Allennie. Pragnę jedynie być uprzejma dla twojej matki i okazać jej posłuszeństwo.

Toteż nie oczekiwał listu i z początku o nim nie myślał. Kiedy wszedł do wielkiego przyjemnego przedpokoju, poczuł radosne podniecenie jak za starych dobrych czasów, ulgę i przekonanie, że tutaj wszystko jest jak należy. Niegdyś przyjeżdżał do domu na święta ze szkoły wojskowej w Lexington i teraz przypominał sobie, jak koilo to jego duszę i błogo relaksowało umysł. Panował tu spokój i zgoda, tutaj czuł się kochany.

Było dokładnie tak jak zawsze: matka ukazała się w otwartych drzwiach długiego salonu pełna zwinnej gracji, on zaś odwrócił się do niej z uczuciem niepohamowanej miłości. Sunęła z rozpostartymi ramionami, z których spływała cienka, ułożona w falbany materia srebrzystoszarej szyfonowej sukni, pieniać się u jej stóp.

– Mój drogi, drogi chłopcze!

Przytuliła go, a jego nozdrza znów oczarowała znajoma woń.

– Matko... – Donośny, męski głos Allena nie zdradził, że wewnątrz drży jego chłopięca dusza.

– Kochanie, witaj w domu...

– Skąd wiedziałaś, że przyjadę? Myślałem, że to będzie niespodzianka.

Odsunęła się od niego, a triumfalny śmiech ożywił jej tak młodą i śliczną twarz okoloną srebrzystymi loczkami.

– Ojciec nie potrafi udawać, nawet przez chwilę, nie przede mną. Och, wiedziałam o tym! No co? Kochanie, są święta!

Ponownie spowił go szary szyfon niczym miękka pajęczyna. Czuł, jak jej silne szczupłe palce wplatają się w jego prawą dłoń i ją przytrzymują.

– Chodź, ogrzejesz się przy kominku. Nie skończyliśmy jeszcze ubierać choinki. Jak zwykle będziesz musiał założyć na czubek gwiazdę. Przez te wszystkie lata, kiedy cię nie było, musieliśmy się bez niej obyć. Cynthia przyszła na herbatę.

Wymówiła to imię lekko i nie dała mu czasu na odgadnięcie powodu jej wizyty. „Cynthia przyszła na herbatę”.

– Cynthia, oto on. Mówiłam, że przyjedzie. Wiedziałam!

Cynthia miała na sobie czarny kostium i pulower w kolorze czerwieni ostrokrzewu, w blond włosach zaś jego jagody. Jak zwykle przywitali się tak, jak gdyby widzieli się dziesięć minut

temu.

– Usiądź. Właśnie nalewałam herbatę. Twoja matka ma dzisiaj napad lenistwa.

– To dlatego, że jestem taka szczęśliwa – zawołała pani Kennedy. Usłyszeli skrzypnięcie ciężkich drzwi do biblioteki i szuranie skórzanych pantofli, po czym wszedł ojciec.

– Ktoś wspomniał o herbacie? Ojej, płyn! Powiedz Harry'emu, by przyrządził dla mnie martini. Allenie, napijesz się ze mną? Herbatę zostaw paniom.

– Świetny pomysł, tato. – Podali sobie dłonie w błyskawicznym, mocnym uścisku.

Harry zjawił się tak szybko, jak gdyby wszystko było już przygotowane, i dyskretnie przywitał się z młodym panem.

– Siemasz, Allenie. Dobrze znów cię widzieć w domu. Wesołych świąt, psze pana...

W tym małym miasteczku tuż pod Richmond w stanie Wirginia nadal istniała doskonałość i Allen z całych sił pragnął zatrzymać ją na tym niedoskonałym świecie. Nie wolno jej zatracić, tak niepowtarzalnej i drogocennej, tej wyspy na wzburzonym morzu, azylu w wirze nieszczęść. Nagle z niezwykłą wyrazistością dostrzegł każdy piękny przedmiot w pokoju: żółte róże szklarniowe hodowane przez matkę na tym samym świecie, na którym produkowano również bomby atomowe, ciemnoniebieskie kotary wychodzącego na zachód okna, rozsunięte, by ukazać ostatnie chwile zimowego zmierzchu, ogień roztańczony na ułożonym na błyszczących mosiężnych rusztach drewnie, obleczone ałtarem fotele i kanapy, wyfroterowane podłogi, dywany z długiego włosia, pokoje otwierające się jeden na drugi. Wszystko to lśniło czystością i z pozoru wydawało się, że osiągnięcie tego efektu nie wymagało większej pracy czy wysiłku i nikogo nic to nie kosztowało, choć Allen dobrze wiedział, że to nieprawda. Miał prawo do swego spadku, chyba że zdecyduje się go odrzucić. Cóż to byłoby za głupota!

Cynthia siedziała przy małym intarsjowanym stoliku z palisandru, na którym leżała srebrna tacka – rodzinna pamiątka, którą Allen odziedziczył, jak wszystko dokoła. Cynthia była obdarzona taką urodą, że czas nigdy nie zdoła odcisnąć piętna na jej licu. Czowała się tu jak w domu. Istniało tu prawo, które chroniło i zabraniało, i gdyby musiał, mógłby się za nim schronić.

Dnie upływały zgodnie z dostojną tradycją. Allen założył na czubek choinki gwiazdę. Zawiesili skarpety pod białym marmurowym gzymsem kominka, który dawno temu jego prapradziadek przywiózł z Francji, i Allen znów mógł udawać dziecko. W świąteczny poranek śmiali się z cudaczkich podarków: małpki i maleńkiego niedźwiadka z Berna, Allen zaś w palcu swojej skarpety znalazł czarną perłową szpilkę do krawata, prawdziwy skarb, który niegdyś należał do jego dziadka.

Matka z uśmiechem dostrzegła jego pełne wyrzutu spojrzenie.

– Skoro i tak kiedyś będzie twoja, to dlaczego by nie teraz? Nie jestem zwolenniczką dawania wszystkiego naraz. Kochanie, powiedziałam ojcu, że chcę ci coś ofiarować. Niebawem o tym pomówimy.

„Niebawem” miało nadejść nazajutrz, a potem jeszcze kolejnego dnia, lecz ostatecznie rozmowę przełożono, gdyż prawnik rodzinny udał się na święta do Miami i mógł wrócić dopiero

po Nowym Roku. Nawiasem mówiąc, matka uważała, że sylwester jest z całą pewnością równie istotny co święta, a to z powodu tańców. A co ważne dla sprawy, to właśnie Cynthia urządziła wiele potańcówek. I tak kiedy ze sobą tańczyli, mogli spokojnie porozmawiać.

– Udało nam się w ogóle o tym nie mówić – powiedziała Cynthia.

– A mnie nawet udało się o tym nie myśleć – dodał.

– Jakies plany?

– Żadnych.

– A twoja matka zastawia sieć...

– Sieć?

– Oczywiście! Kobieta zastawia sieć, kiedy miłuje mężczyznę, choćby własnego syna...

Naturalnie twoja matka kocha cię jedynie jak syna, znacznie bardziej niż kogokolwiek.

– Ty też zastawiasz sieć?

– Zawsze staram się tego unikać – odrzekła niemal opryskliwie. Allen zobaczył w wyobraźni obcą wrogość w jej błękitnych oczach, jak patrzy nieustraszenie, nie unikając jego wzroku – o nie, nie było w tych oczach łagodności...

Tańczyli tak swobodnie jak za starych dobrych czasów, a on pomyślał, że naturalnie powinien wrócić do Nowego Jorku, nie czekając na spadek. Miał jednak nieodparte wrażenie, że gdyby zdobył więcej pieniędzy, z większą łatwością mógłby obstawać przy swoim małżeństwie, może wybudowałby gdzieś dom, przesadził swoje korzenie, wrósł w stworzony przez siebie świat. To usprawiedliwiałoby jego zwłokę, jednak po potańcówce napisał do Josui szczerze zmartwiony, czuł się bowiem zmieszany bliskością Cynthii, a może skuszony jej niezwykłą powściągliwością, stanowczym i skrupulatnym konsekwentnym nastawieniem, że skoro jest żonaty, to można mu ufać.

Josui nie odpisała, ale tego się właśnie spodziewał. Wróci do niej za góra lalka dni. Nowy Rok upłynął mu na wizytach (odwiedzali dom za domem, a przyjaciele przychodzili i wychodzili), pomiędzy którymi mknął to tu, to tam, by spotkać się ze znajomymi. Nigdy, ani razu nikt nie zapytał o Josui bądź o jego wiedzione z dala od domu życie. Witano go wszędzie ze starą, słodką serdecznością i tradycyjnie entuzjastycznymi okrzykami: „Allenie, staruszkule, nasz skarbenku, całe wieki!”. Te wszystkie wysokie kobiece głosy dźwięczą niczym srebrne dzwoneczki i nie znaczyły nic, gdyż rozbrzmiewały tak na widok każdego przybysza, zarazem znacząc bardzo wiele, wypełniało je bowiem szczerze płynące z serca ciepło.

Taki był tryb jego życia i nic nie mogło go z niego wygnąć, nawet miłość. Cóż więc miał uczynić, by ocaleć?

Kiedy kolejny dzień znów nie przyniósł Allenowi odpowiedzi na list, gdy znów do niej nie zatelefonował, co przecież mógł uczynić, lecz według niej to również byłoby oznaką nieposłuszeństwa, kiedy leżał w nocy w łóżku z czasów dzieciństwa, rozpaczliwie zastanawiał się, co począć. Próżne byłoby błaganie matki bądź prowokowanie ojca, ponad wszystkimi bowiem istniało pewne nieubłagane prawo, które jego matkę chroniło. Mogłaby na nie zrzucić

całe swe poczucie winy i niechęć, i z pewnością zrobiłaby to. Już widział w wyobraźni, jak wybałusza śliczne oczy. „Ależ kochany Allenie – niemal słyszał jej głos. – Kochanie, to nie moja wina! To nie ja ustanowiłam to prawo”. Lecz uczynili to tacy ludzie jak ona.

Jedyne, do czego mógł się uciec, by przestać o tym myśleć, to podziwianie urody i dobrobytu tego solidnego wiekowego domu.

W końcu nadszedł dzień, kiedy prawnik, pan Haynes, wrócił z Miami. Allena wezwano do biblioteki, gdzie usłyszał, co uczyniła matka. Siedziała podenerwowana przy końcu długiego mahoniowego stołu, a do pokoju przez złote aksamitne kotary, które zwieszały się z sufitu aż do podłogi, wpadał blask zimowego słońca, Pan Haynes mówił, jak gdyby kąsał powietrze. Ten niski starszy człowiek miał napiętą twarz i czerwony nos, z którego od florydzkiego słońca schodziła skóra.

– Allenie, twoja matka dokonała szczerzego czynu. Otóż przepisała na ciebie dom, który jest już teraz twój. Oszołomiony Allen wyjąkał:

– Tato, myślałem, że należy do ciebie...

Ojciec siedział w fotelu przy jednym z wysokich okien, odznaczając się beznamiętnie szarą sylwetką na tle nasłonecznionego pokoju. Rzekł teraz bez emocji:

– Po ślubie podarowałem go matce. Naturalnie oboje uznaliśmy, że przekazemy go najstarszemu synowi, tak jak miało to miejsce w przypadku moim i mego ojca. Stwierdziłem, że kobieta powinna mieć dom, który ochroni ją przed światem.

– Kochanie, ufam, że zostawisz tu dla mnie kąt – odezwała się matka.

– Ja tego nie popieram – rzekł ojciec.

– Nie chcę go – powiedział Allen.

– Kochanie, proszę – błagała pani Kennedy. – Ja tego pragnę.

– Nie podoba mi się to – rzekł Allen ponownie, ale prawda była zgoła inna. Rozejrzał się po wielkim pokoju, który należał teraz do niego. Mógł podejrzewać matkę o zastawianie sieci, lecz cokolwiek by uczyniła, nadal obowiązywało to samo prawo i chroniło ją przed złem.

– Nie mogę tu żyć – powiedział ostro.

– Ale być może pewnego dnia będziesz mógł – rzekła radośnie matka.

Po raz kolejny więc w jego życiu, mimo że się temu sprzeciwił, jego ojciec zaś tego nie popierał, sprawy potoczyły się według życzenia matki. Kiedy było już po wszystkim, ogarnęło go osobiwe, odrażające poczucie posiadania. – I tak byłby mój – powiedział do siebie, usiłując się nie cieszyć. – Po prostu stało się to nieco wcześniej. – Byłby jego, nawet gdyby zbudował gdzieś inny dom dla siebie, wówczas musiałby dokonać raz na zawsze wyboru, w którym żyć.

Tego popołudnia wyruszył do Nowego Jorku. Dotarł do miasta dopiero po zmroku, była już noc, gdy zajechał taksówką pod dom. Na górę zawiózł go nieznajomy mężczyzna obsługujący windę, którego nigdy wcześniej nie widział i którego – jak przypuszczał – niedawno zatrudniono, toteż nie rozmawiał z nim. Zadzwoił do mieszkania w oczekiwaniu, że Josui natychmiast otworzy drzwi, a jego pełne skruchy serce zaczęło gwałtownie bić. Och, miał wielką ochotę jakoś

jej to wszystko wynagrodzić.

Drzwi jednak się nie otworzyły. Być może spała, toteż zadzwonił ponownie. Potrafiła zasnąć o każdej porze niczym kociak, zwinięta w kłębek na kanapie, a nawet na podłodze wśród poduszek. Lecz nadal mu nie otwierała. W końcu poszperał w kieszeni w poszukiwaniu klucza i sam otworzył drzwi. W dusznym i suchym od ogrzewania parowego mieszkania panował mrok i unosiła się kompletna cisza.

– Josui! – zawołał Allen głośno.

Nie padła żadna odpowiedź. Wszedł, zapalił światło i pobiegł do sypialni. Tam jej nie było. Podłoga była czysta, a łóżko starannie pościelone. Gwałtownie otworzył drzwi szafy wnękowej i zobaczył, że wiszą w niej jedynie jego ubrania. Odeszła.

To przekonanie przytłoczyło go przerażającym ciężarem. Odeszła! Jak ją odnaleźć? Doskonale znał możliwości jej zrozpaczonego japońskiego serca. Dotarła do jakiegoś najdalszego nieznanego miejsca i skryła się w nim przed Allenem pod swoim miłym usposobieniem i pełną oddania słodyczą. Nigdy się nie dowie, co tam ujrzała i jak wiele z tego pojęła. Allen osunął się nagle na skraj łóżka, słaby, owładnięty żalem i wyrzutami sumienia. Ukrył twarz w dłoniach i przeklął się w duszy, lecz nie dlatego, że odeszła, tylko dlatego – pośród poczucia skruchy, konsternacji i wstydu – że się z tego ucieszył.

Część czwarta

Josui spokojnie szła ulicą. Teraz, kiedy czekała, aż Lennie przyjdzie na świat, co dzień chadzała na długie niespieszne spacerunki, podczas których z nikim nie rozmawiała. Pamiętała tę ulicę. To zdumiewające, jak dobrze pamiętała Los Angeles i jak wszystko sobie przypominała. To było znajome miasto, a jednak nie czuła się tu jak w domu, odkryła bowiem, że jej najbardziej wyrazistym wspomnieniem był nade wszystko brutalny wyjazd, gniew i furia ojca na wieść o tym, że muszą je opuścić. Pewnego razu poszła zobaczyć dom, który tak dobrze pamiętała; zamieszkiwała go teraz schludna, spokojna rodzina Murzynów. Nie weszła do środka, ale widziała dokazujące dzieci w małym ogródku, w którym niegdyś zwykła się bawić z Kensanem. Była tam nawet ich stara huśtawka z wciąż dobrymi metalowymi linami, które zamontował ojciec, a wokół niej gromadziły się i krzyczały z radości ciemnoskóre maluchy.

Jednakże dzisiaj w poczuciu obowiązku postanowiła podjąć kolejny krok. Wcześniej wstała, wzięła długą kąpiel i wdziała nowy granatowy kostium z obszernie plisowanym zakietem. Kupiła go za pieniądze zdeponowane przez ojca w banku w San Francisco, które wystarczyły również na wyżywienie i opłacanie pokoju w tanim pensjonacie prowadzonym przez Meksykankę, słabo mówiącą po angielsku. W pozostałych kwestiach Josui uzależniona była od organizacji dobroczynnej – niechaj dobroczynność czyni to, czego miłość nie potrafiła, niechaj również pozwala na to, czego zabraniało prawo. Ostrożnie zapytała nieznajomą o drogę do agencji opieki nad dziećmi i już zbliżała się do stojącego przy taniej bocznej uliczce budynku. Drzwi były otwarte, więc weszła i siadła w poczekalni. Ujrzała tam również dwie inne kobiety, a raczej zaledwie dziewczęta. Jedna to czternastoletnie może blade dziecię o zmęczonych oczach, obrzmiałym ciele i bezkrwistych ustach. Była w ciąży. Nie miała w sobie wdzięku ani urody, zupełnie nic prócz zwyczajnej kobiecości, którą sprzedała jakiemuś chłopcu za odrobinę przyjemności, może randkę w kinie, a może zaledwie porcję lodów z syropem owocowym i wodę sodową. Któż mógł to wiedzieć? Ubrana była w łachmany, a spod jej nędznej sukienki ze sztucznego jedwabiu wystawał kawałek brudnej podartej koronki.

Druga dziewczyna, blondynka, szlochala. Miała ufarbowane na srebrzysty kolor włosy i rozmazaną od łez szminkę. Była chuda i kasłała, zanosząc się płaczem. Na chudych jak patyki nogach miała tanie nylonowe pończochy, na obsypanych sztuczną biżuterią dłoniach zabrakło obrączki.

Josui siadła, elegancko skrzyżowała ręce i czekała. Do gabinetu wezwano młodą dziewczynę, która już po chwili wyszła z niego pogodna. Po wejściu blondynki Josui usłyszała, jak ta wybuchnęła głośnym płaczem. Po długim czasie wyszła, zakryła woalką spuchniętą twarz i również zniknęła. Dziewczyna z agencji niepewnie zerknęła na Josui i rzekła:

- Pani godność?
- Sakai.
- Proszę wejść.

Josui weszła do małego gabinetu, gdzie za obdrapanym biurkiem siedziała starsza kobieta o łagodnej twarzy.

– Panna Sakai?

– Tak.

– Czym mogę służyć?

– Słyszałam, że opiekujecie się dziećmi – Josui rzekła niepewnie, jakże bowiem miała zacząć mówić o tym, o czym musiała powiedzieć?

– Spodziewa się pani dziecka? – Starsza kobieta była profesjonalna i życzliwa.

– Tak... ale dopiero za jakiś czas. Muszę się na to przygotować.

– Nie ma pani żadnej rodziny?

– Nie.

Kobieta starannie zapisywała wyraźnym pismem to, co usłyszała.

– Chciałaby pani zatrzymać dziecko?

– Nie mogę. Jestem sama.

Ćwiczyła wymawianie tych słów, toteż wypowiedziała je niemal swobodnie.

Och, Lennie, Lennie, którego kołysz w głębi swego ciała. Leżał tak nieruchomo, jak gdyby wiedział, co właśnie rzekła!

– Nazywam się Bray – przedstawiła się życzliwie kobieta. – Może mi pani coś o sobie opowiedzieć?

– Jestem sama – powtórzyła Josui. – Nie ma o czym mówić.

– A powie mi pani, kto jest ojcem? – zapytała panna Bray. – Pragnę jedynie pani pomóc.

– To biały Amerykanin, a ja jestem Amerykanką japońskiego pochodzenia.

– Rozumiem. – Panna Bray niechętnie popatrzyła na tę śliczną młodą kobietę tak pełną chłodnej rezerwy. Cóż za nieszczęście, kto bowiem chciałby na wpół białe i na wpół japońskie dziecię? Takie przypadki zdarzały się coraz powszechniej z powodu wielu toczonych wojen, podczas których dokonywano ogromu bezbożnych czynów. Zaledwie dwa dni temu musiała przyjąć dwumiesięczne koreańskie dziecię, wszak któż by je wziął? Nawet domy zastępcze odmawiały. Pani Kisch, pomimo że była jedną z ich najlepszych matek zastępczych, powiedziała, że oczy tego dziecka przyprawiają ją o dreszcze. Panna Bray umieściła je w sierocińcu dla Murzynów, lecz nadal czuła się niezręcznie, gdyż tak naprawdę Koreańczyk to nie to samo co Murzyn.

– Czy ten mężczyzna nie chce wziąć na siebie żadnej odpowiedzialności?

– Nie chcę, żeby on wiedział. Panna Bray zaprotestowała:

– Och, moja droga, wszak pani wie, jakie to nierozsądne! Mężczyźni muszą wiedzieć. Tak łatwo się wywijają, a nie powinni. Proszę! Mogłabym z nim pomówić.

– Nie, dziękuję – odmówiła Josui stanowczo.

Panna Bray straciła cierpliwość. Nigdy w życiu nie miała kochanka i nie potrafiła pojąć, dlaczego dziewczęta nie chcą, by mężczyźni dowiedzieli się o konsekwencjach swych czynów. Odłożyła ostry ołówek i poprawiła okulary na chudym nosie.

– A zatem, panno...

– Sakai.

– Ach, tak... niełatwo zapamiętać zagraniczne nazwiska! Panno Sakai, muszę powiedzieć, że bardzo trudno będzie umieścić pani dziecię w jakimkolwiek domu. Wie pani, adopcja jest niemal niemożliwa, wszak nikt nie chce adoptować dziecka mieszanej krwi. Już kiedyś tego próbowałam, lecz to jest po prostu niewykonalne, odmawiają bowiem obie strony.

– Wiem – rzekła Josui spokojnie.

– Musi mieć pani jakąś rodzinę – nalegała panna Bray.

– Ale nie mam – powiedziała cicho dziewczyna.

– Myśli pani, że pani bliscy je odtrąca?

Josui nie mogła nic odrzec, gdyż postanowiła, że nie będzie płakać, i całe to ogromne pragnienie uwięzło jej w gardle. Panna Bray westchnęła.

– No cóż, zobaczymy, co da się zrobić. A może wcale nie będzie takie osobliwe, wszak przyjdzie na świat na wpół białe. Może znajdę jakąś matkę zastępczą.

– Matkę zastępczą? – powtórzyła Josui.

– Kogoś, kto zaopiekuje się nim za stałe wynagrodzenie – wyjaśniła. – Mogłaby pani dokładać do jego utrzymania?

– Myślę, że tak.

Josui była oszołomiona. Tak naprawdę nie zastanawiała się, co stanie się z Lenniem. Myślała jedynie, że istnieje gdzieś jakiś sierociniec, w którym na trawie pod dużymi drzewami bawią się dzieci. Przypomniała sobie, że dawno temu widziała takie miejsce gdzieś opodal Los Angeles. Dzieci wyglądały na szczęśliwe, ale przecież nie przyjrzała im się z bliska.

– Pomogłabym, gdyby mogła pani dopłacać – powiedziała panna Bray, po czym wzięła ołówek i znów zaczęła pisać. – Gdzie zamierza pani rodzić?

– Nie wiem – rzekła Josui. Nie dała się łzom i mięśnie jej gardła rozluźniły się. – Gdzie tylko pani powie.

– Lepiej będzie, jeśli pójdzie pani do szpitala... Dam pani adres. Proszę pytać o doktor Steiner... Jest uchodźcą, ale to dobra i życzliwa kobieta. Stamtąd zabierzemy dziecię. Jak sądzę, nie będzie chciała go pani zobaczyć...

– Ależ bardzo będę chciała.

Panna Bray spojrzała znad dokumentów. – – Odradzam, jeśli jest pani pewna, że nie chce go zatrzymać.

– Muszę je ujrzeć.

Panna Bray wzruszyła ramionami i skończyła pisać.

– Jaki jest planowany termin?

– Chyba czerwiec.

– Pani adres ?

Josui podała swój adres zamieszkania.

– Proszę chodzić do doktor Steiner od czasu do czasu – panna Bray poradziła Josui. – Lepiej

będzie, jeśli regularnie panią przebada. A jeżeli zmieni pani zdanie w jakiegokolwiek kwestii, proszę dać mi znać.

Rozmowa, której Josui tak się lękała, dobiegła końca. Lennie mógł przyjść na świat i ktoś się nim zaopiekuje. Wstała i ukloniła się z gracją.

– Dziękuję, panno Bray.

– Nie ma o czym mówić – powiedziała panna Bray uprzejmie, ale już myślała o czymś innym.

W poczekalni, nie patrząc na siebie nawzajem, czekały kolejne trzy kobiety, młode i nieszczęśliwe. Josui błyskawicznie je minęła i wyszła wprost na przyjemny poranek. Doktor Steiner... Będzie musiała do niej pójść, ale nie dzisiaj, gdyż ogarnęło ją zmęczenie. Zatrwożyło ją, że Lennie leży tak nieruchomo – czyżby wiedział już, że będą musieli się rozstać?

Poszła do małego parku, gdzie siadła, by odpocząć. Były tam dwie, może trzy matki z dziećmi; obserwowała je. Wszystkie były białe, ich dzieci również i to było miłe, mogły bowiem razem żyć. Nie chciała myśleć o Allenie, toteż kiedy tylko pojawiała się w jej głowie wspomnienie o nim, oddalała je i wymazywała z pamięci. Już wiedział, że nigdy więcej się nie spotkają. Nie zostawiła żadnej wiadomości, nic, po prostu zabrała ubrania, błyskotki, wszystko, co ze sobą przywiozła, tę odrobinę, i odeszła. Już opuścił mieszkanie i był w domu z rodzicami. Jedynie Kobori wiedział, że Josui tu jest, lecz zabroniła mu przyjeżdżać, dopóki nie będzie po wszystkim, dopóki nie postanowi, co dalej.

„Pragnę być sama do czasu, kiedy ujrzę mego syna” – napisała do niego i dała mu adres, lecz poprosiła, by jej nie odwiedzał.

Ponownie przeanalizowała desperacką możliwość zatrzymania Lenniego, lecz jakże miałyby to uczynić? Czy mogłaby żyć jedynie z dzieckiem, bez domu i rodziny? Doskonale pojęła, co czuł Allen, i nie obwiniała go. Pragnął czegoś naturalnego, co samo w sobie było dobre. Po prostu nie było tu miejsca dla Lenniego, tak jak w domu jej ojca. Nikogo nie można było obwinie prócz prawa, które zabraniało jego narodzin i zarazem nie potrafiło im zapobiec, gdyż nie było w stanie zapobiec miłości, która doprowadziła do jego poczęcia. Prawo nigdy nie miało względu na miłość. Nadal kochała Allena i zawsze będzie go kochać, tak jak miłuje się umarłych, których żywi nie mogą zastąpić.

Doktor Steiner przyjrzała się z zaciekawieniem ślicznej Japonce. Błada młoda twarz była bez wyrazu niczym maska no – można by sobie wyobrazić, że jej oczy to wycięte w niej ciemne otwory. Miała w sobie siłę, pomimo subtelnych rysów i delikatnej skóry, jaką – jak się wydawało – mieli wszyscy Azjaci. Być może siła ta tkwiła w stanowczym opanowaniu tej młodej dziewczyny, która zdawała się już przygotowana na tragedię. Panna Bray uprzedziła doktor Steiner, by spodziewała się wizyty Josui Sakai, toteż lekarka oczekiwała tego spotkania. Nigdy wcześniej nie poznała Japonki, pomimo że podczas wojny jej ojczyście Niemcy uznały Japonię za swą nadzieję na Wschodzie.

– A więc nie chce mi pani powiedzieć? – powtórzyła to pytanie po raz piąty.

– Proszę, nie – odrzekła Josui bez gniewu, ale nieustępliwie.

Doktor Steiner była niską grubą kobietą, która zdawała sobie sprawę z tego, że ma brzydką kwadratową twarz. Do nikogo nie żywiła urazy za swój wygląd i wcześniej zaakceptowała to, jak przebiega jej życie. Trudno było się spodziewać, że jakikolwiek mężczyzna zechce poślubić dziewczynę, która wygląda jak wyciosana z szarej skały prymitywna rzeźba. Dlatego niezwykle wdzięczna za swój wybitny umysł porzuciła myśli o romansach i stała się naukowcem o czułym sercu. Ostatni skrawek tkwiącej w jej duszy tęsknoty zdradzała jedynie pokora i zachwyt, z jakim patrzyła na każdą piękną istotę ludzką: mężczyznę, kobietę czy dziecko. Teraz takim spojrzeniem obdarzyła nową pacjentkę.

Josui jednakże od wielu już długich tygodni była hen poza zasięgiem jakiegokolwiek zachwytu czy współczucia. Czuła się bezustannie oziębła, zarówno w sercu, jak i umyśle, aż w końcu owa oziębłość tak głęboko przeniknęła do jej duszy, że schłodziła jej krew. Istotnie jej dłonie i stopy były bardzo zimne w dotyku i doktor Steiner to wyczuła, kiedy człapała dokoła stołu, na którym pod prześcieradłem leżała Josui.

– Moja droga, dlaczegoż jest pani taka zimna? – zawołała. – Wszak dziś jest dość upalnie, przynajmniej według mnie.

– Zazwyczaj taka jestem.

– Proszę się rozluźnić – powiedziała lekarka apodyktycznym tonem. – Jest pani taka spięta, że nie mogę przeprowadzić badania.

Josui jednak nie potrafiła i nadal leżała sztywna niczym marmurowy posąg, który w istocie przypominała. Owładnęło ją napięcie wywołane oczekiwaniem. Nie myślała, nie czuła, nie chciała pamiętać. Co tydzień dostawała od Koboriego długi życzliwy list pełen przyjemnych wiadomości, oddania i dobroci. Nie naciskał, by coś postanowiła, lecz świadoma jego oczekiwań odsuwała je na bok. Przede wszystkim miała przed sobą wielkie zadanie: poród. Dopóki nie nastąpi rozstanie z Lennie, nie będzie potrafiła zdecydować, dokąd pójdzie i cóż pocznie ze swym życiem. Na tyle, na ile było to możliwe, czekała, starając się nic nie myśleć i nie czuć. Czasami jednak w nocy, kiedy nie mogła zasnąć i leżała w wąskim łóżku na niezwykle cienkim i twardym materacu, gdy nie miała odwagi zażyć tabletki nasennej (przynajmniej Lennie musi otrzymać prawdziwą szansę na życie), wówczas zupełnie z nagłą zaczynała czuć, nie myśleć, tylko właśnie czuć, jak gdyby z opatrzonej rany tryskała krew. Jedynym ogarniającym ją uczuciem było cierpienie nie z powodu tego, co przeminęło, lecz dlatego, że nigdy go nie ujrzy, nie będzie przy nim żyć i patrzeć, jak dorasta, nie usłyszy, jak mówi, i nie zobaczy, jak się uśmiecha, nie wykapie jego ruchliwego ciała i nigdy go nie pozna.

Kiedy owo przenikliwe uczucie długo jej nie opuszczało, zaczęła wierzyć, że panna Bray ma rację. Nie wolno jej zobaczyć Lenniego, w przeciwnym wypadku nie będzie potrafiła go zostawić. Wiedziała, a raczej lękała się, że tak właśnie się stanie, kiedy tylko go ujrzy. Bolała nad tym z największym żalem, jakiego tylko może zaznać kobieta, i miała naprawdę złamane serce, to wszystko bowiem było jej winą. Ze smutkiem mieszało się poczucie wyrządzanego Lenniemu

zła: zostawi go tak małego i bezbronnego, tak niewinnego i nieprzygotowanego, a on będzie musiał jakoś sobie radzić. Nawet gdyby go zatrzymała, zrobiłaby mu tym krzywdę, choć on sam nie uczynił nic złego. Wmaszerował w życie zgodnie z wszystkimi prawami natury: miłość wypełniła swój obowiązek i głos przywołał go z ostatniego cienia, toteż przybywał z radością. Wiedziała, że to wesołe dziecko, o tym zapewniały ją bowiem ruchy jego ciała; pływał niczym mała rybka o świcie, kiedy góry drżą w pierwszym blasku dnia. Budził ją po przepłakanej nocy, by w oczekiwaniu na wolność zapewnić ją o swym śmiechu, a najstraszliwszy ból sprawiała jej myśl, że nigdy go nie usłyszy.

– Dobrze sobie pani daje radę – rzekła doktor Steiner. – Wszystko w normie. Jest pani zdrowa. Pani organizm dobrze funkcjonuje.

– Dziękuję. – Josui zeszła ze stołu i zaczęła się ubierać. Była wstydliwa, toteż odwróciła się plecami, a doktor Steiner wpatrywała się w kształtną postać, nieskazitelną skórę w kolorze kości słoniowej i miękkie gęste czarne włosy.

– Proszę przychodzić do mnie co miesiąc – odezwała się szorstko z bardzo silnym niemieckim akcentem. – Będę pani towarzyszyć podczas porodu. Myślę, że obędzie się bez problemów.

– Dziękuję – powtórzyła Josui łagodnym głosem, a następnie błyskawicznie skończyła się ubierać, związała włosy i wyszła.

Po jej wyjściu doktor Steiner zatelefonowała do panny Bray.

– Przebadalam tę młodą Japonkę – oznajmiła jak zwykle głośno, gdyż uznawała to za konieczne podczas rozmów telefonicznych. – Cóż za zjawiskowa istota... Prześliczne, bardzo zdrowe dziewczę. Z pewnością ktoś zaadoptuje jej dziecko. Od razu widać, że to arystokratka. Taka kobieta nie wybiera głupca, dlatego będzie to nie tylko inteligentny, ale przystojny i zdrowy maluch. Czy wśród oczekujących nie ma kogoś, kto by docenił taki skarb?

– Zdziwiłabyś się. – Głos panny Bray brzmiał przez telefon bardziej nosowo, oschle i pesymistycznie niż zwykle. – Na liście oczekujących jest trzysta siedemnaście par potencjalnych rodziców i wszyscy głośno domagają się dzieci, które jeszcze nie przyszły na świat, ale mogę się założyć z tobą o dolara, że nikt nie zechce tego dziecka.

Doktor Steiner zawołała:

– Ha! Taka demokracja przywodzi mi na myśl przeklętego Hitlera! Sama w jednej ósmej jestem Żydówką, lecz dla niego byłam nią w stu procentach.

Panna Bray nie odpowiedziała, gdyż była roztropna i już dawno temu nauczyła się myśleć o każdym człowieku jak najgorzej. Raczej lubiła kanciastą, przysadzistą lekarkę, która mówiła to, co myśli, i panna Bray wiedziała, że ona również ją lubi na swój abstrakcyjny sposób. Często miały okazję ze sobą pracować. Doktor Steiner zawsze protestowała, kiedy bezwzględnie przenoszono meksykańskie i murzyńskie dzieci do przepelnionych sierocińców.

– Nikt ich nie chce – po raz kolejny cierpliwie tłumaczyła panna Bray. – Biali nawet by ich nie wzięli pod uwagę, a Meksykanie i Murzyni mają zbyt dużo własnych dzieci, nie pojmujesz?

– Nie – prychnęła lekarka. – Dziecko jest dzieckiem, jest dzieckiem, jest dzieckiem, nieprawdaż? – Skrzywiła się, zamiast uśmiechnąć, lecz panna Bray nigdy nie słyszała o Gertrudzie Stein i założyła, że to po prostu jakieś niejasne, typowe dla Niemców zachowanie.

Doktor Steiner, dostrzegłszy to, naraz szorstko zapytała:

– Bray, ty nigdy nie miałaś dziecka, prawda?

Na te słowa panna Bray się zarumieniła, po czym zbladła.

– Po tym wszystkim, co widziałam, nie wydałabym dziecka na ten świat, nawet gdybym mogła. Chciałabym zatrzymać cały ten biznes na sto lat.

– A potem zacząć go od nowa? – spytała z zaciekawieniem doktor Steiner.

– Jedynie z oficjalnym pozwoleniem i dokumentami na dowód, że dane dziecko można utrzymać. – Panna Bray rzekła z większą determinacją niż kiedykolwiek.

Doktor Steiner zachichotała.

– Być może za sto lat nie będzie żadnych rodziców.

– Ostanie się ktoś, kto się przekradnie i urodzi dziecko – oświadczyła panna Bray z typową dla siebie niechęcią do prokreacji.

– No cóż – powiedziała ostro lekarka. – Co nic nie mówisz?

– Myślę – rzekła niezbyt przekonująco panna Bray – lecz do niczego nie dojdę. Jak mi nie mam, będzie musiał pójść do sierocińca w zachodniej części.

– Tam nie ma gdzie palca wściubić, a co dopiero umieścić kolejne dziecko! – zawołała doktor Steiner.

– To cóż mam począć?

– Bray, to twój biznes – krzyknęła równie głośno doktor Steiner. – Ja tu jestem jedynie od odbierania żywych i zdrowych dzieci.

Trzasnęła słuchawką i przetała czoło rękawem. Zawsze się pociła, kiedy wpadała w gniew, a to zdarzało się często. Nie powinna na to pozwalać z uwagi na swą tuszę. Lecz w Ameryce było pełno dobrych rzeczy do jedzenia, toteż nie żałowała sobie po przeżytych w niemieckich obozach głodzie. Stąd wzięła się jej nieszczęśliwa figura. To zresztą nieistotne, i tak nie miała zamiaru długo żyć, nawet tu, w Ameryce.

Wrzasnęła do nieśmiałej pielęgniarki:

– Następna, i to migiem!

Upływały osobliwe miesiące, puste dni, noce niby próżne muszle mroku. Im bardziej zbliżała się chwila rozłąki, tym rzadziej Josui łkała. Jej umysł osłabł, a serce usnęło, podczas gdy ciało przygotowywało się na mękę. Poród to walka pomiędzy kobietą a dzieckiem. Dziecię walczy o wolność, kobieta zaś o swe życie. Walczy, by dożyć kolejnej ciąży, lub w ogóle przeżyć. Kończy swe zadanie, wypełnia cielesny obowiązek wobec swego pokolenia, osuwa się i leży wyczerpana.

– Ha, ha! – triumfalnie zakrzyknęła doktor Steiner. Odebrała tak oczekiwane dziecko, małego pulchnego chłopczyka, idealnie zbudowanego, spóźnionego kilka dni, który miał wszystko na

swoim miejscu. Czekwała na nie ze zdumiewającym zainteresowaniem, a nawet zniecierpliwieniem. Całą wiosnę dostrzegała wprawdzie z rozbawieniem, a potem rozemocjonowana, jak to niechciane dziecko ją absorbuje. Wiedziała, że będzie zjawiskowe. Zaczęła zwać je dziecieniem tego świata, poszukiwaczem przygód narodzonym wbrew prawu i nienawiści, śmiałkiem i twórcą nowego świata.

– Ach – powiedziała łagodnie, wpatrując się w niego. Wiedziała, że to niemożliwe, ale sprawiał wrażenie, jakby ją widział. Miał ogromne czarne oczy i małą radosną buzię.

– To chłopczyk! – zawołała do Josui, lecz ta nic nie odrzekła, gdyż spała pod znieczuleniem. – Proszę go nie zabierać – rozkazała pielęgniarkę. – Sama chcę się nim zaopiekować.

Pielęgniarka owinęła go w stare czyste prześcieradło i położyła w pustym łóżeczku. Doktor Steiner podeszła i mu się przyjrzała. Młoda matka doprawdy niewiele mówiła, ale tego poranka, tuż zanim podano jej eter, delikatnie odsunęła na kilka sekund stożek i bardzo wyraźnie rzekła do czekającej lekarki:

– Proszę pamiętać o dwóch sprawach: nie chcę widzieć dziecka i ma mieć na imię Lennie.

– Jakieś nazwisko?

– Nie – odpowiedziała i owładnięta bólem, zdecydowanie założyła stożek na twarz.

– Lennie – doktor Steiner powtórzyła na próbę. To imię do niego pasowało. Miał małą gładką buzię, dość bladą i bez zaczerwienień, oraz małe idealne ciało. Był małym dzieckiem, ważył bowiem zaledwie niewiele ponad pięć funtów. Z łatwością też przyszedł na świat i wydostał się z matczynej więzienia niemal wesoło, bez troski i na pewno radośnie.

Spojrzał na nią, jak gdyby nie mógł doczekać się śmiechu, a może tylko takie odniosła wrażenie. Zdumiało ją to, bo czyż noworodki nie przedłużają sobie swego długiego snu? Ale nie Lennie, on dojrzał do życia. Ta brzydka wrażliwa kobieta poczuła w sercu zawrót, poruszenie i tęsknotę, pomimo że nie żywiła matczynych uczuć. Być może nie pragnęła dzieci dlatego, że nigdy nie pozwoliła sobie mieć na nie nadziei. Jej podejście do noworodków płynęło z szacunku do nieznanego istoty ludzkiej, niemowlęcia, które trzeba było przygotować do długiego i zdrowego życia tak skrupulatnie i gruntownie, jak to tylko możliwe. Zajmowała się ciałem, gdyż tak naprawdę tylko to należało do jej obowiązków, toteż nigdy nie pozwoliła, by jej myśli i ciekawość zgłębiały cokolwiek ponad to. Lecz Lennie nie przypominał żadnej istoty, jaką kiedykolwiek widziała. Owinięty w białe prześcieradło, wcisnął pod bródkę małe rączki i bacznie przyglądał się jej wielkimi przejrzystymi czarnymi oczyma. „A więc – mógł sobie myśleć – jesteś człowiekiem!”.

Szkoda, że nie spojrzał na swą młodą matkę! Doktor Steiner odwróciła się do pacjentki i obserwowała, jak pielęgniarka wykonuje przy jej łóżku rutynowe czynności. Josui spała, jak gdyby nie chciała się zbudzić. Leżała rozluźniona, nieprzytomna i tak blada, że lekarka ponownie zmierzyła jej tętno. Nie, Josui była młoda i silna. Wszystko było w normie, po prostu nie chciała się budzić i przez tę niechęć środek znieczulający działał silniej.

– Zabierzcie ją – poleciła lekarka. – Ona nie chce zobaczyć dziecka. Pielęgniarka wezwała

dwie salowe, które czekały na zewnątrz przy drzwiach, a teraz weszły i wywiozły łóżko, zaś druga siostra zjawiała się po dziecie, jednak doktor Steiner kazała jej poczekać.

– Chcę je bardzo gruntownie przebadać i sama je umyję. Pielęgniarka nic nie odpowiedziała. W szpitalu każdy znał upór tej niemieckiej lekarki, niezrozumiałej i wymagającej precyzji, co wszędzie rodziło bunt, choć tak kompetentnej, że niechętny podziw wymuszał posłuszeństwo. I tak z mieszanymi uczuciami: na wpół pogardą, na wpół zrozumieniem, młoda amerykańska pielęgniarka przyniosła miednicę z ciepłą wodą, mydło, czystą gazę i sterylny ręcznik. Doktor Steiner zapomniała o innych czekających pacjentkach i bez najmniejszego pośpiechu umyła starannie maleńkiego chłopczyka, zwracając uwagę na każdy szczegół drobnego, lecz silnego ciała: kwadratowe barki, główkę o ładnym kształcie, małe spokojne usteczka i znów te zjawiskowe oczy.

– Zjawiskowe dziecie – rzekła do pielęgniarki. – Coś w nim jest. Siostrzo, to ktoś więcej niż człowiek, rozumie siostrza? To dar ras, który częstokroć się pojawia, kiedy się mieszają. To coś, czego Hitler nigdy nie pojął. Kiedy stare rody krzyżują się, rodzi się coś nowego. Och, tak!

Lecz ta młoda rudowłosa kobieta o ślicznej różowawej twarzy prawie w ogóle nie słuchała i krążyła myślami wokół własnych spraw. Pozostało jej jeszcze sześćdziesiąt minut do końca ośmiogodzinnej zmiany, po której jej czas aż do północy miały wypełnić prywatne plany, same rozkoszne sprawy w towarzystwie pewnego młodego mężczyzny, którego mogła, ale nie musiała poślubić. Z pewnością nie był Japończykiem, Żydem, Niemcem ani przedstawicielem żadnej osobliwej rasy – był po prostu dobrym Amerykaninem.

Niemniej jednak siostrza nie była okrutna, więc kiedy doktor Steiner położyła w jej ramionach dziecie, przyjęła je z jakąś czułością. Szkolono ją, że tak powinno się postępować z noworodkami, uznano bowiem, że te rozwijają się lepiej, jeśli na początku ich życia daje im się chociaż pozory czułości. Wyznaczone pielęgniarki co dzień tuliły przez piętnaście minut wszystkie dzieci, które dzięki temu miały poczucie matczynej ciepła.

– Połóż je w łóżeczku stojącym w rogu – rozkazała doktor Steiner. – Co dzień będę do niego zaglądać.

– Oczywiście, doktor Steiner – odpowiedziała posłusznie pielęgniarka i odniosła malucha, po czym wyjęła z łóżeczka małą dziewczynkę, siódme dziecie irlandzkiego policjanta, i położyła na jej miejscu Lenniego. Powinna była zmienić prześcieradło, ale przecież istniało niewielkie ryzyko, że noworodek umrze, skoro w połowie był Japończykiem, poza tym mała Irlandka również była zdrowa. Ta ostatnia godzina płynęła błyskawicznie, a pielęgniarka miała jeszcze do załatwienia wiele drobnych spraw, nim będzie mogła zdać raport siostrze przełożonej – jak miała nadzieję – bez obawy, że nie zdąży na czas. Szybko założyła mu kilka niezbędnych ubrań, przykryła go różowym flanelowym pledem, który wcześniej również należał do małej dziewczynki, i zostawiła, by zasnął. Na drugiej zmianie inna pielęgniarka poinformowała o zamianie dzieci na wypadek, gdyby doktor Steiner osobiście miała do nich zajrzeć, zawsze bowiem trzeba skrupulatnie dbać o szczegóły, jeśli chce się uniknąć porywczosci lekarki.

Niemka nikogo się nie lękała, a kiedy wpadała w gniew, grzmiała długimi ostrymi słowami, których nikt nie rozumiał i których dźwięku i znaczenia nie sposób opisać.

Tego wieczoru przed wyjściem do domu doktor Steiner poszła ciężkim krokiem do sali niemowląt i natychmiast skierowała się do stojącego w rogu łóżeczka, w którym leżało pogrążone w spokojnym śnie niezrównane dziecko. Lennie nie zwinął się w kłębek jak większość wyjętych z łona niemowląt, lecz wyprostował, jak gdyby sprawdzał długość swego maleńkiego ciała. Niemka ujęła jedną z jego rozluźnionych rączek, tak nieskończenie małą, tak idealną. Czytała, że azjatyckie dzieci nie zaciskają piąstek jak niemowlęta Zachodu. Jego delikatne spiczaste paluszki były rozluźnione i miękkie niczym płatki kwiatów. Być może we krwi takich dzieci płynęła mądrość ludów starożytnych, może wchodziły w życie, akceptując swój los bez stawiania oporu. Dumiała o tych interesujących kwestiach – prócz ciała istniało tyle zagadnień, które teraz można było sobie tylko wyobrazić, ale które poznamy pewnego dnia, gdy umysł ludzki zajmie się życiem zamiast śmiercią. Kiedy tak się wpatrywała w Lenniego, przypomniała sobie o jego samotności, o tym, że na świecie nie istnieje ani jeden człowiek, którego obchodziłoby to, czy żyje, czy też nie, nikt, kto by czekał na jego narodziny. Dokąd pójdzie, kiedy upłyną dni jego krótkiego pobytu w szpitalu?

Lekarka raptownie odeszła od łóżeczka i pojechała do domu, wybierając jak zwykle określoną trasę, która obejmowała podróż dwoma tramwajami. Mieszkała w brzydkim, nowoczesnym parterowym domku za miastem. Niegdyś próbowała żyć w bloku, lecz było to dla niej nie do zniesienia; musiała mieć dom, pomimo że była złą gospodynią. Kiedy z niego wychodziła, zamykała drzwi na klucz, toteż teraz musiała je otworzyć, lecz klucz jak zwykle ugrzązł w dziurce, gdyż zbyt mocno go do niej wsuwała. Zawsze wstawiała wcześniej, by zostawić dom we względnej czystości, i taki właśnie jej się podobał, pomimo że zapewne każdy uznałby, iż brakuje mu wdzięku. Na stole obok słomianej podkładki pod nakrycie, na której leżały nóż, widelec, łyżka, talerz i filiżanka, piętrzyły się książki i broszurki. Rozmawiając ze sobą po niemiecku, doktor Steiner toczyła się ociężale po dwóch pokojach. W łazience, do której ledwo się wciskała, wzięła kąpiel i włożyła spłowiały bawełniany szlafrok, a w kącie kuchennym podgrzała sobie na kolację zupę i posmarowała grube kromki ciemnego pieczywa. Mamrocząc gardłowo, pytała samą siebie, czy oszalała, cóż pocznie z dzieckiem i skąd weźmie pieniądze na zatrudnienie kogoś, kto pojmie, że to dziecko jest cudem, niezastąpioną istotą ludzką i stworzeniem zbyt cennym, by je zmarnować. Siadła przy stole i ostrożnie wyjęła sztuczną szczękę, zarówno górną, jak i dolną, po czym z ulgą poczęła przeżuwać nagimi dziąsłami rozmiękczone w zupie pieczywo. Wszystkie zęby straciła w obozie koncentracyjnym: niektóre wybito, a niektóre same powypadały. Protezę dentystyczną nosiła przez wzgląd na tych, którzy musieli na nią patrzeć, ale wyjmowała ją, kiedy pragnęła czuć się swobodnie i być sobą. Czasami, kiedy miała do przeprowadzenia trudną i niebezpieczną operację, trwożyła pielęgniarki, wyszarpując ją sobie z ust i podając stojącej najbliżej.

– Ostrożnie – rozkazywała wówczas srogo. – Kosztowała mnóstwo pieniędzy, fortunę!

Po posiłku doktor Steiner starannie umyła nad zlewem protezę i włożyła ją do szklanki ze środkiem antyseptycznym. Pozmywała naczynia i przygotowała słomianą podkładkę na rano, po czym siadła w dużym fotelu obłożonym spłowiałym czerwonym aksamitem. Opodal stał kwadratowy stół, na którym znajdował się telefon, czasopisma, książki, broszurki, rękopisy, pudełko cygar, spodek z kuchennymi zapalkami i służący za popielniczkę pęknięty talerzyk. Otworzyła pudełko i wyjęła cygaro, a następnie zapaliła je i zaciągała się, z pozoru spokojna, lecz w głębi duszy wściekle zamyślona.

Po jakichś dziesięciu minutach sięgnęła po telefon, wybrała numer i ze spoczywającym w kąciку ust cygarem, pewnie utkwionym w jej szerokich wargach, przeprowadziła następującą rozmowę:

– Bray, to ty?

Usłyszała dobiegający z oddali znużony głos:

– Tak, doktor Steiner.

– Dzisiaj przyszło na świat dziecko.

– Jakie dziecko?

– Bray, proszę, nie bądź głupia! Dziecię ślicznej Japonki, którą przysłałaś do mnie na poród. Jakże mogłaś zapomnieć?

– Ach, tak.

– Bray, słyszysz mnie?

– Słyszałabym cię lepiej, gdybyś nie mówiła tak głośno. Lekarka domyśliła się, że panna Bray jest zmęczona i ma ochotę trochę pozzrzedzić.

– Jakże to możliwe? Nie słyszysz mnie, ponieważ mówię głośno? – spytała ostro. – To niedorzeczne – powiedziała i dodała, jeszcze bardziej podnosząc głos: – Bray, postanowiłam, że wezmę to dziecko.

Czekała, aż panna Bray jakoś zareaguje na to poważne oświadczenie, lecz ta nadal milczała.

– Bray, słyszysz mnie?

– Tak – odezwała się z oddali panna Bray. – Dobrze cię słyszę, ale my nie dajemy dzieci niezamężnym kobietom.

Doktor Steiner prychnęła:

– A w sierocińcu ilu jest mężów? Powiedziałaś, że je tam umieścisz. Jeszcze dostanie biegunki i umrze. W tym roku przytrafiło się to dziesięciorgu dzieciom i nie pozwolę, by to było jedenaste. Zatrzymam je, a jeśli wpadniesz w jakieś kłopoty, przyślij ich do mnie.

Dziś był długi upalny dzień i do agencji przyszło wyjątkowo dużo młodych, ponurych brzemiennych kobiet. Panna Bray była znużona tematem seksu i wszelakich jego konsekwencji, toteż niezbyt się teraz przejmowała, czy zostanie zwolniona. Od jakiegoś czasu rozważała myśl o podjęciu pracy w przytułku dla ubogich starych ludzi, którzy nawet jeśli czasami się zakochiwali, to i tak nie mieli żadnych szans na ciążę.

– Och, już dobrze – rzekła teraz rozdrażniona. – Jedno dziecko w tę czy w tę... Myślę, że się

nie zorientują. Wiem, że nie uda mi się oddać go do adopcji.

– Ależ ja go adoptuję! – zawołała doktor Steiner.

– Cóż – powiedziała oschle panna Bray. – Mam nadzieję, że nie pożałujesz tego. Wezmę od matki dokument zrzeczenia się dziecka i przekażę ci go.

– Dobrze – zagrzmiała doktor Steiner i trzasnęła słuchawką, po czym osunęła się na fotel i zamyślona paliła coraz krótsze cygaro.

Josui zawahała się, kiedy przedstawiono jej ów dokument. No cóż, takie było jej postanowienie i teraz musi go podpisać. Nie potrafiła jednak tego uczynić, ogarnęło ją bowiem osobliwe uczucie niespełnienia. Na dokumencie nie figurowały żadne dane prócz nazwy agencji, toteż nie wiedziała, dokąd trafi jej dziecię. Podpisanie skrawka papieru, który przekazywał Lennie jedynie agencji, wydawało się ponad jej siły.

– Czy nie ma nikogo, kto by go wziął? – zapytała.

– Lepiej, by pani o tym nie wiedziała – stwierdziła panna Bray oschle. Josui wysłuchała jej, lecz nic nie odpowiedziała. Nagle z cichym szlochem, pochyliła głowę i pospiesznie napisała imię i nazwisko w linijce oznaczonej „Matka”. Utkwiła wzrok w tym słowie. Tak, była matką. Mogła oddać dziecię i właśnie to uczyniła. Do oczu napłynęły jej łzy, które po chwili zawisły na długich prostych rzęsach. Panna Bray nie przyglądała się na tyle, by je zauważyć, więc sięgając po dokument, rozmazała go.

– To chyba wszystko. Jeśli kiedykolwiek zechce się pani dowiedzieć, co u dziecka, proszę do nas napisać. Jeżeli cokolwiek mu się stanie, damy pani znać. Lecz brak wiadomości to dobra wiadomość i radzę po prostu o nim zapomnieć.

– Dziękuję – Josui powiedziała cicho, po czym wstała, otarła łzy i wzięła torebkę. – Do widzenia – rzekła jeszcze ciszej.

– Do widzenia.

Josui wyszła wprost na słońce i poczuła się osierocona, choć wszystko to stało się za jej sprawą. Obiecała lekarce, że przyjdzie na ostatnie badanie kontrolne, lecz nie dotrzymałaby tej obietnicy, gdyby doktor Steiner nie była tak niezwykłą osobą, kimś silnym i życzliwym pomimo złego nastroju, a przede wszystkim kobietą. Raz, może dwa razy Josui pomyślała sobie, że otworzy się przed nią, lecz nie uczyniła tego, wszak lepiej będzie, jak pozostanie tym, kim jest – nieznajomą. Kiedy tylko badanie dobiegnie końca, napisze do Koboriego, by ją odwiedził, a gdy się spotkają, postanowi, coź począć. Przynajmniej wiedziała, że nigdy nie napisze do Allena i nigdy więcej go nie ujrzy, był bowiem kimś umarłym, a może nawet kimś, kto nigdy nie istniał, choć nadal go miłowała. Życie to coś cudownego i musi trwać. Nie przyszło jej do głowy, że mogłaby żyć tutaj, w miejscu, z którego ją wyrzucono. Kalifornia wydawała jej się taka odległa, pomimo że spacerowała jej ulicami i pod jej niebem.

Błada, lecz opanowana weszła do gabinetu lekarki, która niecierpliwie na nią czekała. Panna Bray rzekła, że ta młoda kobieta nic nie wie o dziecku i nie należy jej nic mówić. Doktor Steiner prychnęła i ten jeden jedyny raz zachowała się roztropnie, nie odpowiadając ani tak, ani nie.

Podjęła już postanowienie, toteż kiedy tylko Josui siadła naprzeciwko niej, ściskając torebkę w dłoniach, których nie zdobiła żadna obrączka, natychmiast przeszła do rzeczy:

– Coś pani powiem – rzekła z werwą, wpatrując się z rozbudzoną na nowo przyjemnością w jej piękną bladą twarz. – Chcę, by pani o czymś wiedziała, ale proszę nic nie mówić Bray, nie chcę bowiem kłócić się z tą dobrą, lecz zawsze niemądrą duszyczką. – Pochyliła się i z wielką powagą zniżyła głos. – To ja biorę pani dziecię! Chcę, by pani wiedziała, że przebywa u mnie i jest zjawiskowe. Rozumie pani, nie można go zmarnować u jakichś ludzi, dla których nie byłby dość cenny. Wezmę go i nauczę, jak bardzo jest wyjątkowy i jak łączy w swej małej duszyczce cały świat! – Rozpostarła krótkie grube ramiona, jak gdyby obejmowała całą kulę ziemską. – Wychowam go na wielkiego człowieka, ba! On już jest wielki!

Josui słuchała tego ze zdumieniem i wzruszeniem i również się pochyliła. Jej obandażowane piersi były obolałe od ciężaru niepotrzebnego mleka, tego obfitego źródła, które według narzekania pielęgniarki wystarczyłoby na wykarmienie trojaczków.

– Czyli jednak mogę wiedzieć – wyszeptła – Wiem, gdzie on jest!

– Może pani wiedzieć – powiedziała stanowczo doktor Steiner – A nawet powinna pani, moja droga. Mówię pani, on jest cudowny. Pragnę, by była pani z nim choć przez chwilę, jeśli tylko ma pani na to ochotę. Proszę przyjść do mnie do domu i zostać przy nim, jeżeli pani chce.

– Och, dziękuję – rzekła Josui, a cała jej determinacja osłabła w nieokiełznanym pragnieniu. – Nie będę mogła długo zostać, ale może choć jedną noc?

– Proszę przyjść – powtórzyła lekarka. – Oto klucz. Proszę tam pójść, a ja go potem przyniosę. Będzie pani spała w sypialni przy łóżeczku, które dla niego kupiłam, a ja przenocuję na kanapie w salonie. Pobędzie z nim pani choć dwa dni. Jestem tu bardzo zajęta. Proszę zostać dłużej, jeśli pani chce.

– Lecz jakże pani... – Josui rozejrzała się po zatłoczonej agencji.

– Już wszystko załatwiłam – rzekła doktor Steiner. – Mam dobrą, życzliwą sąsiadkę, która jest już babcią, choć wcale nie jest taka stara, jej dzieci już się usamodzielnili. Zaopiekuje się nim, kiedy będę w pracy. Będzie dobrze. Starsze kobiety najbardziej kochają dzieci... Wiemy, że to one nadają życiu prawdziwy sens, że są ogniwem spajającym dzień wczorajszy z jutrzejszym. Proszę pójść i przygotować się na jego przybycie, przyniosę go w porze lunchu.

Josui wzięła klucz, który spoczywał w niewielkiej grubej dłoni, i pochyliwszy na chwilę głowę, przyłożyła do niej policzek, po czym wyszła niezdolna nic powiedzieć. Spacerowała, usiłując skupić się na tym, co zaraz uczyni. Będzie tulić dziecię swoje i Allena. Będzie je pieścić, myć i karmić, a kiedy zaśnie? Może uszyć dla niego jakieś ubranka, takie drobne prezenty, które być może ta sroga, lecz życzliwa kobieta zachowa do czasu, kiedy Lennie dorośnie, by wiedział, że jego matka go kochała. Josui zboczyła do sklepu, gdzie kupiła różowe i błękitne kawałki flaneli, igły i jedwabną nić w ślicznych kolorach, po czym wsiadła do tramwaju z pakunkiem pod pachą. W końcu dotarła do domu, który wydał jej się znajomy, gdyż poniekąd przypominał jego lokatorkę. Wyjęła klucz, otworzyła drzwi i weszła. Oto dom Lenniego. Rozglądała się wokół, by

nigdy nie zapomnieć tego widoku: dużego pokoju, samotnego miejsca przy stole, regałów pełnych książek, wielkiego sfatygowanego fotela opodal pełnego popiołu kominka z cegieł. Nieco dalej były otwarte drzwi do sypialni, w której stało bardzo czyste stare żelazne łóżko oraz pomalowane na jasny błękit nowe, niepościelone łóżeczko, na którym piętrzyły się niewielkie prześcieradła i pledy. Josui pękało serce, słowa więzły jej w gardle, lecz nie chciała płakać. Zdjęła kapelusz i zakiet i poczęła rozkładać pościel w typowy dla siebie sposób, oszczędnymi ruchami, starannie przygotowując Lenniemu pierwsze miejsce do spania.

Tak oto rozpoczął się ten błogi tydzień.

Lennie przybył do domu w ramionach doktor Steiner, która położyła go na świeżo pościelonym łóżeczku. Był upalny dzień, południe, a mimo to w domu panował chłód, Josui włączyła bowiem elektryczny wentylator, pod którym postawiła garnek z lodem. Przygotowała na stole drugie nakrycie i otworzywszy lodówkę, znalazła w niej jedzenie, z którego zrobiła na lunch potrawę przypominającą sukiyald, sałatkę na zimno i kilka cienkich tostów. Znalazła również skrzynkę butelek, sterylizator, puszki z mlekiem i dekstrozę – to wszystko było dla Lenniego, jednak Josui nie wiedziała, jak mu przyrządzić pokarm. Znow poczuła ból w piersiach... Czy nie mogła sama go nakarmić?

Kiedy przybył, błagalnie spojrzała na lekarzkę i wskazała swoje piersi, rozpinając klamerki bluzki.

– Naturalnie, moje biedactwo – rzekła serdecznie doktor Steiner. – Osuszę to obfite źródło, kiedy przyjdzie na to czas. A teraz weź go.

Oszołomiona szczęściem Josui wzięła Lenniego, poszła do sypialni i zamknęła drzwi, po czym nakarmiła go piersią. Z początku zdawał się czuć dziwnie w jej ramionach. Dotykał ustami jej miękkiego sutka jakże innego od tego, co znał: gumy i twardego szkła, gdy wtem wszystko pojał i z oczami utkwionymi w twarzy matki zaczął pić dużymi haustami błogosławione mleko. Josui patrzyła w te wielkie oczy, czując, jak ogarniają smutek. Obezwładniona żalem łkała, a jej łzy kapwały na buzię Lenniego. Otarła je dłonią i nadal wpatrywała się w syna, drżąc z miłości.

Kiedy najedzony do syta niebawem zasnął, położyła go do łóżeczka, nachyliła się i przyjrzała jego buzi, dłoniom, nagim stopkom – całej sylwetce. Rozpoznała usta Allena, słodką krągłość warg, lecz słodycz tę burzył twardy podbródek jej ojca. Dłonie były jej, kwadratowe barki zaś kogoś jej nieznanego, gdyż ona miała ramiona delikatnie spadziste, a Allen jeszcze inne. Spojrzała na okalające jego orientalne oczy długie i podwinięte rzęsy, czyje jednak, skoro Japończycy takich nie mieli? Nie Allena, a jakiegoś przodka z jego strony, którego imienia nigdy nie pozna. Były ekstrawaganckie niby rzęsy ślicznej Amerykanki, która na zawsze pozostanie dla niej nieznaną.

Drzwi się otworzyły. Weszła doktor Steiner i obie kobiety w milczeniu podziwiały dziecę.

Tak oto rozpoczął się błogi tydzień, gdyż jedna noc i dwa dni stały się zaledwie początkiem głębokiego porozumienia, jakie się zrodziło pomiędzy tą trójką. W końcu Josui opowiedziała lekarce krótką historię życia Lenniego, a kiedy mówiła, przypominała sobie rzeczy, o których już

dawno zapomniała, a może nawet ich nie dostrzegała, gdy się działą.

– Kiedy po raz pierwszy staliśmy pod wisterią, to znaczy, wie pani, kiedy po raz pierwszy się pocałowaliśmy...

– Nie wiem – wtrąciła doktor Steiner. – Nigdy nie całowałam się z mężczyzną. Co się wówczas stało?

– Poczuliśmy drgniecie powietrza, lekki wirujący wiaterek, pomimo że dzień był spokojny i bezwietrzny – przypominała sobie Josui. – Odczuliśmy obecność jakiejś istoty. Czy wierzy pani, że to mogła być jego nienarodzona dusza?

– Nie mogę powiedzieć, że nie wierzę.

Lecz nie tylko Josui mówiła. W Ameryce doktor Steiner milczała w obecności tych, którzy, wiedząc tak mało, nigdy nie potrafiliby pojąć jej smutku, którzy nigdy nie doświadczyli śmierci, gdyż nie widzieli miliona ginących niewinnie, młodych i starych. Teraz jednak opowiedziała o tym, o czym pamiętała i pamiętać musi, dopóki jej umysł nie obróci się w proch.

– Po pierwsze musi pani wiedzieć, że nie mogliśmy sobie wyobrazić, by zabijano małe dzieci mieszanej krwi. Nie chodziło o pani krew, lecz o moją, zmieszaną z krwią niemiecką. Powiedziano nam, że krew musi być czysta... Jak gdyby jakakolwiek krew ludzka mogła być inna! Moja droga, pani krew nie różni się od mojej, krwawimy tą samą czerwoną cieczą, pomimo że ja jestem brzydką starą Żydówką, a pani delikatną młodą Azjatką.

Trzymając Lenniego na szerokich, grubych kolanach, pomiędzy którymi rozpościerała się marszczona spódnica, lekarka usiłowała powiedzieć, że wiara Josui zwyciężyła, a on był na to niezbitym dowodem.

– To niebywale śliczne dziecię świadczy o tym, o czym ja już wiem, a mianowicie, że istoty ludzkie, jakkolwiek zmieszane i skrzyżowane, mogą być zjawiskowe. Moja droga, zjawiskowe, pojmuję pani? To pełnia.

Lennie miał okazję spać w łóżeczku tylko wtedy, kiedy nastawała noc i obie kobiety musiały w końcu przestać rozmawiać i położyć się do snu – lekarka, by jej dłoń nie zadrżała nazajutrz ze zmęczenia, gdy będzie dzierżyła skalpel, a Josui dlatego, że była młodą kobietą, na której barkach spoczywało brzemie miłości i straty. Spał, kiedy tuliły go ramiona, te miękkie i szczupłe oraz te silne i krótkie, gdy noszono go po pokojach, kiedy leżał na wygodnych szerokich kolanach, gdy karmiły go obrzmiałe piersi. Otulała go miłość i podziw dwóch kobiet. Jego pierwsze ukryte wspomnienia – a było ich tyle, że wystarczyłyby mu na całe życie – wypełniała miłość, miłość, miłość. Był najbardziej upragnionym dzieckiem na świecie.

Tak oto nadszedł ostatni dzień tego tygodnia i Josui przygotowała się do wyjazdu. Jeszcze kilka dni wcześniej lękała się tej chwili, lecz teraz, kiedy nastawała, była na nią gotowa. Nie zabierze Lenniego z tego domu, gdyż był w nim bezpieczny. Na zewnątrz nikt go nie czeka, nikt nie powita, a tutaj nie miał rywala. Wielkie serce kobiety, która doświadczyła życia i śmierci, miłowało jego i całą ludzkość. Był bezpieczny.

– Moja droga, zostań – zachęcała Josui doktor Steiner. – Będziemy żyć razem, we troje.

Zarabiam wystarczająco dużo pieniędzy.

Lecz Josui nie chciała.

– On nie jest mój – upierała się. – Jeśli zostanę, pewnego dnia zapyta o ojca, a ja nie będę potrafiła wysłuchać jego pytania, pytania, na które nie umiem odpowiedzieć. Proszę pozwolić mi odejść.

Była zdecydowana opuścić tę odrobinę Allena ocalałą w dziecku, które czasami zdumiewało ją spojrzeniem tak podobnym do spojrzenia swojego ojca, rozbawionym szczęściem, które złamało jej serce, gdyż tak szybko przeminęło.

Obwiązała obolałe piersi, zabrała specyfik, który miał je osuszyć, i przygotowała się do opuszczenia domu. Uda się do San Francisco, gdzie czekał na nią Kobori, a kiedy się z nim spotka, postanowi, co począć. W sercu nosiła spokój wygasłej miłości. Kiedy nadeszła chwila wyjazdu, utuliła Lenniego, który miał na stopkach małe różowobłękitne buciki wykonane przez nią własnoręcznie i ozdobione haftowanymi motylkami. Położyła go w ramionach doktor Steiner, cofnęła się i złożyła jej niski japoński ukłon.

– Dziękuję. Dziękuję za to, co uczyniła pani dla mnie i dla niego.

– Proszę kiedyś do nas wrócić – rzekła lekarka, trzymając Lenniego na ramieniu.

Josui ukłoniła się raz jeszcze.

– Dziękuję – powiedziała ponownie, lecz nie dodała tego, o czym już wiedziała, a mianowicie, że nigdy nie powróci. Nie odbierze daru, który ofiarowała. Już żadne ogniwo nie spajało przeszłości z przyszłością...

Na stacji kolejowej w San Francisco czekał Kobori. Był starannie ubrany, co go szczerze bawiło, niemniej jednak sprawiało mu to przyjemność, że wygląda tak nienagannie. Czuł, że odziany w eleganckie dodatki łatwiej zaakceptuje to, co przeznaczy mu życie. Tak niewiele od niego zależało, że chociaż udoskonalanie drobnych rzeczy, nad którymi mógł zapanować, dawało mu odrobinę satysfakcji. Postanowił wdziac uszyty na zamówienie garnitur z ciężkiego kremowego jedwabiu szantung, który był w sam raz jak na tak upalny dzień. Nad odległymi górami zawisła mgła i do wieczora mogła dopełznąć ku brzegowi, ale jak na razie przeważało słońce.

Pociąg przyjechał o czasie. Kobori ujrzał Josui, nim ona zobaczyła jego – była śliczna i znów szczupła – i choć jego serce wyrywało się ku niej, wiedział, że lepiej nie okazywać zniecierpliwienia. Kobori żywił nadzieję, że Josui doszła już do siebie po doznaniach miłosnych, jednak ledwie ozdrowiałych nie wolno przymuszać, a dobre maniery nakazywały stwarzać jak najwięcej okazji, by dać jej możliwość odmowy. Przygnębiała go jego własna uczciwość, nie mógł bowiem cieszyć się szczęściem, dopóki nie przekaze jej wieści, że od ich ostatniego spotkania zmieniło się pewne prawo. Po chwili wahania postanowił, że nie napisze jej o tym, tylko powie osobiście, by patrzeć w te cudowne oczy i uchwycić w nich choćby najblidsze światełko nadziei, co z drugiej strony byłoby przejawem mądrości.

Zdjął kapelusz, podszedł do niej spokojnie i zachodnim sposobem wyciągnął rękę, co na

peronie zwracało mniejszą uwagę niż japoński ukłon.

– Josui.

Nie dostrzegła go, lecz odwróciła się na dźwięk swego imienia.

– Kobori, jakże to miłe, że po mnie przyjechałeś! Delikatnie i zaledwie na chwilę ujęła jego dłoń.

– To chyba zrozumiałe, że tu jestem.

Szli blisko siebie przez peron, a za nimi podążał bagażowy z jej torbą. Kobori nie potrafił powstrzymać się przed patrzeniem w jej twarz, która nie była blada, jak się tego obawiał. Josui wydawała się spokojna i dobrze wyglądała, miała na policzkach delikatny rumieniec i posyłała mu zadowolone, choć nieobecne spojrzenia. Była starsza, bardziej milcząca i opanowana, lecz według Koboriego te cechy jedynie pogłębiały jej urodę.

Wezwał taksówkę, pomógł jej wsiąść i usiadł przy niej.

– Zaplanowałem dla nas wspólny lunch – rzekł z wahaniem i począł się zastanawiać, czy nie za bardzo się jej narzuca.

– To bardzo miłe.

Podał kierowcy nazwę restauracji i opadł na oparcie. Siedziała w pewnej odległości od niego, splótnięty odziane w rękawiczki dłonie na brązowej skórzanej torebce. Miała na sobie jasnobrązowy, bardzo prosty kostium, białą marszczoną na piersiach bluzkę i mały brązowy słomkowy kapelusik. Bardziej przypominała Amerykankę niż dziewczę, które zapamiętał, i poczuł się tym lekko zasmucony, po czym stwierdził, że nigdy dotąd nie widział jej w zachodnim odzieniu. Był zdumiony, że nie przyćmiewało jej urody, jak u większości Japonek. Pod małym osobliwym kapelusikiem kryła się urokliwie poważna twarz o wyraźnie zarysowanym profilu.

Nie wiedział, co powiedzieć, bo cóż powiedzieć należało? Nie chciał pytać o dziecię, nie chciał nawet wiedzieć, czy żyje ani co z nim zrobiła. Nie miał z nim nic wspólnego, ona też już nie, chyba że po usłyszeniu wieści, które miał jej do przekazania, zmieni zdanie, choć w ogóle nie wiedział, co postanowiła.

Po kilku minutach zwróciła się do niego z lekkim uśmiechem.

– Jak się miewasz? – zapytała uprzejmie.

– Całkiem nieźle.

– A twoi rodzice?

– Też.

– To dobrze.

– Ty również wyglądasz teraz bardzo dobrze. Roześmiała się.

– Zatem wszyscy mamy się dobrze!

Na szczęście restauracja była opodal i niebawem taksówka się zatrzymała. Kobori zapłacił kierowcy, zostawiając mu zbyt wysoki napiwek, po czym wysiedli. Chciałby ją wziąć pod rękę, jak czynili to Amerykanie wobec towarzyszących im kobiet, lecz był na to zbyt nieśmiały. Poprowadził ją do małej, drogiej restauracyjki, gdzie już wcześniej zarezerwował stół i

zamówił potrawy. Była to knajpka kreolska z kuchnią nowoorleańską. Wolałby restaurację japońską, serwującą dobre jedzenie, lecz czuł, że lepiej będzie, jeśli nie da po sobie tego poznać, dopóki Josui nie odkryje przed nim swych myśli.

Przy oknie z ładnym widokiem na zatokę stał ich stolik, a na nim leżał biały obrus, wypolerowane do połysku srebra, czyste naczynia i kupione przez Koboriego kwiaty: jasnopurpurowe astry i cytrynowa lantana. Wszystko było jak należy.

Oparł się w za małym krześle, po raz pierwszy czując się swobodny i szczęśliwy.

– A teraz będziesz musiała zjeść to, co zamówiłem. Podobno to najlepsza kuchnia kreolska. Niezbyt różni się od orientalnej, choć więcej w niej przypraw.

– Jestem głodna – oznajmiła Josui. – Teraz, kiedy już się nie smucę, wrócił mi apetyt.

Uśmiechnął się szeroko na tę dobrą wiadomość i przypomniał sobie o tym, o czym sam musiał jej uczciwie powiedzieć. Poczekaj jednak, dopóki nie zaserwują zupy. Kelner przyniósł ją właśnie w niezbyt dużej srebrnej wazie, a także łyżkę wazową oraz dwie czarki. Kiedy je napelnił, Kobori i Josui spojrzeli na siebie, po czym zaprosił ją do posiłku i w milczeniu zaczęli spożywać zupę. Nauczono ich, że nie odwraca się uwagi gospodarza ani gościa od dobrego jedzenia.

Na drugie danie czekali długo.

– Krewetki, które stanowią danie główne – wyjaśnił Kobori – nie mogły zostać przyrządzone przed naszym przybyciem.

– Ale nie spieszymy się, prawda? – spytała Josui.

– Nie. – Wytarł usta białą lnianą serwetką. – W ogóle – odchrząknął. – Właściwie to cieszę się z tej chwili przerwy. Mam dla ciebie pewne wieści, lecz nie wiem, czy uznasz je za dobre.

– Wieści? – powtórzyła Josui i jej myśli wpierw pofrunęły ku Allenowi. Ale o cóż może chodzić w związku z nim? A może chodzi o jej rodziców?

– W ciągu dwóch ostatnich tygodni – powiedział Kobori z bolesną ostrożnością, którą natychmiast dostrzegła – dowiedziałem się, że sąd w stanie Kalifornia postanowił, iż odtąd biali mogą zawierać związki małżeńskie z Japończykami.

Patrzył na nią przenikliwie, a ona zrozumiałwszy jego żarliwe zapytanie, odwzajemniła spojrzenie.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, że być może to wszystko zmieni. To znaczy, jeśli chcesz, mogłabyś napisać o tym do tego swojego Amerykanina, którego imienia nie wymówię. Tutaj możecie razem żyć.

– Nigdzie nie możemy razem żyć, już nie...

Serce Koboriego, duża bryła w jego piersi, zaczęło bić wolniej i poczuł, jak ten ciężki mięsień się kurczy.

– To znaczy, że tego nie chcesz?

– To nie jest kwestia chęci – odrzekła opanowana – tylko niemożności. – Jej głos się załamał,

ale zaledwie odrobinę. – Kobori, nie mogę, nie pojmujesz? Prawo jest już bez znaczenia. Dziś wiem, jaki on jest naprawdę, i to mi w życiu nie wystarczy.

Ociężałe serce wstrząsnęło jego piersią.

– To znaczy, że już nie czujesz... Wymówiła za niego to słowo:

– Miłości? Może tak, a może nie, lecz to również jest bez znaczenia, gdyż ona także mi nie wystarczy. Być może wystarczy Amerykanom, ale nie mnie i dziś już o tym wiem.

Kobori wypuścił powietrze z płuc z długim, świszczącym westchnieniem.

– To znaczy, że wrócisz do Japonii?

– Tak, Kobori, tak jak uczynił to mój ojciec.

W tej jakże nieodpowiedniej chwili kelner przyniósł na tacy piękny ceramiczny półmisek z krewetkami i z dumą postawił go przed Koborim, a przy jego dłoni położył łyżkę i widelec.

– Zechce pan osobiście panią obsłużyć – zasugerował. Zdumiony Kobori wziął sztucce w niezdarne dłonie i bezradnie spojrzał na Josui.

– Nigdy wcześniej tego nie robiłem...

– Proszę... – Wyciągnęła szczupłe ręce i wdzięcznym błyskawicznym ruchem sięgnęła po srebrny widelec i płaską łyżkę. Miała doświadczenie i wprawę.

– Kobori, podaj talerz, nałożę ci.

Z wdzięcznością to uczynił i wyszeptał:

– Dziękuję. – Patrzył na nią i niebawem się cieszył, że zachował biżuterię z różowych pereł z Indii. Powiedział czule: – Wszystko wychodzi ci lepiej niż mnie, pomimo że to ja jestem gospodarzem.

Uśmiechnęła się, lecz nic nie odrzekła, gdyż obsługiwanie tego postawnego bezradnego mężczyzny było dla niej czymś całkiem naturalnym. „Będę to czyniła – pomyślała – do końca swych dni... „,

Również w małym miasteczku w Wirginii nastał upalny, spokojny dzień, wymarły w pełni lata pomimo zieleni drzew i kwiatów lśniących jaskrawo wzdłuż okalającego ogród muru.

Pani Kennedy poczuła się rześko po popołudniowej drzemce. Schodziła właśnie po wyfroterowanych schodach, szczupła i odziana w chłodne i chmurne błękity. Zatrzymała się, by spojrzeć na basen. Zbudziły ją czyjeś głosy i plusk wody, przez co przez moment czuła wielkie oburzenie, ale gdy poznała, że to Allen i Cynthia, jej złe emocje wnet pierzchły. Tych dwoje coraz bardziej miało się ku sobie. Pani Kennedy uważała, by nie mówić o Cynthii i nie pokładać w niej zbyt dużych nadziei, odkąd zeszłej zimy Allen powrócił do domu okropnie przeziębiony, z niewyjaśnionych względów znużony i posepny. Natychmiast udali się na miesiąc do White Sulphur Springs, jednak pani Kennedy nie zadawała żadnych pytań, dopóki Allen nie pomówił z ojcem. Nawet wtedy o nic nie pytała. Tom rzekł tylko, że Japonka spakowała się i odeszła, nie zostawiwszy żadnej wiadomości, Allen zaś zrezygnował z pracy, zdał mieszkanie i powrócił do domu.

– Tom, cóż za szczęście... – powiedziała jedynie, lecz on nic na to nie odrzekł.

Pani Kennedy przywykła do milczących reakcji męża. Było zrozumiałe, że w tej kwestii nie ma już nic więcej do powiedzenia. Nikt nie był temu winny. Pomimo że dziewczyna była cudzoziemką, być może pojęła, że matka nie może oddać swego jedyne go syna. Nigdy nie miała do Allena tyle cierpliwości co teraz, jej miłość bowiem dotąd gwałtowna i krytyczna wymagała, by okazywał jej szacunek. Och, wiedziała, że potrafi obrażać ludzi, wszak kiedy się gniewała, czyniła to umyślnie, jednak teraz pozwalała Allenowi się sprzeciwić i traktować ją z nową bezwzględnością.

„Proszę, pozwól mi samemu decydować” – powtarzał bezustannie nawet w najdrobniejszych kwestiach, jak na przykład wtedy, kiedy po wypróbowaniu nowego przepisu na budyń otrzymała wyborny smak i nakłaniała go do skosztowania. Nie lubił tego specjału, choć pyszne mleko i jaja byłyby jak znalazł dla jego osłabionego organizmu. Stał się bardzo nieposłuszny i nieznośny, niemal jak wówczas, kiedy był małym chłopcem, teraz jednak zawsze mu ulegała, gdyż wrócił do domu.

Stała przy oknie i z czułością patrzyła, jak leżą wyciągnięci na tarasie pod platanem. Byli zupełnie mokrzy, ale dzień był bardzo upalny, więc mniejsza o to. Byli piękni, oboje tak wysocy. Musi ostrzec Cynthię, by z wiekiem nie przytyła, mężatki bowiem, zwłaszcza po urodzeniu dzieci, mają skłonności do przybierania na wadze, choć ona sama nigdy nie przytyła ani funta.

Zaciągnęła jedwabną zasłonę, przeszła przez chłód długiego pokoju i zadzwoniła dzwoneczkiem. Natychmiast pojawił się Harry, stary kamerdyner, rześki i schludny w białym drelichowym garniturze.

– Harry, przyrządź napoje i zanieś je do pana Allena i panny Cynthii – rozkazała.

– Tak jest, psze pani.

– Pamiętaj o wrzuceniu kostek lodu i podaniu wszystkiego na srebrnej tacy, słyszysz? Nie lubię tej starej lakierowanej cynowej tacy, z której nadal korzystasz. Wyjmij cztery szklanki, być może dołączymy do nich z panem Kennedym.

– Tak jest, psze pani.

Kiedy odszedł, siadła i poczęła się zastanawiać, czy aby nie przeszkodzą z Tomem... kto wie, może nawet w oświadczeniach... ? Od miesiąca myślała, że lada dzień, lada noc Allen przyjdzie do niej i powie: „Matko, Cynthia obiecała dziś... „.

Odchyliła się ostrożnie, by nie zmierzwić loków, zamknęła oczy i czekała z uśmiechem na ustach.

Kiedy Cynthia wycierała włosy zielonym ręcznikiem kąpielowym, leżący na trawie u jej stóp Allen zadał bezsensowne pytanie:

– Używasz zielonego ręcznika dlatego, że lubisz zielen, czy dlatego, że masz zielony kostium kąpielowy, a może po prostu wiesz, że w zielonym jest ci najpiękniej... ?

– Po prostu wzięłam go, kiedy przechodziłam przez łazienkę. Ale może tak naprawdę wybrałam go przez wzgląd na kolor. W każdym razie nie wzięłabym błękitnego i może był to świadomy wybór.

– Jak zawsze w pełni świadomy – zasugerował, wciąż się drocząc.

– Być może.

Oparł się na łokciach.

– Ależ mamy absurdalne tematy do rozmów!

– Jak zwykle – zgodziła się. – Pamiętam, że kiedy miałeś jakieś dziesięć lat, uważałam, iż jesteś najbardziej głupkowskim chłopcem, jakiego znam.

– Ale lubiłaś mnie?

Zawahała się, gdyż zawsze była ostrożna.

– Czasami może tak.

Jej ostrożność drażniła go, toteż nagle postanowił skorzystać z nadarzającej się sposobności i zdeptać ją niby oset.

– Cynthio, spójrz na mnie. Czas, byśmy się z czymś uporali. Pozostawiła to bez odpowiedzi i nadal zawzięcie wycierała krótkie blond włosy.

– Cynthio, odłóż ten przeklęty ręcznik – rzekł Allen apodyktycznym tonem i pochylił się ku niej, po czym chwycił jego kraniec i wyszarpnął go z jej dłoni, ona zaś złapała go i przytrzymała, a następnie poczęli się szamotać.

– Znów zachowujesz się głupkowato! – zawołała, a on raptownie puścił ręcznik.

– Niech będzie, ale jestem znużony sposobem, w jaki ty zachowujesz się wobec mnie. Doskonale wiesz, co pragnę powiedzieć, lecz nie pozwalasz mi tego uczynić. Nie nabierzesz mnie... zbyt dobrze cię znam.

Rzuciła ręcznikiem.

– No dobrze... a zatem mów, miejmy to za sobą.

– Cynthio!

Zaciskała usta, a jej błękitne oczy płonęły, toteż poczuł się z lekka wystraszony – czyżby był zbyt pewny swego?

– Mów – ponagliła go.

– A niech cię diabli wezmą, otóż powiem – wykrzyknął nagle rozgniewany. – Chcę, byś za mnie wyszła, przecież wiesz o tym, wiesz to od długiego czasu.

– Dobrze, aleja tego nie chcę. Czas, byś wiedział.

Cisnęła te oto słowa, lecz nie potrafił ich przyjąć, usłyszał je, lecz nie potrafił w nie uwierzyć. Był jej pewny, od wielu tygodni myślał, że za niego wyjdzie. „To dla mnie – mniemał – odmawia wszystkim swym wielbicielom”.

– Nie sądzę, by to, co mówisz, było prawdą. – Allen nagle począł zachowywać się dostojnie. Usiadł i strzepnął z nagich nóg żdźbła trawy.

Przestała suszyć włosy i upuściła ręcznik, po czym popatrzyła na niego smutno i zastanowiła się, dlaczego szansa na tę miłość tak po prostu przeminęła. Nie umiała myśleć jasno nawet wtedy, kiedy była sama, ani nie analizowała swych poczynań. Była niewolnicą powabu i odrazy, a on już od miesięcy był dla niej nieatrakcyjny. Wprawdzie starym zwyczajem spędzali czas w

swym towarzystwie, lecz cała przyjemność gdzieś się ulotniła. Nie czuła już żadnej ekscytacji w jego obecności.

– Obawiam się, że to prawda – powiedziała smutno. – Żałuję, ale tak właśnie jest.

Zatem dowiedział się, że go nie miłuje, choć wydawało się to niemożliwe, choć byli dla siebie stworzeni, jak to zawsze mawiała jego matka, a ona przecież nigdy się nie myliła.

– Nie potrafię tego pojąć – rzekł poważnie. – Teraz już wiem, że to myśl o naszym małżeństwie trzymała mnie przy życiu przez te wszystkie lata. Jeśli myślisz o Josui...

– Owszem, myślę o niej.

– Niepotrzebnie, to przeszłość, jak gdyby nigdy się nie zdarzyło. Zastanawiam się, jak to w ogóle możliwe, że mnie usidliła. Tak długo byłem z dala od domu i choć może to dla ciebie nie znaczyć, żywię nadzieję, Cynthia, że jednak będzie... nigdy nie przestawałem z innymi Japonkami jak niektórzy mężczyźni, a nawet ich większość. Nie był pewien, czy go słucha. Jej schnące włosy skręcone wokół twarzy w małe loczki dodawały jej świeżego, niemal dziecięcego wdzięku. Stała nieruchomo niby posąg z powiewającym w dłoni ręcznikiem i patrzyła w jakiś punkt hen za trawnikiem, gdy wtem rzekła:

– Chyba wiem, dlaczego Josui od ciebie odeszła. Myślę, że po prostu była w ciąży.

– Nie! – zawołał. – Nie, przynajmniej to nie jest prawdą. Powiedziałyby mi.

– Nie sędzę – Cynthia mówiła niemal rozmarzonym głosem. – Myślę, że chciała uciec i żyć sama. Musiała wiedzieć, że skoro twoja matka nie chce jej, nie zechce i dziecka.

– Przestań obwiniać moją matkę! – Allen zawołał z wielką pasją. – To nie jest jej wina i dobrze o tym wiesz. Wiesz, że istnieje pewne prawo...

– A fe! – Cynthia rzuciła ręcznikiem, oparła się o platan i skrzyżowała ramiona. – Myślałby kto, że Wirginia to jedyny stan w tym kraju!

– Tu jest mój dom.

– A fe – zawołała ponownie, a do oczu napłynęły jej łzy.

Na ten widok Allen wstał i podszedł do niej z rozpostartymi ramionami.

– Cynthia, kochanie... Odsunęła się i zawołała:

– Nie dotykaj mnie... nie zniosę tego! – Schyliła się, porwała ręcznik i pobiegła do bramy w niskim kamiennym murze, która prowadziła do domu jego ojca.

Patrzył, jak mknie po trawie, i czuł niewyobrażalną pustkę; w tej jednej chwili jego świat się zawalił. Kiedy wiele miesięcy temu opuszczał nowojorskie mieszkanie, czuł się tak okropnie i tak bolała go głowa, że ledwie przytomny dowlekł się do domu, w którym mógł ozdrowieć. „Tu – myślał wówczas – czeka na mnie Cynthia”. Miał długą przerwę, dużo czasu na zalecanie się, wiele tygodni na zapomnienie i przekonanie się, że tak naprawdę wcale nie miłował Josui, że zacznie nowe życie i wszystko będzie dobrze. Lecz to już niemożliwe. Jakże będą dalej żyć: on tu, ona za kamiennym murem?

To było nie do zniesienia. Powoli poszedł przez trawnik do domu, gdzie niemal wpadł na Harry'ego, który niósł na srebrnej tacy schłodzone napoje w wysokich szklankach.

Podjeżdżając w tym ręce matki, ostro rozkazał staremu słudze:

– Harry, zabierz to z powrotem do domu, gdyż panna Cynthia już sobie poszła.

Pomaszerował przed siebie, gdy wtem zobaczył wyczekującą przy drzwiach zaniepokojoną matkę. Lepiej natychmiast mieć to za sobą!

– Matko, chcę, byś wiedziała o czymś raz na zawsze, i proszę, nie mówmy o tym więcej. Poprosiłem Cynthię o rękę, lecz odmówiła.

– Allenie! – wyszeptała matka. – Ależ dlaczego?

– Nie podała powodu. – Allen uśmiechnął się nieprzekonująco. – Być może jej się nie podobam.

Stał przed nią taki wysoki i przystojny, że, pomyślała, nawet jej mógłby złamać serce. Patrzył na nią, a ona wiedziała, że jego duma skrywa cierpienie.

– Matko, chyba wrócę do wojska – powiedział niepewnie.

– Och, kochanie – załkała i wyciągnęła rękę.

– Proszę – rzekł i odepchnąwszy ją, odwrócił się i wszedł po schodach do swojego pokoju.

Doktor Steiner siedziała, a na jej kolanach spoczywał wielki biały ręcznik kąpielowy.

– Teraz – zakomenderowała – pani Markey, proszę go podnieść i posadzić na moich kolanach, a ja wytrę go i upudruję...

Chuda starsza kobieta w schludnej szarej perkalowej sukience w małe białe kwiatki ostrożnie wyjęła Lenniego z wanienki i posadziła na rozłożystych kolanach doktor Steiner. Siedział tak wyprostowany jak struna i niepewnie, lecz dzielnie się do niej uśmiechał. Często posyłał im uśmiechy, chyba że coś go bolało, ale to zdarzało się tylko wtedy, kiedy jedna z tych dwóch niezdarnych, lecz czułych kobiet ukłuła go agrafką bądź zabrała mu butelkę. Jego orientalne oczy, duże i subtelnie czarne, najłagodniej skośne, co tylko podkreślało ich wielkość, otaczały ekstrawagancko długie i podwinięte rzęsy, jakich nigdy wcześniej nie widziano u Azjaty. Silne, wyprostowane i krzepkie, lecz małe ciało, kwadratowe barki, dłonie delikatne niby płatki kwiatów, mała życzliwa i radosna buzia, ruchliwe usteczka i zadarty nosk wprawiały masywną lekarkę w najwyższy zachwyt. Skończyła umiejętnie i starannie wycierać ukochane dziecię i powiedziała, jak gdyby prowadziła wykład:

– Pani Markey, proszę spojrzeć na jego dłonie, proszę popatrzeć, jakie pozycje przybierają jego paluszki. Pierwszy, czwarty i kciuk są rozcapierzone, drugi i trzeci zaś splecone. To element birmańskiego i syjamskiego tańca, który przyjął się również w innych krajach, w tym bez wątpienia w Japonii. To znaczy, twórcy azjatyckich form tanecznych przyjęli za podstawowy ruch dłoni pierwsze ruchy nowo narodzonego dziecka.

Pani Markey była niewykształconą kobietą, lecz z szacunkiem patrzyła na ręce Lenniego, które szybowały swobodnie niby ptaki. Siedział na pewnym gruncie bez reszty pochłonięty tańcem i wydawało się nawet, że wzbilby się w powietrze, gdyby mógł. Był tak radosny, że od śmiechu robiły mu się dołeczki, był żywy niby płynąca woda i promienie słoneczne i tak inny – dobrze o tym wiedziała – niż jej własne nieco nudne dzieci, z których jedno, będąc już dorosłym

mężczyzną, zaginęło w dżungli, a jego ciało gniło na wyspie. Kiedy chwaliła się Lenniem, sąsiedzi mówili jej:

– Jakże mogłaś tak oszaleć na punkcie japońskiego dziecka?

– Lennie nie jest Japończykiem – ripostowała. – Jest inny niż wszystkie dzieci, które kiedykolwiek widziałam.

– Zwłaszcza – mawiali okrutnie – że twego syna zabił Japonec. Kiedy wspominali o Samie, krwawiło jej serce, mimo to mówiła:

– Z pewnością nie uczynił tego Lennie. Jakże ci głupi sąsiedzi mogli pojąć, co czuje?

W Lenniem zaszła naraz niepokojąca zmiana. W jednej minucie był pogodny niby poranek, by już po chwili na jego małej mądrej buzi malowała się konsternacja. Z wyrzutem patrzył na doktor Steiner, którą rozpoznawał już jako kluczową postać na tym świecie. Jego różowoczerwone usteczka drżały, a na rzęsach zawisły duże krople łez – to była jego nowa umiejętność, nowy dar.

– Szybko – zawołała poruszona lekarka – jest głodny. Marnujemy zbyt dużo czasu. Tak, tak, mój wspaniałutki! Pani Markey, butelka!

Kobieta pobiegła po nią i podała ją doktor Steiner, która skrupulatnie sprawdziła temperaturę – nie była ani chłodna, ani gorąca. Odstawiła butelkę, po czym wsunęła przez główkę Lenniego małą koszulkę z krótkimi rękawkami i zapięła pieluszkę pomiędzy jego malutkimi, grubiućkami udami. Choć wymachiwał w furii nóżkami i rączkami, dołożył największych starań, by wytrzymać tę zwłokę, co mu się ledwo udało.

– Już, już – lekarka rzekła przepraszająco. – Wiem, jestem zbyt powolna. No, masz butelkę...

Rozpostarł ramiona, jej zdaniem zdecydowanie zbyt wcześnie jak na swój wiek, chwycił smoczek i włożył go do ust, w których skupiały się teraz całe wywołane głodem ból i cierpienie. Wyciągnął się na jej dużym miękkim niby poduszka przedramieniu, ucichł zaspokojony i wpatrywał się refleksyjnie w pochyloną nad nim pełną życzliwą twarz. Ignorował przytłumione dźwięki wywoływane przez panią Markey, która opróżniała waniekę i porządkowała wszystko po codziennym rytuale mycia, podczas gdy doktor Steiner – jak zwykle kiedy zapanowała cisza – rozprawiała o Lenniem:

– Pani Markey, wczoraj skończyłam przeprowadzać wszelkie badania, słyszy pani?

– Och, doprawdy? – pani Markey wymamrotała buntowniczo. Badanie tak maleńkiej i doskonałej istotki uznawała za okrutne, a nawet haniebne. Myślałby kto, że Lennie potrzebuje badań, że trudno uwierzyć, iż jest najbardziej zjawiskowym dzieckiem na świecie.

– Wszelkie badania łącznie z neurologicznymi – powiedziała doktor Steiner głośno i stanowczo. – Pragnę pani rzec, że ma najwyższy iloraz inteligencji ze wszystkich istot ludzkich w jego wieku, jakie kiedykolwiek badałam. Jest doprawdy cudownie wysoki.

– Chciałabym, by nie nazywała go pani istotą ludzką – zaprotestowała ostro pani Markey.

Doktor Steiner wpatrując się w nią, spytała zdziwiona:

– A dlaczegoż nie?

– Bo brzmi to, jak gdyby był zwyczajnym dzieckiem, a on jest nie tylko istotą ludzką, ale i najbardziej miłutkim dzieciaczkiem, najukochańszym chłopczykiem.

Kiedy na dźwięk jej głosu spojrział na nią z ukosa, rozkleiła się z miłości, doktor Steiner zaś zagrzmiała tubalnym śmiechem.

– Markey, ty go nie lubisz...

Kobieta miała nieodpartą ochotę uśmiechnąć się, toteż zasłoniła usta dłonią, by ukryć zepsute zęby.

– Nie wiem, dlaczego tak jest, po prostu nie wiem... Miałam tyle dzieci, jedno odeszło na zawsze, a jednak to mały Lennie patrzy na mnie tak, że czuję, jak gdyby topniała we mnie bryła lodu.

Odepchnął butelkę, a po jego bródce popłynęła strużka mleka, po czym uśmiechnął się niczym aniołek rodem z niebios i zaciekawiony odwrócił się do dużej kobiety. Cóż na to powie?

Doktor Steiner spojrzała na jego roześmianą buzię, gdy wtem pomyślała o martwych dzieciach, zagłodzonych, zabitych, przekłutych bagnetem, rzuconych jedno na drugie, dzieciach, które umarły za to, kim byli ich rodzice: Żydami, katolikami, buntownikami, znienawidzonymi, złęknionymi, pogardzanymi. Nie mogła znieść świadomości, że Lennie widzi te wspomnienia w jej oczach. Był tak wrażliwy i tak mądry, jego umysł zgromadził dary całego świata. Oparła go sobie na ramieniu, a jego miękkie rudobrzazowe włosy musnęły jej policzek. Już teraz był silny, spokojny, dowcipny i inteligentny, a ona, ta wybrana osobliwa stara dziewczica, szanowała go za to, jaki był, i pokorniała na myśl o tym, kim dopiero miał się stać. Ignoranci by go nie docenili, ignoranci o wąskich horyzontach i małych sercach, lecz ona potrafiła, wszak to jego ocaliła ze wszystkich straconych już dzieci.

– Ależ on kwitnie – wyszeptała – Ależ nam tu kwitnie!

I usiadła, pełna triumfu, po czym ukołysała go, delikatnie głaszcząc po plecach.